Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Renesansowi kibole
To oni rządzili ulicami Florencji
▶ 42

Ryszard Kalisz:
Ludzie lewicy nie muszą być biedni ▶ 26

WYSOKIE OBCASY
Julia Kamińska, aktorka
Nikt nie da nam praw za darmo

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAGAZYN
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Monika Braun
Nie wypieram się brata, tylko jego czynów

▶ 4

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 25>

Wybuchy wściekłości, awantury w domu, alkohol – to życie strażnika więziennego ▶ 12

Sad, który podzielił Kanadę
Co się wydarzyło w Kamloops? ▶ 20

„Baudelaire wolał opium”
Na haju przeciw mieszczaństwu ▶ 29

Krzysztof Janczar
60 lat po „Wojnie domowej” ▶ 34

Sobota–czwartek, 21-26 czerwca 2025 | Redaktor prowadzący **Andrzej Kulasek** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 142.10939 Nakład 80 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 1f82165fe2

Joanna Dzikowska

„Nowi turyści”

Jedno z najstarszych schronisk w Karkonoszach zamknęło się dla turystów. W czeskiej Lucni boudzie pod Śnieżką z toalet i restauracji mogą korzystać, tylko ci którzy zarezerwowali nocleg. To efekt sporu z Karkonoskim Parkiem Narodowym, Ale nie tylko: Lucni bouda już od dawna reklamuje się jako górski hotel. I ceny też są hotelowe: nocleg w pokoju z łazienką to 655 zł, a luksusowy apartament – 1300 zł za noc.

W czeskich górach to nie wyjątek. Tam raczej bezboleśnie rozstano się z mitem wędrowcy, który nosi kanapki i prosi o wrzątek w schronisku. Lepszy jest pobyt w jednym miejscu – gdzie ciepła woda pod prysznicem i wi-fi, żeby wieczorem obejrzeć serial. Na górę też nie trzeba wchodzić. Od jednego z turystów usłyszałam: „Nasza gondola na Śnieżkę wozi 250 osób na godzinę, a mogłaby więcej. A Polacy wchodzą na szczyt w tysiącach. Po drodze śmiecą, załatwiają się, niszczą przyrodę... I kto jest bardziej ekologiczny?”

I dziwią się Czesi, że nikt u nas nie wyremontował kultowych „spodków” na Śnieżce. Była tam restauracja i toalety, jest obserwatorium IMGW zamknięte dla turystów i wygląda na porzucone.

Ze względu na przepisy przeciwpożarowe w schroniskach PTTK nie będzie można już nocować za darmo „na glebie”, ale w polskich Karkonoszach „czeskich” cen jeszcze nie ma. Najdroższa jest wyremontowana Strzecha Akademicka, gdzie nocleg w pokoju siedmioosobowym to 140 zł, a „jedynka” – 200 zł.

Schroniska odwiedzają turyści w klapkach, majtkach i z butelkami piwa w ręku

Jednak kolejne podwyżki są nieuniknione. Schroniska zarabiają głównie w weekendy i wakacje, a to sprawia, że trudno je utrzymać – alarmuje Maciej Sokołowski, dzierżawca schroniska na Szczelińcu i Pasterki. Mówi, że nie da się „zrobić taniej”, bo dzierżawcy chcą godnie płacić pracownikom, zamawiać produkty dobrej jakości i mieć czystą pościel.

Z podwyżkami cen rosną oczekiwania turystów. Prezes PTTK Jerzy Kapłon zwracał uwagę, że jeśli obiekt ma pokoje dwuosobowe z łazienkami – to właśnie one są najczęściej wynajmowane.

Przebudowanie schroniska tak, żeby z sali na 16 łóżek zrobić cztery pokoje z łazienkami, kosztuje. Zamiast 50 miejsc, w obiekcie będzie 20 – i one muszą zarobić przynajmniej tyle samo.

Himalaista Aleksander Lwow uważa, że górskie hotele są przyszłością. Mówi: „Schroniska odwiedzają turyści w klapkach, majtkach i z butelkami piwa w ręku. Gdyby nie mogli, to by nie płacili, a skoro ich stać, to niech płacą”.

Nie znam zbyt wielu młodych ludzi, których byłoby stać na nocleg za kilkaset złotych. To propozycja dla wygodnej, miejskiej klasy średniej. Jeśli góry będą zarabiać tak dobrze, jak bałtyckie kurorty – jest ryzyko, że przejmą też ich atmosferę.

To truizm, ale schronisko istnieje dzięki ludziom. Zamienia się w skansen za sprawą gości, którzy zaczynają traktować je jak dekorację. Wystarczy, że nikt w tłumie gości nie będzie znał imienia kucharki, bo zmienia się zbyt często. Skończą się rozmowy w kolejce do wspólnej łazienki. Nikt nie przyniesie gitary. Zamiast świec, mrok będą rozjaśniać ekrany telefonów. I będzie, jak w innych hotelach.

Powstrzymanie procesu „skansenizacji” schronisk może się więc okazać znacznie większym wyzwaniem, niż ich remonty. ●

Andrzej rysuje

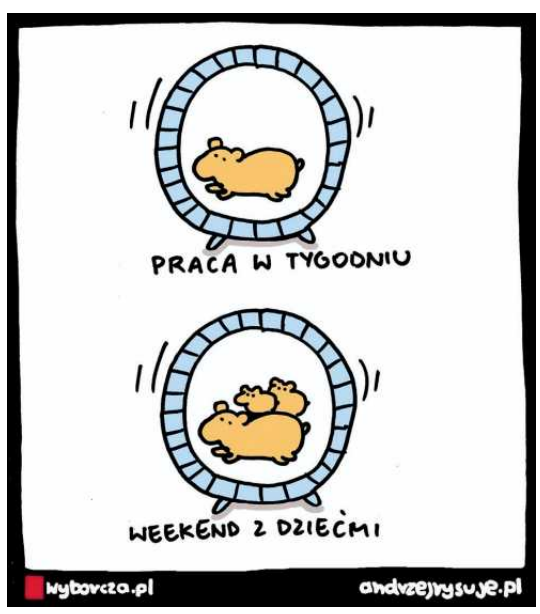

Andaluzja
Plaża czujnie strzeżona

FOT. PAP/EPA/JEAN-CHRISTOPHE BOTT

Miguel Sanchez-Merenciano, 45-letni instruktor ratownictwa ciągnięty przez labradora Browna oraz pudla Nilo. Ekipa przygotowuje się do letniego sezonu na plażach Torrox w południowej Hiszpanii

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Liczba tygodnia

499

DOLARÓW

• **ma kosztować smartfon T1, który od września będzie sprzedawać holding Trump Organization, należący do prezydenta USA.** Aparat ma złotą obudowę, a na niej slogan Trumpa „Make America Great Again” oraz flagę Stanów Zjednoczonych.

Wielki finał prezydencji Polski
Koncert na 5 miast

27 czerwca, pod wspólnym szyldem Europejskiego Święta Muzyki, odbędzie się plenerowy multikoncert w pięciu polskich miastach. Będzie to zwieńczenie sześciu miesięcy, w których Polska przewodniczyła Radzie UE oraz prowadzonego z tej okazji programu realizowanego przez Narodowe Centrum Kultury.

Główna impreza odbędzie się w Rzeszowie, przy Hali Podpromie. W Koncercie Kolektywów połączą swe siły m.in. Abradab i Ukrainiec Serhii Babkin, współzałożyciel duetu 5'nizza, Wiktor Dyduła z gruzińskim zespołem MokuMoku czy Lanberry z ukraińską grupą Kazka.

Gdańsk zaprasza na koncert Wolność jest kobietą. Na Placu Zebrań Ludowych zobaczymy Dodę, Kasię Lins, Kasię Moś, Natalię Grosiak, YANA, ale także Mietka Szcześniaka i Piotra Cugowskiego.

W Krakowie, na Placu Wielkiej Armii Napoleona, zabrzmią polskie hity m.in. Agnieszki Osieckiej czy Grzegorza Turnaua w nowych aranżacjach wykonane przez m.in. Renatę Przemyk, Anię Dąbrowską, Kubę Badacha, Zuzę Baum czy Rafała Szatana.

FOT. DOMINIK GAJDA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wielkie hity, tym razem światowe, do posłuchania w Bydgoszczy (Wyspa Młyńska). W repertuarze znajdą się covery legendarnych zespołów; Led Zeppelin, Kiss, Scorpions, The Beatles, Queen, Pink Floyd czy Deep Purple. Wystąpią m.in. Emilia Hamerlik, Anna Hnatowicz, czy Neema Rae

Międzypokoloniowe show – to propozycja Poznania. Na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich zobaczymy m.in. Krystynę Prońko, Edytę Górniak, Justynę Steczkowską, Katarzynę Groniec, Julię Pietruchę, Macieja Musiałowskiego, Marię Peszek, Natalię Przybysz, Melę Koteluk, Mery Spolsky (**na zdjęciu**), Piotra Roguckiego, Natalia Szroeder, Kamila Bednarka, Natalię Kukulska, Macieja Maleńczuka czy Zespół Śląsk. ●

Magdalena Dubrowska

OGŁOSZENIE Kraj/34382797

PROGRAM KULTURALNY POLSKIEJ PREZYDENCJI W RADZIE UE

PARTNERZY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
NARODOWE CENTRUM KULTURY
Wydarzenie kulturalne polskiej prezydencji w Radzie UE
Cultural event of the Polish presidency of the Council of the EU
Événement culturel de la présidence polonaise du Conseil de l'UE

Czytaj więcej na wyborcza.pl

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

Jaka Polska 2027?

Zadbać o pospolite ruszenie

Chciałbym żyć w kraju, w którym demokraci są taką polityczną siłą, że by wygrywać, nie potrzebują odsieczy demokratycznego pospolitego ruszenia. W Polsce to na razie niemożliwe.

Bartosz T. Wieliński

Nie będę wyliczać błędów, które popełnił sztab Rafała Trzaskowskiego i obóz Koalicji 15 Października. To zrobili inni. Skupię się na zaniedbaniu, które osobiście mnie boli.

Zapomniano tych, którzy – co było od początku jasne, bo wybory miały być na żyletki – mogli dać Trzaskowskiemu prezydenturę. Myślę o ludziach, którzy w obronie polskiej demokracji i praworządności, wolnych mediów i praw kobiet, mobilizowali się od zimy 2015 r. Demonstrowali bez względu na pogodę, nawet wtedy, gdy politycy odpuszczali, zakładali mniej lub bardziej – tak jak Komitet Obrony Demokracji – sformalizowane grupy.

To prawdziwi patrioci, by chronić kraj przez autorytarną władzą, poświęcali własny czas i pieniądze. Nie mieli politycznych ambicji, chcieli po prostu żyć w normalnym państwie. A państwo PiS odpowiadało represjami. W ruch szedł gaz łzawiący i pałki teleskopowe, nałożenie na pomnik koszulki z napisem Konstytucja czy nalepienie naklejki z Matką Boską w tęczowej aureoli wystarczyło, by policja robiła nalot o brzasku, a Ziobrowi prokuratorzy stawiali absurdalne zarzuty.

Poznałem wielu z nich, ich zaufanie było dla mnie powodem do chluby. Oto bowiem, pod presją pisowskiego aparatu, w oparach absurdalnej propagandy Jacka Kurskiego, wykrystalizowało się polskie społeczeństwo obywatelskie, które 15 października 2023 r. odsunęło PiS od władzy. A potem?

A potem demokratyczni politycy o tych ludziach, którym zawdzięczali parlamentarną większość, zapomnieli. Wszak zawodowcy nie występują razem z amatorami, po triumfie nie muszą się im tłumaczyć, słuchać uwag. Nikt nie ujął tego lepiej niż Jarosław Kaczyński, mówiąc do skarżącej się na dyskryminację niepełnosprawnej wyborczyni, że ma „popierać, a nie przeszkadzać".

Wyborców PiS takie polecenia nie oburzają, biorą je sobie do serca. Bo populiści tworzą armie, zwolenników trumpowskiej MAGI, węgierskiego Fideszu, niemieckiej AfD czy austriackiej FPÖ – proszę wybaczyć kolejny cytat z Kaczyńskiego – nic nie przekona, że czarne jest czarne, a białe jest białe. Że Karol Nawrocki, z racji ciemnej przeszłości i powiązań z kryminalistami, nie powinien pełnić najważniejszego urzędu w państwie. Tym bardziej że sam Kaczyński ogłosił światu, że jego zmarły, otoczony prawie państwowym kultem brat, też tłukł się w ustawkach...

A my jesteśmy pospolitym ruszeniem. Niespójnym, czasem skłóconym, nieskorym do słuchania poleceń, wręcz anarchistycznym. Potrafimy pokonywać wielkie armie, gdy jest nas dużo, gdy jesteśmy zmotywowani. A tego niestety w ostatnich wyborach jakoś zabrakło. Zaś frustracji w pospolitym ruszeniu było wiele, bo ludzie inaczej wyobrażali sobie odsunięcie PiS od władzy i przywracanie w Polsce normalności.

Koalicja się ze swoim zapleczem nie spotykała, nie tłumaczyła, dlaczego pewne zmiany potrzebują czasu, a pewne tematy porzuca i nie próbuje ich wysłać na biurko prezydentowi Andrzejowi Dudzie. Nie potrafiła komunikować własnych ewidentnych sukcesów. Liczyła, że demokraci i tak się stawią do walki, a w efekcie straciła młodych wyborców, straciła kobiety...

Bez wielkiej mobilizacji wyborców demokraci nie wygrają wyborów parlamentarnych za dwa lata. Dlatego o pospolite ruszenie trzeba zadbać. To zadanie dla każdego polityka Koalicji 15 Października. Zamiast się kłócić między sobą, poświęćcie czas na rozmowy z ludźmi, którym zależy, by Polska nie stała się autokracją, z członkami organizacji i społeczności internetowych.

Nie będą one łatwe i przyjemne, ludzie będą wylewać frustracje, ale trzeba ich wysłuchać, odbudować zaufanie, pokazać, że bierzecie ich na poważnie. Bo pracujecie przecież dla nich, powinniście okazywać im szacunek i pokorę.

Wielu z tych ludzi to eksperci od mediów społecznościowych, komunikacji i strategii, sondaży, wielu ma wolny czas, który może spożytkować dla wspólnej sprawy. Wykorzystajcie znowu ich wiedzę, zapał i talenty, to, że jesteście posłami czy ministrami, nie czyni z was najmądrzejszych ludzi w kraju. Nie zapominajcie o Lubelszczyźnie czy Podkarpaciu. PiS może uznawać te regiony za swoje bastiony tylko dlatego, że wy – z niewiadomych przyczyn – je odpuściliście.

Sprawna komunikacja rządu to jedno, ale jeśli ona nie będzie powielana w sieci (dziś problem z tym mają nawet politycy Koalicji Obywatelskiej) to zmiany niewiele dadzą. Pospolite ruszenie w internecie może zdziałać bardzo dużo. Trzeba wykorzystać potencjał tych ludzi . Podobnie jest z Polakami żyjącymi zagranicą.

Zaraz odezwą się głosy, że piszę to na próżno, bo wszystko już pozamiatane. Nic bardziej mylnego.

Pycha, z jaką PiS celebruje niewielkie zwycięstwo, daje duże nadzieje. Morawiecki już widzi się na fotelu premiera, Kurski szykuje się do porządków na Woronicza, Wąsik z Kamińskim z Ziobrą i jego kamarylą już aresztują Tuska i Bodnara.

Publiczne zakładanie koalicji na dwa lata przed wyborami jest przedwczesne. Tym bardziej, że ten pewny koalicjant jest w tej sprawie podzielony. A silnych postaci na prawicy, w sferze, w której całkowicie panował jeszcze niedawno Jarosław Kaczyński, wyrosło w ostatnich miesiącach wiele.

Są Nawrocki i Czarnek, jest finansujący się z własnej kasy Morawiecki i knujący Ziobro, do tego Mentzen, Wipler, Bosak, no i oczywiście Braun. Jest Sakiewicz i bracia Karnowscy, którzy tak zażarcie walczą o wpływy i datki widzów, że podkradają sobie tematy i rozmówców.

Oj, za mała łódka jak na tylu bokserów, kogoś trzeba będzie wyrzucić za burtę. Niech tylko zaczną się licytować na skrajnie prawicowe postulaty, atakować kobiety, ogłaszać polexit. Demokratyczne pospolite ruszenie bez problemu ich rozgoni. Jeśli demokraci się nim zaopiekują... ●

REKLAMA Kraj/34380658

Zapraszamy w niezapomniany rejs po 7 karaibskich wyspach eleganckim statkiem Norwegian Getaway. Dodatkowo odwiedzimy Miami, a na pokładzie statku zapewnimy pełne wyżywienie i wiele atrakcji.

Miami (USA) – Puerto Plata (Dominikana) – Charlott Amalie (St. Thomas) – St. John's (Antigua) – Philipsburg (St. Martin) – Basseterre (St. Kitts) – San Juan (Portoryko) – Great Stirrup Cay (Bahamy) – Miami (USA)

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Miami. Zakwaterowanie w hotelu w Miami. **Dz. 2** Spacer po Miami Beach i wejście na pokład statku. **Dz. 3** Rejs w kierunku Dominikany. Czas na relaks na pokładzie statku. **Dz. 4** Puerto Plata, Dominikana. Dzień w raju. **Dz. 5** St. Thomas, Wyspy Dziewicze Stanów Zjednoczonych. Wycieczka po wyspie i spacer po mieście Charlotte Amalie. **Dz. 6** St. John's, Antigua. Spacer i zwiedzanie miasta. **Dz. 7** Philipsburg, St. Martin. Tropikalny raj z holenderskim i francuskim akcentem. **Dz. 8** Basseterre, St. Kitts. Plantacje trzciny cukrowej, fortyfikacje i rajskie plaże. **Dz. 9** San Juan, Portoryko. Spacer po starym mieście. **Dz. 10** Dzień na morzu w drodze na Bahamy. **Dz. 11** Great Stirrup Cay, Bahamy. Rajskie plaże i wypoczynek w cieniu palm. **Dz. 12** Miami oraz transfer na lotnisko. **Dz. 13** Przylot do Warszawy.

13 dni | Wylot z Warszawy 01/02 2026

14.998,-

Pełne wyżywienie na statku

Laponia i Św. Mikołaj

Jedyna i niepowtarzalna okazja do spotkania ze św. Mikołajem. Do tego zaprzęgi reniferów, zorza polarna i ośnieżone krajobrazy Laponii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Rovaniemi, spacer po mieście. **Dz. 2** Wizyta w wiosce św. Mikołaja i zaprzęgi reniferów oraz zimowe aktywności na wycieczkach fakultatywnych: skutery śnieżne lub psie zaprzęgi. **Dz. 3** Rovaniemi. Wizyta w Ranua WildLife Park i powrót do domu.

3 dni | Wylot z Warszawy 24/01 2026

5.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
Kod reklamy: GW17

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl 1f82165fe2

WAŻNY TEMAT

Nie wypieram się brata

Z **MONIKĄ BRAUN***
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**
ZDJĘCIE **GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Mężczyźni w kolejnych pokoleniach mieli wyobrażenie, że są prorokami, zwykle niedocenionymi przez ludzkość. To odziedziczył Grzegorz.

Przez ponad dekadę tropiłaś w swojej rodzinie Żydów. Skąd ten pomysł?
– Zanim mój brat Grzegorz zaczął wygłaszać antysemickie brednie, myślałam, że jesteśmy Żydami. Braun to przecież typowe żydowskie nazwisko, co sprawdzałam szczegółowo. Niejasność rodzinnej przeszłości rozumiałam jako świadome zatajenie. Ale nie. W 2009 roku znalazłam metrykę mojego pradziadka ochrzczonego po katolicku w Tarnowie. Docierałam i do wcześniejszych metryk, sądząc, że wychyną z nich Żydzi.

Chciałam być Żydówką. Najlepiej o imieniu Rachela, bo uwielbiam „Wesele” Wyspiańskiego. Stąd wzięła się „Migrena. Kronika rodzinna” poświęcona rodzinie Braunów i przepięknie wydana przez Austerię, której jestem wdzięczna za taką szatę dla moich przodków. Szczególnie tych, którzy za życia chodzili obdarci i w wyświechtanych surdutach.

Dlaczego chciałaś być Żydówką?
– Nosiłam w sobie poczucie straty po ludziach i kulturze, która była częścią kultury moich bliskich. Równolegle z przeszukiwaniem i analizowaniem archiwaliów napisałam książkę z Lvem Sternem i opowieść o Mirze Żelechower-Aleksiun.

Oboje są malarzami i oboje Żydami. Jedno z nich jest raczej indyferentne religijnie, ale przynależące do tradycji i świetnie ją pamiętające, a Mira, którą przecież znasz, jest szalenie zaangażowana w judaizm. Próbowałam zrozumieć ich losy. Zaczęłam bywać w synagodze.

Myślałaś wtedy o konwersji?
– Tak. Miałam silną potrzebę głębokiej wiary i przynależności do wspólnoty. Z czasem jednak poczułam, że judaizm jest dla mnie tak samo sztywny i powierzchowny jak religia, którą opuściłam. Każde, nawet uświęcone powtarzanie czegoś po kimś budzi moją niechęć. I podobnie każde cedowanie odpowiedzialności osobistej na organizację czy Boga.

Uświadomiłam sobie, że żadna religia, żadna struktura hierarchiczna nie może mnie zawłaszczyć. Poza tym wszystkim nie wierzę w Boga. Żadnego. A specjalnie koncepcja Boga osobowego wydaje mi się dość kuriozalna.

Jesteś ochrzczona, byłaś u komunii. W jednej z książek wspominasz wasze codzienne modlitwy z rodzicami, dziadkami i rodzeństwem przed obrazem Chrystusa Miłosiernego.
– Wisi nad drzwiami gabinetu, możesz na niego spojrzeć. Uznałam, że skoro Józef Mehoffer namalował go w czasie wojny na zamówienie moich dziadków, którzy płacili mu miodem i masłem, bo żył wtedy w nędzy, a oni kochali potem ten wizerunek, traktując go jako cudowny, to jego karminy, błękity i srebrzyste biele mogą być ze mną.

Do kościoła przestałam chodzić w wieku 11 albo 12 lat. Mam za sobą też dorosłą próbę powrotu na jego łono, ale odpycha mnie bezmyślne powtarzanie prawd bez uzasadnień i ślepe posłuszeństwo. Nie tylko na tym polu nie przyjmuję rzeczy takimi, jakimi są dekretowane, tylko staram się rozebrać je na części pierwsze, umieścić w łańcuchach przyczynowo-skutkowych. Zapewne często mi to nie wychodzi, ale próbuję i od dość długiego czasu traktuję swoje wysiłki jako zobowiązanie.

Zobowiązanie inteligentki?
– Tak. W moim szeroko rozumianym środowisku, szczególnie tym rodzinnym, pewne opinie czy postawy były przyjmowane z dobrodziejstwem inwentarza, bezrefleksyjnie. To nie jest zresztą wyjątkowe, łatwiej jest chodzić na skróty, wymaga tego od nas sama biologia. Ale ja chcę rozumieć, znać argumenty.

Nie należę zatem do żadnej organizacji i do żadnego Kościoła. Swoich studentów staram się skłaniać do zastanowienia. Pracuję przecież z humanistami i artystami, dla których wolność i rozumienie świata powinny być wartościami fundamentalnymi. Uczę ich oglądać rzeczy z różnych stron i mieć zawsze w podejrzeniu podawane im prawdy.

Twoja mama, wybierając dla ciebie imię, jakiego nie nosiła żadna z twoich przodkiń, „wydała cię na inność” i skazała na „pozycję outsiderki w rodzinnym gronie, kogoś, kto nie przynależy całkiem i w sposób uświęcony tradycją” – piszesz w zbiorze esejów „Przeciw powtórzeniu”.
– Podoba mi się taka interpretacja. W dzieciństwie ulubioną książką mamy była „Monika jedzie na Madagaskar”. Nadając mi imię dziewczynki podróżującej z ojcem w latach 20. wieku XX po egzotycznych krajach wyekspediowała mnie niejako na antypody. To się na niej zemściło. Mawiała: „Zosia Samosia”. W jej słowach słyszałam przyganę dla mojego lekceważenia społecznych norm.

Jestem czarną owcą w rodzinie, kimś, z kim jest kłopot, ale byłam z matką i ojcem blisko, podobnie z wujami, ciotkami i kuzynami. Tylko nie z bratem, przynajmniej w ciągu ostatnich dwóch dekad. Nie sposób przyjaźnić się z kimś, kto na różne sposoby okazuje ci pogardę, wręcz nienawiść do twojego sposobu życia i myślenia.

Kiedy opublikowałaś list otwarty, w którym odcięłaś się od jego aktów przemocy, niektórzy twoi znajomi powiedzieli mi, że są szczęśliwi, że to zrobiłaś.
– Tak?

Jeśli dobrze ich zrozumiałam, chodziło im o to, że w końcu możesz zrzucić ciężar swojego nazwiska i poczuć ulgę. Poczułaś?
– Czułam, że ciąży na mnie obowiązek społeczny, że czas opuścić sferę prywatną. Jeżeli ktoś dopuszcza się potwornych rzeczy, to niezależnie od tego, czy jest moim bratem czy nie, powinnam je nazwać i potępić. A jeśli pytasz o ulgę, to poczułam ją parokroć: kiedy pisałam swój tekst, gdy go wysłałam, gdy w ciągu godzin odezwał się „Tygodnik Powszechny” i po krótkich konsultacjach ze mną opublikował go. I czwarty raz, kiedy zobaczyłam, że mój list się ukazał.

Dotarłam do Gizeli Jagielskiej. Zanim opublikowałam swój list otwarty, przeprosiłam ją i zapewniłam, że nie wszyscy Braunowie są potworami

A potem?
– Potem była radość z powodu feedbacku, jaki otrzymałam.

Siostra wypierająca się brata to jest historia jak z dramatu antycznego albo z Szekspira.
– Ja nie wypieram się brata ani nazwiska. Nie wykreślę Grzegorza Brauna z genealogii. W sensie krwi i tradycji on jest nadal moim bratem. Wypieram się jego światopoglądu i czynów.

Po lekturze kroniki twojej rodziny odnoszę wrażenie, że ów światopogląd, oparty na afirmacji narodowego katolicyzmu i antysemityzmu, jest jej nieobcy, przynajmniej w ostatnich pokoleniach.
– Do czasu mojego stryjecznego dziadka Jerzego Brauna nikt nie był antysemitą, o ile mi wiadomo. Chętnie przypomnę, że miejscowość, w której urodził się on, a także mój dziadek i ich rodzeństwo, czyli Dąbrowa Tarnowska, składała się u początku XX wieku w 90 procentach z Żydów.

Mieszkało w niej dwa tysiące ludzi, Polacy byli mikroskopijną wysepką w morzu wyznawców judaizmu. Jakoś musieli się dogadywać. Mój pradziadek Karol, który skończył prawo na UJ i praktykował jako notariusz w Dąbrowie Tarnowskiej, a potem w Tar-

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

Monika Braun

• aktorka, kulturoznawczyni, pisarka, nauczycielka akademicka. Pracuje m.in. na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu.

nowie, sporządzał Żydom umowy różnego rodzaju. Widziałam te dokumenty w tarnowskim archiwum.

Żył z tego?
– Oczywiście. I żył z Żydami.

Jego syn Jerzy, brat twojego dziadka, był w czasie II wojny ideologiem Unii, ruchu społeczno-kulturalnego, który w jego ujęciu oznaczał „unię wszystkich w Chrystusie, unię człowieka i ludzkości z Bogiem”.
– Miał Boga na ustach, ale przed wojną skłaniał się ku ONR-owi. Miał też paskudne antysemickie poglądy, pisał w międzywojniu w swoim czasopiśmie „Zet” artykuły, które czytałam, zżymając się. Nie każ mi cytować, ale są przywoływane w „Migrenie”.

Twierdził, że przedwojenna Polska nie była państwem niepodległym, ponieważ była uzależniona od Żydów, a rządy przed- i pomajowe były pod ich wpływem.
– Te same bzdury wygaduje Grzegorz, tyle że Żydów już prawie nie ma, bo po drodze był nazizm.

Żona Jerzego Hanka nosiła podobno za nim walizkę, żeby miał wolne ręce i mógł, idąc, perorować o ważnych sprawach, gestykulując tymi samymi dłońmi o długich palcach co mój ojciec, a zapewne jeszcze i prapradziadek Konstanty Miller.

Jego dłonie znam tylko z opisu sztychu, który zaginął, a jego patetyczne wypowiedzi publiczne czytałam w XIX-wiecznych gazetach. Zręczne palce przydawały się im obu, bo byli pianistami, a Konstanty na dodatek lekarzem. Poczynając od niego, mężczyźni w kolejnych pokoleniach mieli wyobrażenie, że są prorokami, zwykle niedocenionymi przez ludzkość. To odziedziczył mój brat.

Dorastaliście w kręgu opowieści o stryjecznym dziadku Kazimierzu, który jako pilot walczył z konnicą Budionnego i zginął w samolocie, o braciach wyruszających jako ochotnicy na wojnę z bolszewikami, ciotce ojca, która przeszła szlak bojowy z Andersem. A nawet, jak zapewnia twój ojciec w wywiadzie dla portalu twojego brata, macie koneksje z rodziną Romockich, Andrzejem „Morro” i Janem „Bonawenturą”, bohaterami powstania warszawskiego. Jeśli Grzegorz Braun myślał o tym, by dołożyć swoją kartę do tej rodzinnej historii, to nie miał łatwego zadania.
– Jakkolwiek to strasznie zabrzmi, odniósł swoisty sukces na zagospodarowanym przez przodków polu publicznym, narodowo-katolickim i antysemickim. A chłopcy Romoccy byli synami ciotecznej babki mojej mamy, rzeczywiście naszymi bliskimi krewnymi.

Nie chcę psychologizować, ale wydaje mi się, że Grzegorz musiał się mierzyć z poczuciem niedowartościowania, bo nie powtórzył sukcesu artystycznego ojca. Chciał zostać reżyserem fabuł, marzył zapewne, że będzie Spielbergiem albo Francisem Fordem Coppolą, co mu się nie udało.

Kręci filmy dokumentalne i swoje „poselskie interwencje”. Co czułaś, kiedy dwa lata temu zakłócił wykład prof. Jana Grabowskiego na temat pamięci o Holokauście. Wyrwał ze stojaka mikrofon, roztrzaskał go o mównicę i wywrócił kolumnę nagłaśniającą.
– Przy tym i kolejnych ekscesach, które uchodziły mu na sucho, skręcałam się wewnętrznie z bólu, że można robić coś tak strasznego. Bolał mnie brzuch, bolało mnie ciało. Rani mnie ludzka krzywda, którą on szafuje właściwie bez ograniczeń. Czuję, jakby to mnie krzywdził.

Towarzyszą temu wstyd i zażenowanie, bo jednak jest to człowiek, który nosi to samo nazwisko co ja, z którym jako dzieci kąpaliśmy się w jednej wannie i potem razem jedliśmy kaszkę mannę polaną przez mamę sokiem malinowym.

Jego zachowania przypominają happeningi. Moduluje głos, dba o dobór gestów. Zastanawiasz się, na ile to, co robi, jest cyniczne?
– Wielu ludzi uważa, że to jest spektakl, makiawelicznie przez niego rozgrywany. Ja też jestem skłonna tak myśleć. I gdy patrzę na wyniki pierwszej tury wyborów, widzę, że jest to spektakl skuteczny. A teatr zawsze był przecież obecny w naszym domu. Miał gdzie się uczyć.

Teatralizowaliście w domu życie?
– Nie, ale jednocześnie tłumaczono nam niektóre sprawy przesadnymi gestem i modulacją głosu. Niektórzy członkowie rodziny mieli do tego szczególne skłonności. Najbardziej owa ciotka od Andersa Jadwiga, aktorka przedwojennej jeszcze formacji. Tak, codzienny patos bywał obecny w rodzinie Braunów.

Kiedy twój brat budował swoje poparcie na antysemityzmie, to było znikome. Wzrost nastąpił po jego akcji w Oleśnicy, gdzie dokonał „obywatelskiego zatrzymania” lekarki Gizeli Jagielskiej, która przeprowadziła zgodną z prawem terminację ciąży ze względu na ciężką i nieuleczalną chorobę płodu. Możliwe, że w wyborach poparły go radykalne środowiska antyaborcyjne.
– To niemal oczywiste. Słyszałam, że nawet dla zagorzałych antysemitów jego język jest w tym zakresie wstrząsający, natomiast ochrona życia poczętego najwyraźniej wszystkim leży.

Dotarłam do Gizeli Jagielskiej. Wymieniłam z nią kilka maili. Zanim opublikowałam swój list otwarty, przeprosiłam ją i zapewniłam, że nie wszyscy Braunowie są potworami.

Dlaczego ten właśnie atak twojego brata tak cię poruszył, że opuściłaś sferę prywatną...
– ...i weszłam w publiczną, od której się trzymam z dala? Tym razem mój brat zaatakował kobietę, która pracuje z kobietami i dla kobiet.

Przez lata nosiłam w sobie myśl, że powinnam zareagować na jego brutalność, ale wiedziałam, że rodziców dotknęłoby, gdybym wystąpiła przeciwko rodzinie. Ale teraz pomyślałam: nie, to jest moje życie, moja moralność, nie zgadzam się, by kolejny raz mężczyzna dręczył kobietę. Dość mam tego.

Wiem, że dla znakomitej większości kobiet usunięcie ciąży jest dramatem. Jej donoszenie, poród, pomaganie przy urodzeniu dziecka jest kobiecą sferą i to do kobiet należy decyzja, czy chcą urodzić chore dziecko i przez kilka dni przyglądać się jego konaniu w mękach, co mogło się stać w Oleśnicy.

Ale, jak mawiał prezes, zostałoby ochrzczone.
– Dla mnie to nie ma znaczenia. Nie mieści się w moim światopoglądzie przymuszanie do cierpienia umierającego dziecka, matki, ojca i zapewne bliższej rodziny patrzących na to. Dlaczego mężczyźni tym zarządzają? Na gruncie prawnym i w nieformalnych kwestiach. I jak wiadomo, nie ma w tym żadnej symetrii. To oni układają kodeksy, zasiadają w różnych szacownych gremiach, pracują w aparacie ścigania i więziennictwie.

Może niektórym kobietom to pasuje? Dość spojrzeć, jak wiele z nich zagłosowało na prezydenta popieranego przez PiS, Konfederację i partię twego brata.
– Przemożna jest siła kultury jako narzędzia formującego ludzi. Wydaje im się, że coś świadomie wybrali, a tak naprawdę zostało im to wdrukowane przez wzory społeczne, wychowanie, tępo powtarzane zachowania.

Kobiety przywykły do męskiej przewagi. Wbrew deklaracjom i pragnieniom wiele z nich podtrzymuje i kształtuje patriarchat, przeciwko któremu rzekomo występują. Nawet te wykształcone, samodzielne drobnymi gestami, językiem werbalnym i niewerbalnym prezentują często model tej uległej, głupszej, trzymającej się zawsze w drugim szeregu. I jeszcze niekiedy mówią, że to dobra taktyka zawiadywania mężczyznami.

W twoim domu tak nie było?
– Owszem, mama zawsze była pomocnicą ojca, całe jej życie było nastawione na to, by on mógł rozwijać się twórczo. Była przy tym bystra i pogodna. My, dzieci, byliśmy wychowywani liberalnie. Ja szcze-

eprasa.pl 1f82165fe2

gólnie, bo różnica wieku między mną, bratem i młodszą siostrą to odpowiednio cztery i dziesięć lat.

Kształtowała nas wolność wypowiedzi i swoboda działań, pozbawiona wtedy jakiejkolwiek ortodoksji czy fundamentalizmu, choć niepozbawiona reguł związanych z zachowaniem, pracą i praktykami religijnymi.

Poza edukacją literacką, uwagą i czułością od mamy otrzymałam też bardzo szczegółowe wtajemniczenie seksualne. Na rysunku objaśniała mi anatomię i fizjologię kobiety.

Kiedy miałam siedem lat, dowiedziałam się o menstruacji, jajeczkowaniu i o tym, że nasienie mężczyzny wnika w kobietę. Pięć lat później mama wyrysowała mi krzywą orgazmu.

Opowiadała ci o kobiecej rozkoszy?
– Tak. Wyjaśniła mi, że osiąga ona swoje maksima, które u kobiety mogą być długotrwałe, a u mężczyzny na ogół trwają krótko. Chyba że studiuje hinduskie księgi.

Mama miała aspiracje intelektualne. Przestała pracować naukowo, bo musiała poradzić sobie z przeprowadzkami, niewygodnymi mieszkaniami, z trójką dzieci i ich licznymi chorobami oraz z obsługą ojca kariery. Wyobrażasz sobie: jeździć z trójką dzieci do lekarza tramwajem? Tato miał wprawdzie samochód, ale używał go, żeby dojeżdżać do pracy, a nie odwozić nas z mamą do przychodni, szkoły czy na zakupy.

Wasz ojciec był wybitnym reżyserem teatralnym. Pracował w Warszawie, gdzie się urodziłaś, w teatrze w Toruniu, gdzie urodził się twój brat, potem w Lublinie, gdzie urodziła się twoja siostra Justyna, aż wreszcie we Wrocławskim Teatrze Współczesnym, który pod jego dyrekcją święcił artystyczne triumfy. Po tylu przeprowadzkach potrafisz powiedzieć, który dom był najbardziej twój?
– No jeszcze były potem dorosłe zmiany miejsc w życiu z moim mężem: kilka mieszkań wrocławskich, dwa kolejne w Lille we Francji, gdzie spędziliśmy sześć lat.

Dom dzieciństwa kojarzy mi się z tymczasowością, nieurządzaniem się i oczekiwaniem na kolejną przeprowadzkę. W każdym z nich toczyło się jednak rodziców życie teatralne. To ono było w pewnym sensie „domem". Żadnej sztuki nie tworzy się w tak zwanym zakładzie pracy, przynajmniej nie tylko.

Teatralne sprawy przenikały do naszego domu. Ojciec dyskutował swoje pomysły z mamą, z odwiedzającymi nas artystami, nawet z nami, bo zawsze traktowano nas jako partnerów. Blokowe mieszkania, w których się to działo, poza jednym, wrocławskim, były dramatycznie malutkie. Trzy pokoje, wspólny salon z łóżkiem rodziców, pokój dziecięcy dla naszej trójki i gabinet ojca. Potrzebował go, by rozłożyć w nich swoje książki i pisać. Po jakimś czasie mama wygospodarowała dla siebie kawałek miejsca na biurko we wspólnym pokoju.

Przeczytała mnie i bratu podstawową literaturę dziecięcą, a potem półdorosłą. Całego Sienkiewicza przynajmniej ze dwa razy i „Pana Tadeusza" przynajmniej trzy, wiersze. I te chwile, kiedy nam czytała, były najlepszymi chwilami, jakie miałam z bratem.

Rodzice faworyzowali go względem was, córek?
– Niejawnie. Może nie zdawali sobie z tego sprawy. Mężczyźni, nawet mali, mieli swoje przywileje. „Monisiu, sprzątnij, przecież jesteś dziewczynką".

Nasze wspólne posiłki: ja zawsze jadłam wszystko, on stale grymasił. Patrzyłam na to z wściekłością, bo w związku z tym kuchnia była dostosowywana do niego. Mama stawała na głowie, żeby Grzesio jadł, i kroiła mu na małe kawałeczki bułkę posmarowaną masłem, z szynką lub polędwicą. Jak się domyślasz, takie wędliny były podówczas cudem kulinarnym, w każdym razie w naszym domu. Tak więc tata miał swój pokój, a syn miał swoją kuchnię. Co miała ma-ma? Zmęczenie, szybkie starzenie się, utratę aspiracji naukowych.

Widziałaś wtedy to wszystko równie krytycznie jak dzisiaj?
– Dopiero gdy stałam się dorosła. I zaczęłam hodować w sobie przeświadczenie, że nie chcę powtórzyć wzorca matki, że zachowam długo sprawność intelektualną i fizyczną. Że nie ulegnę.

Obiecałam sobie, że będę pielęgnować swoje życie zawodowe i swoje ciało. Ćwiczę jogę, dużo chodzę, dawniej biegałam. Kiedy miałam około trzydziestu pięciu lat, troje dzieci, którymi zasadniczo sama się zajmowałam, bez babć czy nianiek, zaczęłam pisać doktorat. Potem obroniłam go na Uniwersytecie w Poznaniu.

Troje dzieci i doktorat to wyzwanie.
– Bywało ciężko, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że sobie nie poradzę. Byłam, jak mi się zadaje, dosyć surową matką, bo chciałam się ułożyć między szkołami, zajęciami, zakupami, moją pracą i domem. To musiało sprawnie działać.

Ale wydaje mi się, że potrafiłam być czuła. W najwcześniejszym okresie życia córek w ogóle nie pracowałam zawodowo. Wszystkie trzy długo karmiłam piersią, najmłodszą prawie trzy lata. One – Ania, Joasia, Anielka – dziś dorosłe, mówią, że miały dobre dzieciństwo.

To co robił twój mąż Stanisław Bereś?
– Och, wykładał, jeździł, ale głównie pisał, wydał niezliczone książki i artykuły, a jak prosiłam go o pomoc w domu, mówił: „Czy nie widzisz, że piszę?".

Ale mieliśmy też kawał dobrego, ciekawego życia, interesujące rozmowy, bo myślę, że intelektualnie byliśmy sobie bliscy, zresztą na innych polach też. Długo. Wspólni przyjaciele i znajomi, ciekawi ludzie, spotkania z nimi. I dzieci, których chcieliśmy i które kochaliśmy. Moje dorosłe życie z nim było pełne i bogate.

Ale w dzieciństwie ważny był jeszcze teatr.
– Prowadzała mnie tam z początku mama, która w Lublinie była kierownikiem literackim. Spędzałam czas na zapleczu, wdychałam cudowny zapach kulis i garderób, pracowni krawieckiej, przyglądałam się próbom, co uwielbiałam, i w końcu przedstawieniom.

Wtedy nie sądziłam, że zostanę aktorką. Jeszcze jako maturzystka wybierałam się na Akademię Sztuk Pięknych, ale po całym roku wykonywania prac do teczki na ASP poczułam, że jednak wolę szkołę teatralną.

Raz jeden nie pozwolili ci pójść na spektakl, bo na scenie pojawiał się nagi mężczyzna.
– Miałam wtedy trzynaście lat i świetnie wiedziałam, jak wygląda męska nagość. Z malarstwa, rzeźby, fotografii. Ale i z realu. Miałam przecież brata. Rodzice byli wyluzowani. Kiedyś, kilka lat wcześniej, wracaliśmy znad morza, zatrzymaliśmy się nad Pilicą i pływaliśmy razem nago, bo nie mogli się doszukać kostiumów kąpielowych.

Ale tamtych rodziców już nie ma. Zmienili się, stali się skrajnie konserwatywni. A ja prowadzę życie, którego oni nie lubią, ale na szczęście niecałe znają. To, co znają, często ich martwiło.

Do ostatnich lat dużo z mamą rozmawiałam. Co innego poglądy, a co innego otwartość, którą z nią miałam. Teraz już nie możemy tak rozmawiać.

Dziwi cię, że emigracja do Stanów Zjednoczonych zmieniła ich w ortodoksów? PRL obszedł się z twoim ojcem okrutnie. W stanie wojennym wyrzucono go z teatru, zabroniono zatrudnić go na uniwersytecie, odmówiono drukowania jego książek.
– Ojciec wyjechał z Polski z wolnym, jasnym umysłem. Ale przez 40 lat pielęgnował w sobie żal. Człowiek, który chce przetrwać w obcym świecie, musi zbudować

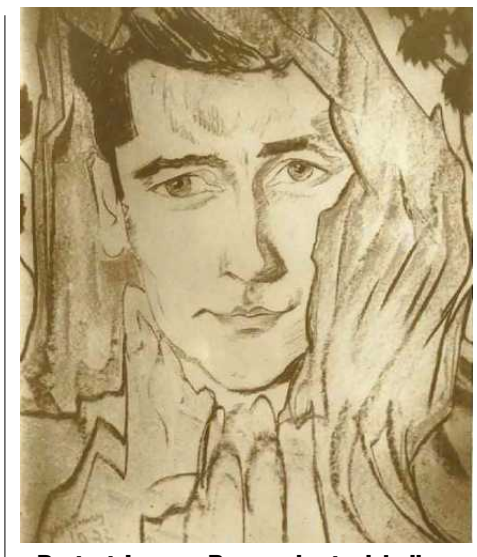

• **Portret Jerzego Brauna, brata dziadka Moniki, który w latach 30. namalował Witkacy**

• **Seweryna z Żulińskich Millerowa, praprababka Moniki Braun na okładce jej kroniki rodzinnej „Migrena", wyd. Austeria**

FOT. ARCHIWUM MONIKI BRAUN

Nie wyrzucam jedzenia, tak nim gospodaruję, że nie zostaje ani krztyna. Marchewki tylko myję, a nie obieram

wieżę z kości słoniowej. Ich jest wzniesiona ze skrajnej katolickiej ortodoksji: poza Kościołem katolickim nie ma zbawienia. Jeśli jesteś przyzwoitym człowiekiem, ale nie wierzysz, to sorry, nawet się nie staraj.

Moja siostra, która również mieszka w Ameryce, także stoi na pozycjach fundamentalistycznie religijnych, ale swoimi przekonaniami nie tłucze mnie po głowie. Jest przykładem kogoś, kto mając poglądy dość skrajne, jednak jest w stanie rozmawiać z takimi odmieńcami jak ja.

Kochasz ją?
– Tak.

A brata?
– Mam cały szereg wzruszeń, które go dotyczą, szczególnie z wczesnych lat...

Właśnie widzę.
– Był zaczątkiem wspaniałego człowieka – wrażliwego, inteligentnego, otwartego na świat – który moim zdaniem sam siebie zniszczył przez bezpardonowe dążenie do realizacji własnych, egotycznych celów. Odgrywa teraz spektakl swych przekonań, swych racji, swej mądrości – głównie wobec fanów, bo ma przede wszystkim fanów, przyjaciół niekoniecznie.

Też miałaś szansę wejść w tę narrację patriotyczno-patetyczną już choćby z silnej ludziom potrzeby przynależności.
– Czułam jednak powierzchowność pewnych sposobów opowiadania rzeczywistości, a zrozumiawszy uproszczenia, które były mi w rodzinie serwowane, nie przyjęłam ich. Poza tym, już ci mówiłam, chcę sama dochodzić istoty rzeczy. Także w rodzinnych losach.

Nie wiem, czy zauważyłaś, że w tej olbrzymiej genealogii pojawili się też zwykli ludzie. Mimo arystokratycznych czy szlacheckich uzurpacji w mojej rodziny pojawili się chłopi, ludzie bez żadnych tytułów, rzemieślnicy i urzędnicy. Piekarze, stolarze, poborcy podatkowi.

Wśród nich uwielbiam mego prapra-pradziadka, ślusarza z Kalisza. Wyszedłszy z absolutnych nizin społecznych, był nieślubnym dzieckiem wyrobnicy, wychował ze swoją żoną dziewięcioro dzieci i wszystkie świetnie wykształcił, najwyraźniej dzięki swemu ślusarskiemu kunsztowi. Tak jest w metrykaliach. Ale Braunowie wierzyli w legendę, że był szwoleżerem i bił się pod Somosierrą.

Zdemaskowałaś bigamistę.
– Mego praszczura. Miał równocześnie dwie żony. Z jedną dzieci w Warszawie, a z drugą na Podolu. Dobrze, że na to Podole trafił, bo dzięki temu urodziła się Seweryna z Żulińskich Millerowa, moja piękna prababka, której zdjęcie umieściłam na okładce „Migreny".

Namiętnie rysowałam drzewo genealogiczne, żeby każdemu dać miejsce i umieścić go w sieci związków. Nikt nie jest już sam, tylko z kimś. Choćby na karcie mojej książki. Z trudem odrywałam się wtedy od pisania, tak ogromną radość sprawiało mi odkrywanie ludzi nieistniejących do tej pory w mojej rodzinie, która pielęgnowała pełną patosu wizję przeszłości. Tamci, zbyt zwyczajni, nie pasowali do tego modelu.

Czy myślałaś, że jesteś im winna ich opisanie?
– Ja jestem trochę jak mormoni, którzy spisują wszystkie dusze. I moja praca nad tą książką była przyczynkiem do takiego podejścia do świata.

Każdemu się wydaje, że jego los jest wyjątkowy i bezcenny. Potem umiera. Zapominane są opowieści o nim, listy, siedziby, miłości, choroby.

Szukałam tego, bo w ich imieniu czułam żal o to znikanie. Ujawniłam metryki i jeździłam na groby ludzi wytartych z rodzinnej opowieści albo tych, których wytarł z niej czas. Wszyscy nagle zaistnieli w konkretnych miejscach, domach, małżeństwach, nad rzekami, które wciąż płyną.

Znów związałaś ich losy. Napisałaś jednak historię utraty i przemijania. Jak to się w tobie odłożyło?
– Jeździłam w różne miejsca i szukałam starych grobów, cegieł albo torów kolejowych. Myślałam: czy to po tych kamieniach szedł tamten, ten lub ów, czy może to są już inne kamienie? Wzrusza mnie to, co było, a czego już nie ma. Dotyczy to także materii: zniszczonych domów, rozbitej porcelany, desek z warsztatu mojego prapra-pradziadka Andrzeja, stolarza, które może jeszcze gdzieś leżą we Lwowie. Dużą część mnie wypełniają rzeczy już nieistniejące, ale dla mnie tak istotne. Nie tylko te dotykalne.

Zniknęły halsztuki i robrony, zniknęli tamci ludzie i tamte sytuacje, ale paradoksalnie ja ich wszystkich odzyskałam. Dzięki nim zaczęłam wyraźniej i bardziej serio przyjmować własne starzenie się. Jestem zaprzyjaźniona ze śmiercią. Od dawna myślę, że w każdej chwili może nadejść, ale nie boję się tego. Jak u Lipskiej: „Ucz się śmierci. Na pamięć". Uczę się więc codziennie.

To piękny wers, ale jak go przenieść w praktyczną codzienność?
– Wyobrażam sobie zgony moich przodków wzmiankowane w metrykach. Co czuli, czego żałowali? Trzydziestodwuletnia Serweryna Millerowa, przypadkowo zatruta w 1873 roku w Odessie chloroformem

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

z apteczki męża lekarza, zostawiła pięcioro dzieci.

Prapraprapradziadek Ignacy Miler, zmarły w 1845 roku Żytomierzu, gdy jego ukochani synowi byli na emigracji, majątek popadał w ruinę.

W 1861 roku pogrzeb dwunastoletniego Ferdynanda, przyrodniego brata mego pradziadka, w Bochni. Jest czerwiec, pewno kwitną akacje.

Mam w głowie całą kartotekę tych śmierci. Także dlatego, że z niechęcią patrzę na cywilizację, która umieranie usuwa poza obręb refleksji, jakby życie i użycie, gromadzenie rzeczy i konsumowanie świata miały trwać wiecznie. A wieczny jest tylko cykl rodzenia się i odchodzenia.

Teraz uświadamiam sobie, że o tym jest sporo we wszystkim niemal, co piszę.

Odzyskałaś linię kobiecą i, czytając twoją książkę, czułam, że odczuwasz z nią silną więź. Dlaczego więc nie poszłaś w historię rodu po kądzieli, tylko po mieczu?
– A jakże pójść inaczej, skoro każdy dokument, każdy tekst w gazecie i większość opowieść jest zapisana z punktu widzenia mężczyzn? To ich przede wszystkim opisują metrykalia. Ale jak tylko mogłam, starałam się te kobiety skazane na niebyt ujawnić. Dlatego podoba mi się judaizm: Żydem jest się po matce.

Wciąż doskwiera ci to poczucie braku?
– Tak. Dotyczy ono Żydów, ale próbowałam też objąć nim ściany domu, w którym mieszkam, i Niemców, którzy w nim żyli. Powyciągałam stare plany z Archiwum Budowlanego, zastanawiałam się, kto tu spał, palił w piecach, gotował. Czy wolał kartoffelsalat czy linsensuppe?

Plany i fotografie tego miejsca sprzed wojny wiszą na parterze kamienicy.
– Tak, prawie jak w muzeum. Jestem przewodniczącą wspólnoty mieszkaniowej, którą założyłam. Od lat walczę o tę kamienicę. Najpierw remontowałam elewację, która była tak samo zniszczona jak w większości starych kamienic we Wrocławiu. Wzięliśmy z sąsiadami niekomunalnymi wysoki kredyt, a gmina, która ma prawie 40 procent udziałów, wyłożyła resztę.

Po trzech latach znów namówiłam sąsiadów na remont klatki schodowej, ale już nie w kredycie, tylko za gotówkę. Podczas prac malarskich zostały odkryte na suficie malowidła z końca XIX wieku. Znalazłam wspaniałą konserwatorkę, która je restauruje. Sąsiedzi, zobaczywszy to, zachwycili się razem ze mną i bez wahania dali także pieniądze na renowację.

Czy sąsiedzi zajmujący mieszkania komunalne doceniają to piękno i dbają o nie?
– Zrzucają przez balustradę popiół od papierosów, a ja dostaję hyzia, że za chwilę powypalają dziury w nowej wykładzinie.

Nie można z nimi porozmawiać?
– Dzisiaj miałam taką nieudaną rozmowę. Bo ja, jak jest sprawa, to staram się ją załatwić. Idę. Gadam. Dzięki temu latami funkcjonowała moja rodzina, dzięki temu funkcjonuję ja. Sąsiedzi komunalni owszem, słuchają mnie, ale nie robią tego, o co ich proszę, co im nawet wybaczam, choć na bieżąco jest to bardzo dotkliwe.

Piją czy uderzam w stereotyp?
– Owszem. W domach i na podwórku. Czytałaś „Wielką trwogę" Zaremby i „Prześnioną rewolucję" Ledera? Są o tym właśnie. Pokazują wyraźnie, skąd wzięły się choroby i skazy społeczne, skąd tak wielka pogarda wobec tego, co wspólne. Atomizacja oraz jej pochodne: agresja i niechęć do reszty, niezabieranie głosu w sprawach publicznych, podejrzliwość, brak zaufania i troski o materię, jeśli nie jest własna. W ogóle brak troski o cokolwiek.

Jak u Miłosza: „W byle jakim siedzisz domu, aby do wiosny./ Kwiatów nie ma w ogrodzie, bo i tak stratują". Żyjemy w społeczeństwie, w którym wciąż działa mechanizm pilnowania tylko swego nosa i nicnierobienia dla wspólnoty, bo poza ludźmi najbliższymi wszyscy mogą cię oszukać, wyrolować, okraść, zgwałcić i dlatego lepiej trzymać się z daleka. I moi komunalni sąsiedzi żyją według tej zasady.

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Towarzyszą mi wstyd i zażenowanie, bo to człowiek, który nosi to samo nazwisko, z którym jako dzieci kąpaliśmy się w jednej wannie i potem razem jedliśmy kaszkę mannę polaną przez mamę sokiem malinowym

W odnowieniu kamienicy chodzi ci o przywrócenie jej piękna, ale dlaczego właściwie ci na tym zależy?
– Żyję w przekonaniu, że jesteśmy odpowiedzialni za każdą rzecz, która weszła w nasze ręce. Obecnie szasta się wszelką materią, lekceważy ją i marnuje. Ja tego nie robię. Obchodzę się z nią łagodnie, oszczędzam ją.

Nie wyrzucam jedzenia, tak nim gospodaruję, że nie zostaje ani krztyna. Marchewki tylko myję, a nie obieram, i podobnie czynię ze wszystkimi warzywami i owocami, których można nie obrać. Troska dotyczy też ubrań, książek, papierów. Kamienic. Staram się mieć pieczę nad tym, co nieożywione, a więc bezradne. I ożywione takie bywa: dzieci, studenci, starzy rodzice.

Dlaczego oszczędzanie materii jest dla ciebie tak ważne?
– Substancja daje nam wgląd w świat niewidzialny. Choć religijna nie jestem, bez bliskości sfery duchowej nie mogłabym istnieć. A materia tam mnie prowadzi. Jest jak Heideggerowski prześwit. Wiedzie ku szerszemu światu.

Obraz Mehoffera mówi mi o głodnym malarzu cyzelującym wizerunek w nieogrzanym krakowskim domu i moich dziadkach oraz ich rodzinie. Patrzyli nań przez lata katastrof dziejowych, stalinowskich wyroków i nędzy, wierząc w Boską pomoc. Co z tego, że ja w to nie wierzę? Ich przeżycia były ważne i prawdziwe.

Czy przedmioty, które przechowujesz, są dla ciebie jak wehikuły do przeszłości, czy idzie ci o ich niemarnowanie właśnie?
– Widzisz, to jest sekretarzyk mojej prababki ze strony mamy. Stoją w nim rodzinne filiżanki, niektóre kiepsko posklejane, z których piła moja babcia, co pamiętam. Ale pożaru, który strawił kamienicę na Marszałkowskiej, gdzie mieszkali pradziadkowie, nie pamiętam, tylko zastanawiam się, jakim cudem uratował się ten mebel.

Martwię się, że kiedy umrę, moje córki nie będą przypisywały takiego znaczenia tym przedmiotom, które tu są.

Może będą nosić pierścionek po prababce?
– Mam nadzieję. Ja noszę go na palcu wskazującym, bo jest dość szeroki. Podczas zaręczyn w 1928 roku dziadek włożył go babci zapewne na palec serdeczny. To jest cud, że przetrwał. Przez bardzo długi okres powojenny babcia żyła w nędzy i wszystko wyprzedawała. Ten pierścionek kondensuje w sobie jej biedne życie. Czule przez nią przechowywany dała mi po śmierci babci jej najstarsza córka.

A to jest z kolei zaręczynowy pierścionek mojej mamy. Zobacz, skromniejszy, czasy były już gorsze. Myślę, że dużo się od niej nauczyłam o kobiecej sile. Trzy ciężkie porody, chorujące dzieci, a mimo to zawsze obiad i ciasto. Uśmiech.

Ojciec wyjeżdżał do różnych sanatoriów, w tym zagranicznych, ona zostawała z nami. Byli na początku bardzo kochającym się małżeństwem, a i teraz przez te ostatnie lata tato był wobec mamy bardzo opiekuńczy, ona czuła dla niego.

Zastanawiasz się, jak poradzisz sobie z ich odejściem?
– Latami się tego bałam. Ich istnienie było po trosze moim istnieniem. Bo miałam z nimi zawsze dobry kontakt. I takie poczucie, że nawet jeżeli nie rozmawiamy tym samym językiem i nie uznajemy tych samych spraw za ważne, to łączą nas pamięć, podobne lektury, obejrzane spektakle, przeżyte zdarzenia.

W tej chwili oddzielają się od życia i w pewnym sensie odeszli ode mnie, nie dlatego jednak, że chcieli mnie opuścić, tylko dlatego, że patrzą już ku drugiej stronie. Tak mi się zdaje.

Łączy was jeszcze migrena.
– Ja akurat jej nie mam. Ale miewali ją: ojciec, dziadek, ciotki, prababka, jej ojciec itd. Mam udokumentowanych sześć pokoleń cierpiących na migrenę. Dla mnie ta trochę tajemnicza choroba nie tylko jest skurczem naczyń krwionośnych, ale też – wraz z niezwykłą aurą, światłowstrętem, nudnościami – wyraża niemożność znoszenia samego życia. Wydaje się bolesną walką między istnieniem a niemożnością istnienia. Prowadzi mnie też ku mrocznej stronie bytu i przeszłości licznych generacji.

Migrena to jest być w rodzinie i przestać w niej być, bo archiwalia giną, płoną, są niszczone. Migrena to jest być ślusarzem i dlatego nie być szanowanym przez tych, którzy uzurpują sobie prawo do lepszej pozycji społecznej.

Myślę zresztą, że w tym kraju wielu jest chorych na ciężki ból głowy. Ludzi żyjących w rozdwojeniu między potrzebą wykazania swojej lepszości a wciąż wracającym poczuciem historycznego niewydarzenia, między zadufaniem a patosem klęski.

Zdążyłaś porozmawiać z rodzicami o swojej książce?
– Starałam się zdekonstruować wzniosłą wizję dziejów rodziny, ale to mi się nie udało. Nikt tej prawdy nie potrzebuje poza Magdą Smolską-Kwintą, która wyszperała ze mną cudowne dokumenty. Poza nią nikt nie dzieli w pełni mojej radości z odkrytych, ale martwych ludzi, z wiedzy o nieistniejących domach i cmentarzach.

A liczyłaś na to?
– Tak, trochę liczyłam.

Że co? Że tata...
– ...się ucieszy. A on nawet nie zapamiętał, gdzie studiował jego dziadek. I nadal przekazywał w swoich książkach zmyślenia, które odziedziczył po rodzinie, choć przeczą temu dokumenty. Lubimy bajki i każdy z nas ma swoją. Tyle że moja bajka jest bardziej faktograficzna w tym względzie.

Malujesz jeszcze?
– Układając słowa w obrazy w moich książkach, dbam o dom, komponuję kwiaty w wazonach, układam plasterki pomidora; on ma taki niezwykły deseń, gdy się go rozkroi. Wierzę rzeczom małym, przyziemnym, dlatego irytuję mnie ludzie, a są to głównie mężczyźni, którzy całą tę sferę pomijają, ceniąc przede wszystkim swoją pozycję, apanaże, sukcesy, rozgłos.

Kobiety też takie bywają, ale znacznie rzadziej. Unikam więc spotkań wypełnionych drobnymi i wielkimi aktami autopromocji, błahymi tematami, powielaniem kalek kulturowych i niesłuchaniem. Bo prawdziwie słuchać umie bardzo niewielu. Szukam istotnej, uważnej wymiany myśli. Bez tego szybko się nudzę.

Tym bardziej odczuwasz samotność?
– Lubię ją. Nie rozumiemy się, nawet najbliżsi. Zdarzają się tylko momenty kontaktu. Traktuję to jako cud. Poza tym płyniemy przez kosmos raczej osobno. „Ani nam witać się ani żegnać żyjemy na archipelagach/ a ta woda te słowa cóż mogą cóż mogą książę", jak pisze Herbert.

Choć wierzymy, że to rozmowa, używamy języka tylko jako pewnego komunikacyjnego prowizorium, narzędzia sprzedawania informacji, a intelektualiści, którzy mają ich sporo, łatwo ulegają złudzeniu, że to jest porozumiewanie się.

Zresztą może wiele osób żyje w takiej iluzji, bo jakże można istnieć bez poczucia bliskości? A jednak stale trafiamy na obcość. Gdybyż rozmawianie mogło się stać normą polityki czy edukacji, gdyby mój brat rozmawiał, a nie tylko informował i dyktował, gdyby...

Stąd może chętnie spotykam się z przodkami, z materią nieożywioną, z literaturą i z ludźmi, z którymi zdarzają się rozmowy, za którymi potem tęsknię latami. ●

eprasa.pl 1f82165fe2

KRAJ

Interesujący ludzie w komisjach wyborczych

RUCH TAK ŚMIESZNY, *że* STRASZNY

Roman Giertych ma rację. Trzeba przeliczyć wszystkie głosy

Dominika Wielowieyska

Trwa wojna PiS z Romanem Giertychem, który najmocniej podnosi kwestię przeliczenia głosów w wyborach prezydenckich.

Z Giertychem wojuje też TV Republika Tomasza Sakiewicza. Ta rozgrywka zamieniła się w farsę, która ośmieszyła Sakiewicza i jego ekipę w składzie: Piotr Nisztor (jego żonie i ojcu prezes Orlenu Daniel Obajtek załatwiał pracę), Cezary Gmyz, Wojciech Mucha i Michał Rachoń. W tym roku już nic śmieszniejszego nie zobaczycie.

A było tak: w zeszłym tygodniu Republika w atmosferze sensacji ogłosiła, że ma kompromitujące nagrania rozmów Giertycha z Tuskiem. Przez kilka dni grzała temat, że to „afera podsłuchowa 2.0", która obali rząd.

Między Republiką a telewizją wPolsce24 Michała i Jacka Karnowskich trwa rywalizacja o panowanie na rządem dusz PiS-owskiego elektoratu. Więc Michał Karnowski też postanowił przez kilka godzin stopniować napięcie, aby ostatecznie w piątek wieczorem odpalić – ku wściekłości Republiki – 7 sekund rozmowy Giertycha z Tuskiem z 2019 roku.

Giertych się martwił, że nie dostał od ówczesnego szefa PO Grzegorza Schetyny dobrego okręgu. – Gdzieś tam wschodnia Wielkopolska, Radom. Wszystko takie szity, wiesz – mówi na nagraniu. -Tam, gdzie zjepy są – dodaje Tusk.

PiS ogłosił, że obaj panowie gardzą elektoratem PiS, bo Tusk powiedział „zjeby". Giertych tłumaczył, że w slangu platformerskim „zjepy" oznacza skrót ZjP, czyli Zjednoczoną Prawicę. A słowa „szity" oznacza okręgi, gdzie KO nie zdobywa mandatu.

Zostawmy na boku ważny fakt, że Giertycha podsłuchiwano Pegasusem i zgodnie z prawem te nagrania powinny być skasowane, tymczasem PiS-owscy funkcjonariusze robili kopie, by podrzucać je kolegom z PiS-owskich mediów. Podobny wariant zastosowano wobec ważnego polityka KO, w 2019 r. szefa sztabu wyborczego, Krzysztofa Brejzy. Prokuratura powinna postawić zarzuty właściwym osobom z CBA.

Istotą tego kabaretu jest to, że akcja Karnowskich doprowadziła do szału Republikę. „Karnowski to głupiec. Fakt, nie opinia." – napisał na platformie X Wojciech Mucha z „Gazety Polskiej", wchodzącej w skład mini koncernu medialnego Sakiewicza. Ale najwięcej śmiechu było przy wpisie Jarosława Olechowskiego, innej postaci ze stajni „Sakiewki", jak nazywają właściciela Republiki sympatycy i wrogowie na prawicy.

•

„Redakcja śledcza TV Republika dotarła do materiałów odsłaniających kulisy funkcjonowania grupy polityków skupionych wokół Donalda Tuska. Zapis tych rozmów pokazuje ich sposób myślenia o polityce. (...) Dowiadujemy się także, kto jest w centrum wszystkich powiązań, kto jest rozgrywającym reżimu Tuska. (...)

Wiedza o tym, że je mamy dotarła do ludzi władzy. Zapewne stąd zmasowany policyjno-prokuratorski nalot, którego ofiarami od kilkunastu dni są organizacje i ludzie związani z Republiką.

Co więcej, już po tym, jak zapowiedzieliśmy publikację pełnych materiałów, jedna z redakcji zaczęła emitować kilkusekundowe wyrwane z kontekstu fragmenty. Nie zgadzamy się na »granie taśmami«, z których tajemniczy cenzor wykrawa fragmenciki i rzuca na żer sensatom. Zapewne jest to próba rozbrojenia bomby, która może wysadzić cały układ władzy. Dlatego z szacunku do naszych Widzów postanowiliśmy opublikować dziś zapis pierwszej rozmowy. Pozostałe materiały pokażemy zgodnie z zapowiedzią w poniedziałek o godzinie 20.20".

O co chodzi? Republika liczyła na powtórkę akcji prokuratury i ABW podczas „afery taśmowej" w 2014 roku, która przyczyniła się do wygranej PiS. Służby urządziły głupią akcję wchodzenia do redakcji „Wprost", by zabrać nośniki z plikami podsłuchanych rozmów w restauracji Sowa i Przyjaciele. (Prokuratura była nie pod bezpośrednią kontrolą Tuska, ale prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta, a funkcjonariusze ABW wykonywali polecenia prokuratury).

Sakiewicz już oczyma wyobraźni widział funkcjonariuszy, którzy wdzierają się do jego telewizji, Republika to transmituje na żywo, a oglądalność wystrzeliwuje w kosmos. Stąd plan grzania tematu z kilkudniowym wyprzedzeniem, aby służby zdążyły się ogarnąć i rozpocząć akcję. Ku żalowi Sakiewicza w jego telewizji żaden funkcjonariusz się pojawiał, a na domiar złego Karnowski odpalił bombę już w piątek, dlatego Olechowski oskarżał go o działalność dywersyjną w interesie „reżimu Tuska". To najcięższa zniewaga.

W sobotę rano Republika nie miała wyjścia i zaczęła emitować część rozmów Giertycha. Hitem miało być to, że Giertych popełnia błąd językowy, a Tusk go gani i poprawia: „to ja, Niemiec, muszę cię uczyć". PiS na platformie X wpadł w zachwyt. Na antenie Republiki Gmyz i Nisztor analizowali każde sformułowanie z nagrań, z których nic kompletnie nie wynika prócz tego, że Giertych był inwigilowany bezprawnie. Ale najśmieszniejsze miało dopiero nadejść.

Bowiem w weekend zaczęła krążyć plotka, którą słyszałam nie tylko od polityków PiS, ale i KO, że Republika ma nagrania także z 2023 czy 2024 roku. I to będzie dowód, że nie Pegasus jest ich źródłem, bo to podstępny Giertych sam nagrywał rozmówców na wszelki wypadek, tylko nie upilnował piwniczki z nagraniami. Zgodnie z tą plotką Republika miała odpalić w poniedziałek nagrania, na którym słynny mecenas, niegdysiejszy Wszechpolak i koalicjant Jarosława Kaczyńskiego, a potem jego groźny przeciwnik, szkaluje ministra sprawiedliwości Adama Bodnara.

To, co wydarzyło się w poniedziałek, przeszło wszelkie oczekiwania najzagorzalszych krytyków Republiki. Nisztor z Gmyzem odpalili nagranie, które miało obalić rząd, a okazało się publiczną wypowiedzią Giertycha zamieszczoną na YouTube. „Internety" zatrzęsły się ze śmiechu. A Giertych zażądał zapłaty za prawa autorskie.

Warto odnotować, że w sobotę Gmyz przekonywał, że nagrywanie i przetrzymanie rozmów mecenasa Giertycha z jego klientami nie jest sprzeczne z prawem, bo nie ma tam nic, co dotyczyłoby strategii obrończej. Chodziło o rozmowę z Tuskiem. Ale we wtorek usłyszeliśmy nagrania z 2019 roku, w których

• Turosin Kościelna na Podlasiu - głosownie w II turze wyborów prezydenckich (1.06.2025)

Giertych rozmawia z biznesmenem Leszkiem Czarneckim, którego reprezentował, o kłopotach z wymiarem sprawiedliwości. Była to więc rozmowa adwokata z klientem. To kolejny dowód na łamanie prawa.

Podsumowując: jedynym efektem całej operacji przez przedstawienie przez Republikę dowodów na to, że w służbach za czasów PiS panowało bezprawie.

•

Giertych jest obiektem ataków środowiska PiS, bo domaga się przeliczenia głosów w wyborach prezydenckich w skali kraju. Argumentuje, że wątpliwości jest bardzo dużo, ponieważ już wiadomo, że w niektórych komisjach obwodowych zamieniono wyniki kandydatów w II turze. Komisjach całkiem licznych – Sąd Najwyższy zarządził ponowne liczenie głosów w trzynastu.

A Giertych wskazuje na inny problem: podkreśla rolę członków wyborczych komisji obwodowych, rekrutujących się z nadzorowanego przez Przemysława Czarnka Ruchu Kontroli Wyborów.

Na tym nie koniec. Aż 4 tysiące przewodniczących komisji obwodowych pochodziło z komitetów, których kandydaci nie zdobyli wymaganej liczby podpisów. W tych wyborach startowała nie tylko rekordowa liczba kandydatów, ale też zarejestrowano najwięcej w historii komitetów, których kandydaci nie weszli nawet do pierwszej tury.

W liczbach wygląda to tak: w pierwszej turze było „tylko" 13 kandydatów, ale komitetów zarejestrowało się aż 44. Większość nie zebrała 100 tysięcy podpisów, jednak dzięki zarejestrowaniu komitetu wyborczego mogli wysłać tysiące wysłanników do komisji obwodowych. Tych komisji było ponad 30 tysięcy. Zdarzało się, że komitety kandydatów, którzy nawet nimi nie zostali, obsadzały przewodniczącymi czasem więcej komisji niż kandydaci z wymaganą liczbą podpisów. Giertych wskazał, że rekordzistą jest Romuald Starosielec. Związani z nim działacze stanęli na czele aż 702 obwodowych komisji wyborczych. Starosielec reprezentuje skrajnie prawicowy Ruch Naprawy Polski z okolic prawego skrzydła PiS, Konfederacji i Grzegorza Brauna.

Inni kandydaci „na niby" ze skrajnej prawicy także obsadzili wiele komisji. A to przewodniczący tychże przenoszą dane z „brudnopisu" do systemu elektronicznego PKW. Nie wiadomo natomiast, ilu przedstawicieli związanego z PiS Ruchu Kontroli Wyborów znalazło się w komisjach obwodowych. Ale nie ulega wątpliwości, że Nawrocki miał tu sporą armię.

Giertycha wiele osób, nie tylko z PiS, uważa za osobę radykalną, a tym samym niewiarygodną. Ale fakty, które podaje, nie powinny być lekceważone.

•

PKW przyjęła w poniedziałek 16 czerwca sprawozdanie z wyborów prezydenckich. Wysłała je do Sądu

2 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Najwyższego, który zajmie się stwierdzeniem ważności wyboru prezydenta. PKW wskazuje 11 przypadków, w których protokoły z głosowania w drugiej turze zostały sporządzone błędnie poprzez przypisanie jednemu kandydatowi liczby głosów zdobytych przez drugiego. W dwóch przypadkach mowa o przypisaniu głosów Karola Nawrockiego Rafałowi Trzaskowskiemu, w pozostałych – o odwrotnym.

PKW zwraca uwagę na „występowanie powtarzalnych błędów w protokołach niektórych obwodowych komisji wyborczych polegających na nieprawidłowym przypisaniu liczby głosów oddanych na poszczególnych kandydatów”. „Schemat nieprawidłowości wskazuje na konieczność pogłębionej analizy przyczyn ich występowania”.

W raporcie Komisji pojawiły się także informacje o nieautoryzowanej przez organy wyborcze aplikacji Ruchu Kontroli Wyborów (nazywanej w mediach „aplikacją Mateckiego”), która miała służyć do kontroli zaświadczeń o prawie do głosowania.

To istotny problem. W sprawozdaniu PKW czytamy: „Do Państwowej Komisji Wyborczej docierały sygnały o niewydawaniu kart do głosowania wyborcom, którzy przedkładali obwodowej komisji wyborczej zaświadczenie o prawie do głosowania. Z uzyskanych informacji wynikało, iż niektórzy członkowie obwodowych komisji wyborczych przy weryfikacji zaświadczeń o prawie do głosowania postępowali niezgodnie z wytycznymi PKW, korzystając w sposób bezprawny z nieautoryzowanej aplikacji, która miała rzekomo na celu sprawdzenie, czy na podstawie owego zaświadczenia wyborca nie oddał już wcześniej głosu”.

Jednocześnie sztab Rafała Trzaskowskiego złożył kompleksowy protest wyborczy, w którym wskazuje na anomalie statystyczne dotyczące podliczania głosów i głosów nieważnych.

Sztab podnosi następujące wątpliwości.

- Niewytłumaczalny wzrost głosów nieważnych z podwójnym znakiem „X” tam, gdzie Trzaskowski wygrywał w I turze (średnio 149,9 procent). W komisjach, gdzie wygrał Nawrocki – tylko 44,6 procent. Ponad trzykrotna różnica.
- Równie drastyczny wzrost dotyczy głosów nieważnych ogółem – z naciskiem na puste karty. W komisjach, gdzie wygrał Trzaskowski – wzrost głosów nieważnych ogółem wyniósł średnio 177,5 procent. W komisjach, gdzie wygrał Nawrocki – tylko 77,9. To ponad czterokrotna różnica w liczbie pustych kart.
- 800 komisji z podejrzanie wysokim wynikiem Nawrockiego – wyliczone na podstawie modelu UCE Research. W 800 komisjach Nawrocki otrzymał 33 procent więcej głosów, niż przewiduje model przepływów elektoratu. Suma tych nadwyżkowych głosów: ponad 36 tysięcy. Analogiczne przypadki na korzyść Trzaskowskiego: 200 komisji, 4 tysiące głosów. Stosunek 9:1. Zbyt duży, by go zignorować.
- 7 przesuniętych głosów na komisję = 442 778 głosów różnicy w skali kraju 7 głosów odjętych Trzaskowskiemu i dodanych Nawrockiemu × 31 627 komisji = 442 778. To wystarczy, by odwrócić wynik wyborów.

Czego domaga się sztab? Przeliczenia głosów w skali całego kraju albo przynajmniej przeliczenia ich tam, gdzie nastąpiły anomalie statystyczne.

Ten drugi postulat wydaje się najbardziej rozsądny. Jeśli Sąd Najwyższy go nie uwzględni, wówczas wynik wyborów wciąż może budzić wątpliwości. Ponowne przeliczenie głosów według propozycji sztabu Trzaskowskiego może zresztą stać się dowodem, że – mimo nieprawidłowości – wygrana Karola Nawrockiego nie budzi żadnych zastrzeżeń, bo skala pomyłek czy nawet fałszerstw, jest niewielka. Ale żeby to wiedzieć, trzeba przeliczyć głosy. Da to jeszcze jeden ważny skutek: pewność wszystkich wyborców, że ich głos został policzony prawidłowo, podniesie zaufanie obywateli do procesu wyborczego.

●

Nie wiemy, ile osób z Ruchu Kontroli Wyborów znalazło się w komisjach obwodowych i co tam robili. Wiemy natomiast, co ci ludzie robili przed wyborami. Oto przykładowy wpis lidera Ruchu Marcina Dybowskiego:

„Sylwester Marciniak (przeszłość między innymi Wojskowa Służba Wewnętrzna) ogłosił w niedzielnej konferencji prasowej, że wszystkie karty wyborcze, które mają obcięty inny róg niż prawy górny, są kartami NIEWAŻNYMI. Ruch Kontroli Wyborów otrzymuje z całej Polski informacje o tym, że takie nieważne karty zostały dostarczone do wielu Obwodowych Komisjach Wyborczych. PKW przygotowała przewał, odbierając z drukarń źle wydrukowane karty i puszczając je w obieg (procedura jest wielostopniowa i musieli wiedzieć o wadliwości kart) – to da możliwość unieważnienia wyborów oraz:

1. Przełożenie na jesień lub zimę wyborów i ogłoszenie Hołowni p.o. Prezydenta po to by ten podpisał wszelkie zło, przede wszystkim inkorporację Polski do federalnej UE. 2. Wymianę kandydata, jeśli okaże się, że Trzaskowski przegrał, a przegra i oni o tym wiedzą dlatego przygotowali taki wariant!!!

Marcin Dybowski, prezes Ruchu Kontroli Wyborów”.

Można się zastanawiać, czy Dybowski nie kwalifikuje się do odpowiedzialności karnej za szerzenie dezinformacji, bo teoria spiskowa o „przewale” PKW przekracza granice. Ale w kontekście wątpliwości Giertycha istotniejsze jest to, że wiele wskazuje, iż w Ruchu Kontroli Wyborów są ludzie fanatyczni, zdolni do rozmaitych działań, których nawet PiS nie był w stanie kontrolować. Dybowskiego zresztą po cichu napominano, aby nie przesadzał, ale bez rezultatu.

Sposób myślenia i nastroje na granicy spiskowego szaleństwa w tym środowisku pokazuje atak na szefa PKW Sylwestra Marciniaka. Dybowski przypisuje mu pracę w WSW. Wojskowa Służba Wewnętrzna to służba kontrwywiadowcza i ochraniająca wojsko, uznana przez Instytut Pamięci Narodowej za organ bezpieczeństwa PRL, a więc nic chwalebnego. Marciniak faktycznie odbył szkolenie w WSW jako student w ramach obowiązkowej służby wojskowej. Nic z tego nie wynika. Natomiast szef PKW zasłynął jako gorący obrońca PiS, gdy Państwowa Komisja Wyborcza wytykała rażące łamanie prawa przez tę partię w kampanii wyborczej w 2023 roku. To Marciniak nieustająco wymagał od ministerstwa finansów, by wypłaciło subwencję PiS-owi, którą ta partia utraciła.

Ale nawet to nie uchroniło go przed zarzutami żołnierzy Czarnka. Trudno opędzić się od myśli, że ludzie o takim światopoglądzie i „mentalu” mogli w komisjach obwodowych odpalać różne akcje, które nie mieszczą się nam w głowie.

●

Dodatkowym problemem jest to, że ani obóz PiS, ani prezydent Andrzej Duda, ani prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska nie chcieli się zgodzić na to, by ważność wyborów oceniali sędziowie, których status nie budzi wątpliwości.

Sejm uchwalił ustawę incydentalną, która zakładała, że o ważności wyborów prezydenckich zdecyduje grono sędziów SN o najdłuższym stażu. Ich umocowanie prawne nie jest kwestionowane. A PSL, by uwiarygodnić pomysł w oczach podejrzliwej prawicy, podnosił, że większość z tych sędziów powołał przecież prezydent Lech Kaczyński. Ale Duda ustawy nie podpisał i Manowska upiera się, że wyborami zajmie się Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN – ta, której legalność kwestionuje i Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, i Europejski Trybunał Praw Człowieka.

Duża część sędziów nie uznaje tej Izby, podobnie jak koalicja rządząca. Nie chodzi jedynie o status. W składzie tej Izby, powołanej, aby zabezpieczać szeroko pojęte interesy PiS, zasiadają ludzie bezpośrednio związani z tą partią i jej politykami. Co więcej, orzekając o ważności wyborów, niejako orzekają we własnej sprawie, bo jeśli Nawrocki wygra, to ich los jest zabezpieczony; jeśli wygrałby Trzaskowski, w oczywisty sposób sytuacja by się zmieniła na ich niekorzyść: Izba zostałaby zlikwidowana. Z założenia więc wszyscy w Izbie powinni się wyłączyć z orzekania w tej sprawie.

Zapowiadając bombę z nagrań Giertycha i Tuska Sakiewicz oczyma wyobraźni widział funkcjonariuszy, którzy wdzierają się do jego telewizji, Republika to transmituje na żywo, a słupki oglądalności wystrzeliwują w kosmos

Tak się składa, że już od dłuższego czasu trzech członków Izby nie chce orzekać do czasu wyjaśnienia wątpliwości wokół jej statusu, co oznacza, że środowisko neo-sędziów nie może być traktowane jako jednolite. Część uznaje, że wyroki TSUE i ETPCz powinny być implementowane, większość nie widzi problemu.

Prezes tej izby Krzysztof Wiak to kolega z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Przemysława Czarnka – a więc potencjalnego szefa przyszłej kancelarii Karola Nawrockiego – przedstawiciel ultrakonserwatywnego, powiązanego z PiS, stowarzyszenia Ordo Iuris. Wiak brał pieniądze ze słynnego rozdającego lekką ręką dotacje Funduszu Sprawiedliwości, który jest pod lupą prokuratury. To Wiak pisał ekspertyzy prawne dla ekipy Zbigniewa Ziobry, z których miało wynikać, że pieniądze z tego funduszu wcale nie muszą pomagać ofiarom przestępstw i mogą być wykorzystane na inne cele. Na jakie zostały wykorzystane, wiemy z aktu oskarżenia w sprawie księdza Michała O. i urzędniczek resortu sprawiedliwości, który już jest w sądzie, inne akty jeszcze się piszą.

W Izbie Kontroli zasiada też Aleksander Stępkowski, także rekrutujący się z Ordo Iuris, były wiceminister spraw zagranicznych w rządzie PiS. Są tam Joanna Lemańska, koleżanka Andrzeja Dudy oraz Elżbieta Karska, żona byłego europosła PiS Karola Karskiego. Jest Tomasz Demendecki, promotor pracy doktorskiej Łukasza Piebiaka, byłego wiceministra sprawiedliwości, bohatera afery hejterskiej w tym resorcie.

I jest Marek Dobrowolski z KUL – przypadek ciekawy, bo ów sędzia chciał się wyłączyć z orzekania w sprawie subwencji PiS, której jak lew bronił przewodniczący Marciniak. Dobrowolski wskazywał na swoje związki z rządem PiS, ale koledzy neo-sędziowie ten wniosek odrzucili.

Nie bez powodu większość składu Izby Kontroli wygląda tak, a nie inaczej: spełnia swoją rolę, zabezpieczając między innymi los Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika czy właśnie sprawę subwencji PiS. Dodajmy, że ci neo-sędziowie, którzy wzywają do realizowania wyroku TSUE, byli przez prezes Manowską nękani postępowaniami dyscyplinarnymi.

Mamy więc w Sądzie Najwyższym sytuację tragiczną pod wieloma względami.

Izba Kontroli skompromitowała się uzasadnieniem uchylenia decyzji PKW o odrzuceniu sprawozdania z kampanii komitetu wyborczego PiS. PKW odrzuciła je, uznając, że komitet łamał prawo, a to skutkuje utratą subwencji przez tę partię. Jednym z przykładów łamania prawa było finansowanie przez resort obrony pikników wojskowych, które przyciągały mieszkańców atrakcjami, a goszczący tam Jarosław Kaczyński wzywał do głosowania na PiS w 2023 roku. Była to agitacja wyborcza za pieniądze MON, co jest niedopuszczalne. Izba Kontroli orzekła jednak, że Kaczyński działał na szkodę komitetu wyborczego PiS bez tegoż komitetu wiedzy. Chyba nie było większego absurdu w sędziowskich uzasadnieniach wyroków.

Ci sami ludzie będą teraz orzekać o ważności wyborów, w których liczenie głosów budzi poważne zastrzeżenia. W takim układzie jedynym wyjściem ratującym sytuację jest decyzja o ponownym przeliczeniu głosów nie tylko w 13 wskazanych już komisjach obwodowych, ale we wszystkich tych, w których – zdaniem sztabu Trzaskowskiego – doszło do anomalii statystycznych.

My, obywatele, mamy prawo wiedzieć, ile dokładnie głosów zdobyli dwaj kandydaci, którzy weszli do drugiej tury wyborów prezydenckich. ●

eprasa.pl 1f82165fe2

Ludzie głosują „przeciw emocji”

Marcin Matczak

Na dwa lata przed wyborami, które – jeśli wygra je PiS z Konfederacją – mogą pogrzebać idee liberalne na wiele lat, trzeba pochylić się nad porażką w walce o wyobraźnię.

W polityce XXI wieku nie wygrywa ten, kto ma rację, lecz ten, kto rozumie emocje. Zwycięża nie projekt ustrojowy, lecz historia, która rezonuje z lękiem, tęsknotą albo nadzieją wyborcy. A historia nie działa bez twarzy, symbolu, obrazu. Przez ostatnią dekadę liberalna strona sceny politycznej – nie tylko w Polsce – przegrała właśnie na tym froncie. Przegrała walkę nie o prawdę, lecz o wyobraźnię.

Zamiast mówić do ludzi, mówiła do ekspertów. Zamiast opowieści oferowała tabelki. Zamiast emocji – moralizowała. Postulaty nie były złe, ale niewielu chciało ich słuchać.

Na dwa lata przed wyborami, które – jeśli wygra je PiS z Konfederacją – mogą pogrzebać idee liberalne na wiele lat, trzeba pochylić się nad tą porażką w walce o wyobraźnię.

Porażka w starciu symboli

Liberałowie uznają emocje za coś, co zakłóca racjonalny proces polityczny. A powinni potraktować je za główny element tego procesu. Psychologowie poznawczy od dawna wskazują, że emocje poprzedzają procesy racjonalne. Badania nad tzw. rozumowaniem ukierunkowanym motywacyjnie dowodzą, że ludzie najpierw czują, dopiero potem szukają argumentów i uzasadnień dla swoich postaw.

W świecie przeciążonym informacją emocja jest filtrem poznawczym. To ona decyduje, który przekaz do nas trafia. Nie czytamy programów – czytamy twarze. Nie analizujemy danych – szukamy historii, które dają ulgę, nadzieję lub potwierdzają nasze strachy.

Liberałowie zbyt długo utrzymywali, że emocje to domena „prostego ludu”, a ich własną bronią pozostanie rozum, edukacja i fakty. Przedstawiali wyborców prawicy jako „nieracjonalnych”, a oni tymczasem reagują na realne poczucie zagrożenia: przed chaosem, marginalizacją, utratą tożsamości.

Rezultat tej liberalnej strategii widzieliśmy 1 czerwca: utrata zdolności do angażującego opowiadania o świecie i porażka w starciu symboli. Bo ludzie głosują nie „za” programem, lecz „przeciw” emocji, której nie chcą czuć.

Figura działa lepiej

Dlatego współczesna prawica – od Trumpa przez Le Pen po Konfederację – zbudowała swoją skuteczność nie tyle na programach, lecz na figurach na wskroś emocjonalnych: obcego, który zagraża, elit, które zdradziły, ojczyzny, która potrzebuje obrony. Przedstawia „lewaka” jako niefrasobliwego młodzieniaszka, w modnych okularach, z dyplomem z gender studies, który mówi z wyższością, nie rozumie prowincji i drwi z tradycji. I przeciwstawia mu figurę surowego ojca jako ratunek: silnego faceta (jak Trump, Orbán czy Nawrocki), który posprząta świat, przywróci ład i ukarze winnych.

Konkretna figura działa lepiej niż abstrakcyjna idea, bo zamienia emocję w rozpoznawalny obraz:

- Imigrant jako figura zagrożenia: młody, silny, inny kulturowo, groźny.
- Urzędnik jako figura pasożyta: leniwy, niewrażliwy.
- Aktywistka lewicy jako figura chaosu: krzycząca, radykalna, nieprzewidywalna.

To obrazy skuteczne nie dlatego, że prawdziwe, ale dlatego, że jednoznaczne emocjonalnie.

Liberalna odpowiedź, np. w temacie imigracji, była najczęściej defensywna i abstrakcyjna: „to nieprawda”, „dane są inne”. Ale to odpowiedź na poziomie faktów, a nie wyobraźni. Czy liberałowie potrafią budować kontrfigury, które również są emocjonalnie wyraziste, ale niosą inny przekaz:

- Imigrant jako sąsiad, który z błotem na twarzy pomaga wzmacniać wały przeciwpowodziowe.
- Urzędniczka jako opiekunka lokalnych wspólnot, która ze szczerą dumą oprowadza po nowym domu kultury.
- Aktywistka jako cicha bohaterka codziennej pomocy, płacząca, bo nie udało jej się uchronić podopiecznego przed samobójstwem.

To nie są opowieści z kampanii reklamowej. To rzeczywistość. Ale rzeczywistość musi zostać opowiedziana.

Kto jest lepszy w TikToka

Nawet najlepsza figura czy opowieść nie zadziała, jeśli nie trafi do odbiorcy. A dzisiejszy odbiorca nie ogląda paneli i nie czyta esejów. Dopiero po wyborach przedstawiciele koalicji dostrzegli polityczny problem TikToka – to, że w medium internetowym, które stało się dla wielu młodych ludzi głównym źródłem informacji o świecie, prawica wygrywa w cuglach. Dlaczego potrafi lepiej wykorzystywać ten kanał?

Prawicy jest łatwiej komunikować się w stylu TikToka, bo mówi prościej, bardziej emocjonalnie, koncentrując się na figurach wroga i obrońcy. Algorytmy tej platformy promują treści krótkie, wyraziste – najlepiej takie, które wzbudzają gniew, śmiech albo szok. A to właśnie język prawicy: oparty na kontrastach, uproszczeniach, poczuciu zagrożenia i szybkim podziale świata na „nas” i „ich”.

TikTok to nie tylko inny format – to inna forma myślenia. Gdy liberał mówi: „To skomplikowane”, prawicowy influencer już wrzeszczy: „Oni chcą zdeprawować twoje dzieci!”. Tam, gdzie prawica działa jak performer, liberał przypomina urzędnika. A w tej grze krzyk wygrywa z argumentem.

Liberalizm opiera się na złożonych wartościach, takich jak wolność czy różnorodność. Trudniej je wyrazić przez zagrożenie, bo wymagają pozytywnej narracji: „Możesz być sobą, możesz wybierać”. Trudniej to sprzedać w 15 sekund – ale to nie znaczy, że się nie da. Wymaga to jednak warsztatu narracyjnego, którego liberałowie muszą się nauczyć.

Problem z liberalną opowieścią najłatwiej przedstawić na przykładach.

Gdy prawica na TikToku pokazuje ujęcie z kamery przemysłowej, na którym czarnoskóry mężczyzna w kapturze kopie kobietę leżącą na ulicy i dodaje napis: „Tego chcesz?”, narracja liberalna odpowiada: „Imigranci zwiększają PKB, a w krajach OECD przestępczość wśród nich jest niższa niż wśród ich obywateli.” Która narracja jest skuteczniejsza?

Ludzie nie reagują na abstrakcje. Reagują na sceny, twarze, emocje. Chodzi o to, żeby słysząc „równość”, słyszeli „moje dziecko nie będzie wyśmiewane w szkole”; słysząc „tolerancja”, rozumieli: „mogę żyć po swojemu bez wstydu”. Liberalne wartości nie mają siły rażenia, jeśli nie zostaną zakorzenione w konkretnym życiu.

Albo opowieść o aborcji. Prawica: USG, bijące serce. „To twoje dziecko. Chcesz je zabić?”. Muzyka jak z horroru. Narracja liberalna: „Każda kobieta powinna mieć prawo do decydowania o swoim ciele”.

A może trzeba konkretniej? Dziewczyna mówi wprost do kamery: „Płód nie ma czaszki. Lekarz mówi, że mam czekać, aż umrze we mnie”.

Lekcja płynąca z krasnoludków

Krytycy powiedzą: „Chcecie lepszej komunikacji? To zwykła socjotechnika!”. Ale nie chodzi o hasło: „Opowiadajcie lepiej”, ale o uczciwe przekazywanie prawdy w języku, który działa. Nie manipuluje ten, kto skutecznie mówi o wartościach liberalnych – milionom ludzi dały pokój i szczęście (w przeciwieństwie do tego, co przyniosły nienawiść i izolacjonizm).

Jeśli ludzie boją się rozpadu znanego im świata, liberał musi odpowiedzieć: „Nie chcemy go zburzyć – chcemy uczynić go bardziej sprawiedliwym i bezpiecznym dla twojego dziecka”. Zamiast figur chaosu – przedstawić figury opiekuna, obywatela, sąsiada, który różni się od ciebie, ale żyje tuż obok i chce tego samego: spokoju, pracy, szacunku.

Niestety, nawet jeśli ktoś próbował opowiadać o świecie liberalnym historie i robił to konkretem, zamiast zwiększać poczucie bezpieczeństwa, wprowadzał poczucie niekontrolowanej zmiany i rozpadu dawnych struktur.

Ci, którzy dotychczas promowali wartości liberalne – szczególnie w popkulturze – często po prostu afirmowali różnorodność: etniczną, płciową seksualną. W serialach i filmach np. Netflixa celowo zmieniano kolor skóry postaci historycznych, nadawano nowe tożsamości płciowe znanym bohaterom, rezygnowano z tradycyjnej struktury rodziny. Miało to być narzędzie włączania. Często jednak odbierane było jako gest estetyczno-politycznego dydaktyzmu – szczególnie wtedy, gdy fabuła ustępowała miejsca manifestowi.

Kulminacją tej tendencji stała się nowa wersja „Królewny Śnieżki” Disneya, w której zrezygnowano z klasycznych siedmiu krasnoludków, zastępując ich „magicznymi istotami”, by uniknąć stereotypowego przedstawiania osób z karłowatością. To, a także wybór aktorki o innym pochodzeniu etnicznym niż w oryginale, wywołało skutek odwrotny do zamierzonego. W zamyśle inkluzywność, w odbiorze dydaktyczny gest.

Zamiast wzruszenia i identyfikacji widzowie zareagowali ironią, a w wielu przypadkach – gniewem. Nie dlatego, że są rasistami. Ale dlatego, że liberalna opowieść stała się szkolną tablicą z wartościami, od których bije chłód dydaktyzmu. Zamiast osadzać nowe wartości w przekonujących emocjonalnie historiach, zaczęto je egzekwować jako obowiązek.

To powinna być lekcja. Nie da się komunikować wartości liberalnych jako wyłącznie różnorodności. Nie chodzi o to, by z niej rezygnować, ale by pokazywać ją jako źródło siły wspólnoty, a nie chaosu kulturowego.

Nie każdy plakat musi mieć tęczę

Mam więc dwa apele – pierwszy do lewicy. Jeśli naprawdę zależy wam na tym, żeby liberalna demokracja w Polsce przetrwała i miała siłę zmieniać świat na bardziej sprawiedliwy, to czas na trudną, ale konieczną decyzję taktyczną: na chwilę schowajcie dydaktyzm różnorodności do szafy – dokładnie tak, jak Kaczyński chowa Macierewicza przed wyborami.

Wybieram to porównanie z premedytacją, może dzięki kontrowersji się poniesie. Nie chodzi o to, żeby zrezygnować z własnych wartości. Chodzi o to, żeby zrozumieć, że w kampanii nie wygrywa ten, kto ma rację, tylko ten, kto daje ludziom poczucie bezpieczeństwa. I że dla różnorodności – pięknej, ważnej, wartościowej – trzeba najpierw przygotować grunt zaufania. A dziś go brakuje.

Ludzie się boją: chaosu, inflacji, migracji, utraty pracy. Jeśli więc lewica chce być skuteczna, powinna dziś mówić przede wszystkim o bezpieczeństwie socjalnym, o przewidywalnym państwie, które nikogo nie zostawia w tyle. To język, który przemawia do ludzi w Kaliszu, w Pabianicach i w Zambrowie – nie tylko w wielkomiejskich bańkach.

Nie każdy plakat musi mieć tęczę, a nie każda kampania musi zaczynać się od tożsamości. Najpierw trzeba przekonać ludzi, że nie zostaną sami – żeby później mogli zrozumieć, że nie są sami także w swojej inności. Wolność i równość nie mogą być dłużej opowiadane, jakby były rewolucją. Muszą być opowiadane, jakby były domem, który chroni. To nie jest zdrada wartości. To jest strategia przetrwania.

Łatwiej straszyć, niż uwieść

Drugi apel – do rządu. W XXI wieku wojny toczą się nie tylko na polach bitew, ale i w przestrzeni wyobraźni. Tak jak państwa autorytarne inwestują miliardy w propagandę, tak liberalna demokracja musi inwestować w obronę swoich wartości – wolności, równości, praworządności – przed ośmieszeniem, zrelatywizowaniem, zepchnięciem na margines.

To wymaga powstania Funduszu Wolności, który sfinansuje diagnozę polskich emocji i wypracuje historie i figury, które skutecznie wartości liberalne mogą promować. To się samo nie stanie – bo o liberalnych wartościach nie da się po prostu, jak o prawicowych, opowiadać strachem.

Są trzy obszary, w których potrzeba strategicznego finansowania:

1. Diagnoza emocji i identyfikacja wartości, które odpowiadają na te emocje (na strach odpowiedzią jest bezpieczeństwo, na rozczarowanie – nadzieja).
2. Ucieleśnienie tych wartości w postaciach i ich historiach.
3. Opowiedzenie historii tych postaci w nowoczesny sposób.

Każdy z tych kroków wymaga innych działań i innych ludzi. Diagnoza – specjalistów od psychologii i socjologii, ucieleśnienie – zawodowych opowiadaczy (scenarzystów, stand-uperów), komunikacja – młodych, którzy znają estetykę nowych mediów.

To nie rząd ma tę najpoważniejszą z poważnych wojnę memów prowadzić – ale tylko on ma środki, aby zapłacić najlepszym ludziom od diagnozowania emocji i opowiadania historii, aby pomogli organizacjom pozarządowym i zwykłym ludziom tworzyć ich treści i komunikować je skutecznie.

Liberałowie, ludzie broniący wolności i mądrej otwartości, mają rację, ale nie mają narracji. Wartości liberalne zapewniły państwom Unii Europejskiej najdłuższy okres pokoju w historii kontynentu, a Polsce dobrobyt porównywany z Japonią. Ale człowiek dziś nie głosuje na rację. Głosuje na postać, która mówi jego językiem. Na historię, która wyraża jego lęki i nadzieje. Głosuje na świat, który potrafi sobie wyobrazić. Współcześnie łatwiej jest go jednak wizją świata wystraszyć, niż uwieść. Jeżeli nie odpowiemy na ten problem, wolność przegra. ●

• śródtytuły od redakcji.

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

Trzewiokracja czyli postęp to demon

Użycie przymiotnika „trzewiowy" sugeruje jakieś gwałtowne i wstydliwe reakcje zachodzące w organach wewnętrznych prezydenta, gdy słyszy on nazwisko „Bilewicz".

Michał Rusinek

W „Tygodniku Solidarność" ukazał się niedawno felieton Piotra Skwiecińskiego pod wysoce ironicznym tytułem „Cichy dramat intelektualisty". Autor leje w nim krokodyle łzy nad losem pewnego naukowca: „W cieniu drugiej tury wyborów prezydenckich rozgrywał się cichy dramat psychologa społecznego Michała Bilewicza, któremu już od kilku lat prezydent Andrzej Duda blokuje nadanie tytułu profesora tzw. belwederskiego" – pisze.

Przypomnijmy więc, że w styczniu 2018 roku rada Wydziału Psychologii UW wszczęła postępowanie w sprawie nadania tytułu profesorskiego Michałowi Bilewiczowi. W lutym Rada Doskonałości Naukowej (wówczas zwana Centralną Komisją ds Stopni i Tytułów) powołała recenzentów, którzy bardzo wysoko ocenili dorobek naukowca. W styczniu 2019 roku Centralna Komisja wystosowała do Kancelarii Prezydenta pismo z wnioskiem o nadanie Bilewiczowi tytułu profesora.

Prezydent Andrzej Duda do tej pory nominacji tej nie podpisał, tłumacząc niedawno w wywiadzie dla Kanału Zero, że Bilewicz: „to jest pan, który świadomie realizuje od samego początku swoją, w moim przekonaniu, wątpliwą naukową działalność, po prostu działalność antypolską, oczernia Polskę i Polaków. A w dodatku jeszcze sposób, w jaki dostawał się do tej kwalifikacji profesorskiej, wzbudził od samego początku bardzo poważne wątpliwości: w gronie znajomych, rączka rączkę myje, kruk krukowi oka nie wykole. Sam proces był w naszym przekonaniu w ogromnym stopniu pozbawiony obiektywizmu". Innymi słowy, prezydent Andrzej Duda nie tylko uznał, że badania nad językiem nienawiści oraz polskim antysemityzmem i innymi formami uprzedzeń mają charakter „antypolski", ale i insynuował, że proces nadawania stopni i tytułów naukowych jest w naszym kraju nieuczciwy. A przynajmniej bywa, bo przecież Andrzej Duda szczyci się stopniem doktora, z pewnością nadanym uczciwie.

●

Wróćmy do felietonu Skwiecińskiego. Przyznaje on, że Bilewicz: „szczyci się statusem prekursora polskich badań nad «szowinizmem gatunkowym», mową nienawiści i psychologią jedzenia mięsa. Pisał też dużo i – dodajmy – z zacięciem o polskim antysemityzmie". Nie wiemy, czy felietonista tutaj aby nie ironizuje, bo nie mamy pewności, jaki ma stosunek chociażby do jedzenia mięsa, z pewnością jednak ironizuje w kolejnym zdaniu: „ [Bilewicz] nie jest przy tym uczonym, który by zamknął się w wieży z kości słoniowej i tam badał gwiazdy czy inne atomy. O nie, ma temperament publicystyczny" – po czym cytuje dość drastyczną wypowiedź Bilewicza z mediów społecznościowych z czasu kampanii wyborczej, w której to kampanii poparł Rafała Trzaskowskiego. Co dziwić nie powinno, bo – w domyśle – przecież nie mógł się doczekać podpisania swojej nominacji profesorskiej.

Tu następuje część krytyczna felietonu. A krytyce poddaje felietonista sytuację, w której „w Polsce profesorem zostaje się de facto z decyzji ciała zwanego Radą Doskonałości Naukowej, ale formalnie tytuł ten nadaje prezydent. Czyni to z głowy państwa kogoś w rodzaju notariusza, który wykonuje postanowienia kogoś innego i – według interpretacji obowiązującej w środowisku naukowym – musi to uczynić niezależnie od tego, czy się z nimi zgadza, czy nie". Pozwólmy sobie i my na ironię: rzeczywiście, jest to skandal, żeby głowa państwa musiała robić coś, co ktoś jej każe; nawet w sprawach, na których się nie zna. Dla Skwiecińskiego sytuacja, w której postawiła prezydenta Dudę Rada Doskonałości Naukowej jest „upokarzająca" i „poniżająca": „W sytuacji, w której prezydent nie zgadza się z daną decyzją Rady, i to nie zgadza się bardzo, wręcz – jak to się mówi – trzewiowo, bo uważa dorobek kandydata na profesora za intelektualną hochsztaplerkę albo – jak określił był prace Bilewicza Andrzej Duda – za działalność antypolską, trudno nie nazwać takiego wymogu czymś dla prezydenta upokarzającym. Żyrować decyzje kogoś innego, a przy tym uśmiechać się grzecznie i udawać, że są one twoje własne – to przecież naprawdę poniżające, trudno to ocenić inaczej".

●

Zastanawiające jest tu użycie przymiotnika „trzewiowy". Po pierwsze, felietonista zdaje się nam sugerować, że prezydent RP nie zgadza się z poglądami profesora Bilewicza, ale nie pod względem intelektualnym. Jego sprzeciw płynie bowiem nie z mózgu, ale z trzewi, a więc z wnętrzności; w trzewiach lokowane jest tradycyjnie to, co intuicyjne, instynktowne, a więc irracjonalne. Po drugie, użycie przymiotnika „trzewiowy" sugeruje jakieś gwałtowne i wstydliwe reakcje zachodzące w organach wewnętrznych prezydenta, gdy słyszy on nazwisko „Bilewicz". Reakcje, o których my nic nie wiemy (na szczęście), a Skwieciński widocznie coś wie. Po trzecie wreszcie, „trzewiowy" bywa w polszczyźnie krzyk lub płacz, ale rzadko sprzeciw. Wydaje się, że felietonista zastosował tu kalkę z języka angielskiego, w którym „gut objection"oznacza dezaprobatę o charakterze instynktownym, a więc nie płynącą z żadnych racjonalnych przesłanek.

Andrzej Duda insynuował, że proces nadawania tytułów naukowych jest nieuczciwy. A przynajmniej bywa, bo przecież Duda szczyci się stopniem doktora, z pewnością nadanym uczciwie

●

W dalszej części felietonu Skwieciński wypływa już na szersze, bo międzynarodowe wody. Gromi bowiem zachodnie elity naukowe i kulturalne („zdominowane przez lewicowych liberałów"), które są przekonane, że „pochodząca z wyborów władza ma psi obowiązek finansować wszystkie tych elit działania, pomysły i spektakle, a zarazem wara jej od merytoryki".

Po pierwsze, psy nie mają żadnych obowiązków. Po drugie, autor felietonu jest zdania, że to politycy – zapewne za pomocą trzewi – powinni decydować o kierunkach rozwoju nauki i kultury, a nie jacyś tam, pożal się Boże, specjaliści od nauki czy kultury. Nie ma się co dziwić, że w kolejnym akapicie pojawia się jako wzór administracja Trumpa, która chce, by uniwersytety współfinansowane przez władze federalne „zredukowały swoje zaangażowanie w krzewienie «postępu»". Dlaczego „postęp" został tu wzięty w cudzysłów? Albo Skwieciński – podobnie jak Trump – uważa, że lewicowi liberałowie nie są zdolni do rozwijania pożytecznej nauki (swoją drogą, w Ameryce Bilewicz ze swoimi badaniami również miałby kłopoty), albo – podobnie jak arcybiskup Głódź – w ogóle uważa oświeceniową ideę postępu za demona, który zagraża tradycyjnym wartościom: tradycyjnie amerykańskim lub tradycyjnie polskim.

Na końcu z udawaną troską pochyla się felietonista nad dalszym losem naukowca: „Ponieważ prezydent Duda ewidentnie się w sprawie Bilewicza nie cofnie, to zostanie ona przedłożona, po inauguracji, Karolowi Nawrockiemu. Ten zapewne przychyli się tu do opinii poprzednika, i też decyzji nie podejmie. I tak aż do niewiadomego końca". Pomijając drobnostkę, że przychylać można się do opinii, o którą się np. wystąpi, albo którą się otrzyma, a opinię Dudy może Nawrocki co najwyżej podzielać, natomiast jego decyzję – co najwyżej podtrzymać, choć to był właściwie brak decyzji. Felieton Piotra Skwiecińskiego uświadomił nam natomiast, że wszędzie tam, gdzie na prezydenckim fotelu zasiadają prawicowi politycy, a więc i w Polsce, mamy do czynienia z trzewiokracją, z którą przyjdzie nam się zmagać – istotnie – do niewiadomego końca. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354606

DO 23 CZERWCA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej"

na lipiec u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do wyborcza.pl**
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów

*** w prezencie Magazyn „Na pamięć"** z krzyżówkami i łamigłówkami na lato

*Książka do odbioru od 16 lipca w punkcie sprzedaży **Aby otrzymać dostęp do Klubowego pakietu prenumeraty Wyborcza.pl oraz do archiwum tekstów „Wyborczej": 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. ***Cena sugerowana

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

WIEŹNIOM JEST LEPIEJ NIŻ

„Przychodzi młody człowiek i wpada w takie bagno”. W trzeciej największej po wojsku i policji formacji zbrojnej narasta frustracja.

Piotr Głuchowski

Były strażnik więzienny, obecnie samorządowiec: – Podczas służby byłem przynajmniej dziesięć razy fizycznie atakowany przez osadzonych. Trzykrotnie napadali mnie poza murami.

Były dyrektor, dziś emeryt: – Myśliwi, którzy zostawali dyrektorami więzień, wysyłali skazanych, żeby budowali po lasach ambony strzeleckie. Na festynach wyborczych wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego serwowano kiełbasę z przywięziennych przedsiębiorstw rolnych.

Ludzie Zbigniewa Ziobry zwyczajnie się na więziennictwie uwłaszczyli.

Były szef więziennictwa, aktualnie ekspert: – Dzisiaj większym problemem niż zbuntowani więźniowie są zradykalizowani strażnicy.

28 marca 51-letni Adam S. zastrzelił teściową, pięcioletnią córkę i dziewięcioletniego syna, po czym próbował popełnić samobójstwo. Był strażnikiem więziennym z 17-letnim stażem.

29 kwietnia 35-letni Jarosław W. zamordował ortopedę z krakowskiego Szpitala Uniwersyteckiego. Ubzdurał sobie, że lekarz wcześniej wstrzyknął mu w chory łokieć truciznę. Nożownik od 5 lat nosił mundur SW.

30 kwietnia, dzień po zabójstwie premier odwołał dyrektora generalnego Służby Więziennej, pułkownika Andrzeja Peckę.

– Szkoda chłopa, bo za jego kadencji skończył się przynajmniej ten okropny, represyjny model zarządzania kadrą – mówi mi porucznik Robert Moskal, szef międzyzakładowej komisji „Solidarności” pracowników SW na Podkarpaciu. – Pecka zaczął zmieniać Służbę na lepsze, tylko nie zdążył.

– Wyrzucili go nie za to, za co mogli – dodaje dr Paweł Moczydłowski, kryminolog i pułkownik SW, pierwszy szef więziennictwa w wolnej Polsce, obecnie ekspert i konsultant. – Jeżeli już winien odpowiedzieć, to za politykę kadrową, która nie gwarantowała naprawienia bałaganu, jaki zostawiła po sobie ekipa Zbigniewa Ziobry.

– Na czym ten bałagan polega?

– Choćby na przyjmowaniu do pracy politycznych znajomków. Poprzednik dyrektora Pecki, generał Jacek Kitliński, obsadzał kierownicze stanowiska ludźmi, którzy wcześniej byli na przykład szafarzami komunii świętej albo lokalnymi działaczami PiS. Wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski, obecnie azylant w Budapeszcie, chodził po odpustach i PiS-owskich festynach, gdzie w zamian za poparcie polityczne oferował stanowiska w więziennictwie. Posady najprędzej dostawali ci, co gwarantowali dyspozycyjność wobec politycznego kierownictwa Ministerstwa Sprawiedliwości.

12 maja miejsce Pecki zajęła pułkownik Renata Niziołek, pierwsza kobieta na tym stanowisku. Pracę w resorcie zaczęła 30 lat temu jako psycholog w zakładzie karnym w Nowej Hucie.

– Wierzę, że pod jej kierownictwem nastąpi nowe otwarcie – mówił minister sprawiedliwości Adam Bodnar. – Szczególnie zależy mi na poprawie procedur rekrutacji, wzmocnieniu kadr oraz budowie zaawansowanego systemu wsparcia psychologicznego funkcjonariuszy.

Pani pułkownik Niziołek będzie teraz rządzić pilnującą 70 tysięcy osadzonych służbą, która liczy ok. 30 tys. mundurowych i pracowników cywilnych, co czyni ją trzecią największą formacją zbrojną po wojsku i policji.

Aby zostać strażnikiem, nominalnie trzeba mieć wykształcenie średnie, by kierować zakładem karnym – wyższe. Kandydat musi być niekarany. Zgodnie z ustawą o Służbie Więziennej z 2010 r. nie może należeć do partii politycznej. W praktyce – jak słyszę od rozmówców z SW – na kierownicze stanowiska przyjmowani są ludzie bez magisterek, a na szeregowe również z kartami karnymi.

– Kiedy panowało wysokie bezrobocie, mieliśmy spośród kogo wybierać – mó-

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

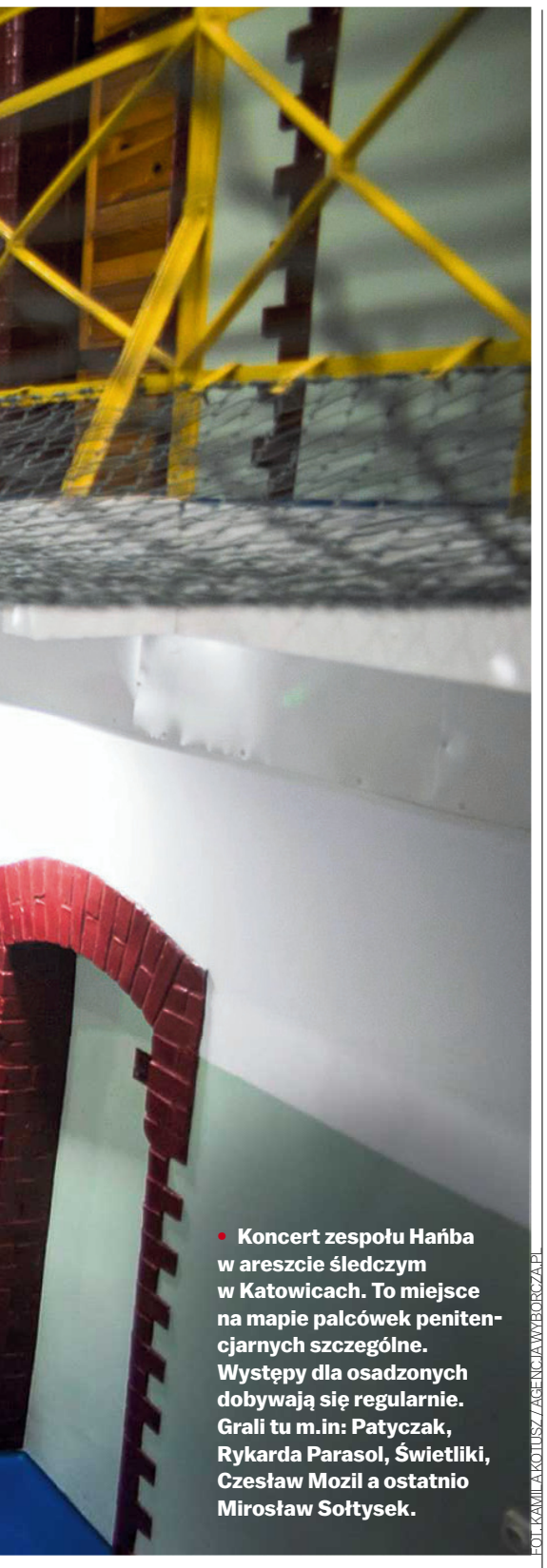

• Koncert zespołu Hańba w areszcie śledczym w Katowicach. To miejsce na mapie palcówek penitencjarnych szczególne. Występy dla osadzonych dobywają się regularnie. Grali tu m.in: Patyczak, Rykarda Parasol, Świetliki, Czesław Mozil a ostatnio Mirosław Sołtysek.

FOT. KAMIL AKOTUSZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

NAM

wi związkowiec Moskal. – Dziś bezrobocie praktycznie zanikło, więc bierzemy takich, jacy się zgłaszają. A nie ma pędu do więzień. Młodzi chcą być żołnierzami, strażakami, policjantami...

– Większość zawodów ma motywację dodatnią – wtóruje pułkownik Moczydłowski. – Ktoś wyleczy pacjenta czy zbuduje gmach. W Służbie Więziennej mamy do czynienia wyłącznie z negatywami. Ucieczki, bunty, przemoc, samookaleczenia... albo spokój, nic się nie dzieje, normalność. Pracownicy więzień w sondażach mają najniższe poważanie społeczne, wszyscy wiedzą, że „klawisz to ten, co bije, a i tak ma bunty w więzieniach”.

– Mało kto zauważa, że praca w SW wymaga skupienia i profesjonalizmu – potwierdza związkowiec. – Osadzony jest zwykle kimś, kto sam sobie nie poradził, nie poradziła sobie z nim rodzina, przyjaciele, Kościół... a strażnik więzienny musi dać radę.

– Podczas służby byłem przynajmniej dziesięć razy fizycznie atakowany przez osadzonych – opowiada mi Rafał Kowalik, były funkcjonariusz z Lubelszczyzny. – Trzykrotnie osadzeni napadali mnie poza murami. Raz jeden doskoczył do mnie w galerii handlowej, innym razem miałem podobną akcję na zlocie motocyklowym.

– Nienawidzili pana jakoś szczególnie?

– Nie. Po prostu nie dawałem się osadzonym kupić, nie pozwalałem, by mi weszli na głowę.

Mój kolejny rozmówca, porucznik SW, nadal w służbie, też miał podobne przypadki.

– Były więzień z drugim nieznanym mi zbójem próbowali mnie pobić na oczach rodziny na ulicy. Dwie moje córki, jedna chodziła wtedy jeszcze do przedszkola, były tak przerażone, że żona musiała iść z nimi do psychologa. Strażnik musi mieć ciągle oczy dookoła głowy, stres dwadzieścia cztery na siedem.

– Nasza służba nie praca, to misja – mówi dalej związkowiec. – Trudna, psychicznie obciążająca, niewdzięczna i niespecjalnie płatna.

Strona internetowa Służby Więziennej informuje, że od 2024 roku miesięczna pensja startowa strażnika wynosi od 4 tysięcy netto wzwyż. Po ukończeniu szkolenia i pozytywnym wyniku egzaminu zawodowego wynagrodzenie wzrasta do 5,5 tysiąca. Wyższe szarże, rzecz jasna, zarabiają lepiej. Obowiązują tak zwane stopnie zaszeregowania. Najniższe przysługuje strażnikowi zwanemu oficjalnie referentem. Wyżej stoją – rosnąco – wychowawca, kapelan, psycholog, radca prawny, kierownik zakładu, naczelny lekarz, główny księgowy i wreszcie dyrektor generalny. Najwyższe zaszeregowanie gwarantuje kilkanaście tysięcy pensji podstawowej plus dodatek funkcyjny od 1 do 2 tysięcy.

– Takimi pieniędzmi orłów się nie przywabi – mówi mi emerytowany dyrektor więzienia z Bydgoszczy. – Ale różni kuzyni się skuszą. Potem dostają broń do ręki, a jednocześnie żyją w stresie, bo wiedzą, że nie mają kompetencji i w każdej chwili mogą być posunięci.

W ustawie o Służbie z 2010 roku zmieniono status szefów więzień z mianowania na powołanie. Mianowany miał jakąś ochronę prawną – w razie niesłusznego zwolnienia mógł się odwołać do sądu.

– Powołany może być zdjęty w pięć minut. Gdy PiS objął władzę w 2015 roku, wymienili kadrę niemal do sprzątaczek. A teraz jest nowy rząd, ruszyła kolejna miotła i większość dyrektorów zakładów karnych drży o posady. To drżenie schodzi na dół aż do referenta.

Pułkownik Moczydłowski: – Dziś problemem są już nie zbuntowani więźniowie, ale zradykalizowani strażnicy.

Żeby zrozumieć, jak do tego doszło, musimy się cofnąć do lat 80., a nawet nieco głębiej.

•

W więzieniach PRL siedziało chwilami ponad 120 tysięcy więźniów, których pilnowało raptem kilkanaście tysięcy strażników.

– Sposobem kontroli osadzonych była przemoc, także ta bezprawna – ciągnie pułkownik. – Resocjalizacji praktycznie nie było. Aby przestępstwa funkcjonariuszy nie wychodziły na jaw, wyjęto więziennictwo spod kontroli społecznej. Wykonywanie kary stało się nietransparentne.

Bicie było powszechne, stosujący przemoc funkcjonariusze – bezkarni. A cenzura zatrzymywała wszelkie informacje o buntach czy tragicznych zgonach, których była masa. Fale buntów przetaczały się przez PRL-owskie więzienia w następstwie protestów robotników: po Październiku 1956, po Radomiu 1974, po strajkach na Wybrzeżu i powstaniu „Solidarności” w 1980 roku.

Im bliżej końca komuny, tym częstsze były rewolty. Tylko w latach 1988-1990 Służba Więzienna odnotowała około 500 rozmaitych protestów, w których zginęło co najmniej dziewięć osób. Największy bunt wybuchł w grudniu 1989 w zakładzie w Czarnem na Pomorzu. Półtora tysiąca więźniów opanowało budynek, zdobyli zbrojownię, zaczęły się samosądy – trzech zamordowano. Władze ściągnęły wszystkich dostępnych antyterrorystów z kraju. Desantowali się ze śmigłowców, jednocześnie kilkuset strażników przystąpiło do szturmu, po którym naliczono – po obu stronach starcia – przeszło 300 rannych i kolejne sześć trupów. Zniszczony zakład karny był odbudowywany przez 20 lat.

4

• TYSIĄCE ZŁOTYCH NETTO
to pensja startowa początkującego strażnika więziennego. Po szkoleniu i egzaminie wzrasta do 5,5 tys.

Pułkownik Moczydłowski: – Reformując więzienia po 1989 roku, uważaliśmy, że one powinny naprawiać osadzonych i dawać im narzędzia funkcjonowania na wolności. Podnieśliśmy standardy na poziom godny państw demokratycznych. W więzieniach półotwartych w oknach zawisły firanki, pojawiły się nawet akwaria. Otwarto więzienne kaplice, przez co poprawiał się klimat moralny.

Do więźniów zaczęto mówić „pan” i „pani”, dostali prawa, choćby możliwość składania skarg do Rzecznika Praw Obywatelskich czy wysyłania listów do niecenzurowanych już gazet. W zakładach o lżejszym rygorze pozwalano nosić cywilną odzież. Dzięki staraniom profesora Wiktora Osiatyńskiego tworzono ośrodki leczenia uzależnień. To był dla osadzonych szok, ale dzięki temu „klawisze” przejęli inicjatywę w kreowaniu rzeczywistości społecznej więzień. Grypsera, a wraz z nią podkultura – zanikały.

– W latach 90. przylatywali nas podpatrywać nawet Brytyjczycy. Chcieli wiedzieć, jak się poprawia sytuację osadzonych bez angażowania jakichkolwiek większych pieniędzy – wspomina Moczydłowski. – Chociaż z początku nie szło nam wcale łatwo, bo strażnikowi trudno jest mówić „pan” do kogoś, do kogo wcześniej mówił „ty bandyto”. Pamiętam, że ze Służby odeszło około 4 tysięcy strażników, głównie tych, co generowali przemoc. Ale się okazało, że pokojowe współistnienie osadzonych ze Służbą jest możliwe. Napięcie wyraźnie zeszło. Represja jako metoda kontrolowania ludzi się skończyła, więźniowie stali się podmiotami, a nie przedmiotami wykonywania kary. Bunty ustały.

•

Emerytowany dyrektor więzienia: – Aż 20 lat temu PiS po raz pierwszy doszedł do władzy pod hasłem zaostrzania kar. Już wcześniej wprowadzono penalizację posiadania narkotyków i więzienia zaczęły się przepełniać wskutek zamykania ludzi za skręta.

Nowy minister-prokurator generalny, młodziutki Zbigniew Ziobro zalecił liniowym śledczym, by wnioskowali o areszty, kiedy się tylko da, zaś przed sądami żądali maksymalnych kar.

W książce „Przeludnienie więzień w Polsce” profesor Aldona Nawój-Śleszyński z Katedry Prawa Karnego Wykonawczego Uniwersytetu Łódzkiego pisze, że w 2006 roku, po 12 miesiącach rządów PiS, chłopsko-rebelianckiej Samoobrony i bogoojczyźnianej Ligi Polskich Rodzin, „populacja więzienna osiągnęła najwyższą w III RP wartość ponad 88 tysięcy osadzonych”. Jeszcze pod koniec lat 90. było ich niemal o połowę mniej. Miejsc za kratami – przy ustawowym założeniu trzech metrów kwadratowych na osobę – jest w Polsce około 50 tysięcy. W przepełnionych celach upychano więc nawet po kilkanaście osób – rekord wynosił 18.

– To były skutki populizmu penalnego – stwierdza dr Moczydłowski. – Surowe kary miały być lekarstwem na przestępczość i gwarantem bezpieczeństwa obywateli. Tymczasem w przeludnionych celach odtwarzały się przestępcze hierarchie i układy znane z PRL.

Były dyrektor zakładu karnego: – Powróciły represje i strach jako sposób zarządzania więzienną społecznością. Politycy PiS nakręcali społeczeństwo: bandytów trzymać krótko. Tymczasem Rada Europy zaczęła krytykować Polskę za zbyt długie areszty.

To za pierwszego Ziobry powstało pojęcie aresztu wydobywczego. Staliśmy się najgorsi w Unii pod względem metrów kwadratowych na więźnia i liczby więźniów na strażnika. Nastąpił wzrost liczby wypadków.

26 marca 2007 roku w zakładzie karnym w Sieradzu 28-letni strażnik Damian Ciołek zaczął strzelać z wieżyczki do policjantów, którzy konwojowali aresztanta. Z pomocą kałasznikowa zabił na miejscu trzech mundurowych i ranił skutego w kajdanki, a potem siebie samego. Podobnie jak obecnie po zabójstwie krakowskiego ortopedy wówczas również dyrektor więzienia zapewnił, że sprawca masakry przeszedł wcześniej badania uprawniające do wykonywania zadań. Skazano go na dożywocie.

•

Paweł Moczydłowski: – Po roku 2007 było za dużo osadzonych w celach, a za mało funkcjonariuszy, aby realizować wykonanie kary zgodnie z prawami więźnia. Niestety nowy rząd Platforma-PSL nie zszedł z drogi prowadzącej do coraz większego kryzysu.

Były dyrektor więzienia: – Zmienili ustawę o SW, zwiększając uzbrojenie Służby. Kupili strażnikom strzelby powtarzalne, wyrzutnie pocisków obezwładniających, pistolety maszynowe. Tymczasem problemem były nie braki w arsenałach, lecz przeciążenie pracą. Do tego hierarchiczno-dyspozycyjny model zarządzania, przypadki mobbingu.

Strażnicy zaczęli się wrogo odnosić już nie tyle do więźniów, ile bardziej do siebie nawzajem. Dyrektorzy nie dawali rady nad tym zapanować.

W październiku 2011 roku przemęczony i wściekły szef zakładu karnego w Sztumie zasztyletował „roszczeniowego” więźnia inwalidę, który naraził mu się pisaniem skarg na warunki odsiadki. Ponieważ w dniu zabójstwa odbywały się akurat wybory parlamentarne, wypadek objęto ciszą wyborczą i długo nie wyszedł na jaw.

– Ten przykład pokazuje, pod jaką presją psychiczną pracuje się w więzieniach – mówi związkowiec porucznik Moskal. – Trzeba potem odreagować. Wybuchy wściekłości, awantury w domu, alkohol, nałogowe palenie papierosów – to życie funkcjonariuszy. Średnia długość życia strażnika więziennego jest kilka-kilkanaście lat niższa niż w reszcie społeczeństwa.

– Co głównie generuje stresy?

– Przedmiotowe traktowanie podwładnych przez przełożonych, brak oparcia, brak zaufania, autokratyczny styl zarządzania. Kierownictwo traktuje funkcjonariuszy tak samo jak więźniów: zarządza przez strach i karanie.

– Poda pan jakiś przykład?

– Przyszła do jednego z zakładów przesyłka nadana w sądzie. W myśl Kodeksu postępowania karnego taka korespondencja nie podlega kontroli. Strażnik więc, który prześwietla przesyłki na bramie, przepuścił. Tym bardziej że adresatem był dyrektor więzienia. Ten otworzył kopertę, w środku była druga z sądową adnotacją, że to depozyt osadzonego. Polecił zanieść do celi. Potem się okazało, że w drugiej kopercie był schowany telefon. Skazany porobił nim zdjęcia, które wyciekły do sieci. Jaka zapadła decyzja? Wyrzucić tego, który stał na bramie... „Solidarność” się nie zgodziła, bo przecież postąpił słusznie, przepuszczając przesyłkę z sądu. Na to dyrekcja więzienia: „Góra żąda krwi, ktoś polecieć musi”. Bo przecież nie dyrektor. Strażnik pracę zachował, ale miał dys-

eprasa.pl 1f82165fe2

cyplinarkę, która dzięki związkowi w końcu umorzono. Tylko po jakich nerwach... Skalę nerwowości strażników – i atmosferę w Służbie – świetnie ilustruje przypadek plutonowego Łukasza G. z zakładu karnego w Pińczowie w województwie świętokrzyskim.

W 2019 roku na terenie więzienia i w obecności innych strażników kolega z pracy – plutonowy Arkadiusz K. – oskarżył go o handel narkotykami i dodatkowo „klepnął po ramieniu" (cytuję z przeszło tysiącstronicowych akt późniejszej sprawy). Nazajutrz G. złożył na niego skargę u kierownika ochrony zakładu. W ramach rekompensaty za niewłaściwe zachowanie plutonowy Arkadiusz zgodził się przeprosić plutonowego Łukasza przy kolegach oraz wypłacić mu 3500 zł odszkodowania za naruszenie dobrego imienia i nietykalności cielesnej. Gdy jednak pieniądze zmieniły właściciela, złożył w dyrekcji zawiadomienie o ich wyłudzeniu. Dyrektor więzienia powiadomił prokuraturę, a ta wszczęła śledztwo „w sprawie doprowadzenia plutonowego Arkadiusza K. do niekorzystnego rozporządzenia mieniem". Dalej były przesłuchania, odwołania do sądu, prywatne akty oskarżenia, rozprawy, badania psychiatryczne, skargi do Prokuratury Krajowej, zażalenia...

Obecnie sprawa leży – z wnioskiem o interwencję na rzecz Łukasza G. – w biurze ministra sprawiedliwości Adama Bodnara. – To pokazuje, że ludzie w Służbie często nie są w stanie normalnie ze sobą rozmawiać – mówi były dyrektor z Bydgoszczy. – Podejrzewają się nawzajem o nieczyste intencje, sami tworzą bagno. A wątek narkotykowy jest tu bardzo ważny.

•

Mój następny rozmówca – porucznik, nadal w Służbie – mówi, że fala narkotyków zalała więzienia na początku wieku wraz z „penalizacją skręta".

– Teraz to dilerzy dragów kręcą osadzonymi, a dilerami – policja. Dla niej narkotyki to środek do korumpowania więźniów, pozyskiwania informatorów, małych i dużych świadków koronnych. A jak ktoś ma status świadka, strażnik mu nie fiknie. Bo nie będzie już słowa przeciwko słowu – zeznanie koronnego ma rangę dowodu w sprawie – opowiada. – Była taka sprawa, choć nie wyszła do mediów, że policjantka sypiała z więźniami, żeby wyciągać informacje. Wydało się, gdy strażnik usłyszał, jak więzień się chwali, że miał z nią dobry seks... To nie jest odosobniony przypadek. „Psy" ze „złodziejami" zaczęli robić za murami swoje interesy, a „klawisze" stali się hotelarzami. Tylko że wszystkie trupy idą na nasze konto. Stąd w Służbie powstał gniew. Koledzy mówią: „Więźniom jest lepiej niż nam".

„Trupów idących na konto", czyli tragicznych zgonów za kratami, notuje się w kraju średnio 20-40 rocznie. Tylko niektóre wzbudzają medialne zainteresowanie.

Po głośnym zabójstwie ministra sportu Jacka Dębskiego w 2001 roku „pod celą" powiesili się kolejno zleceniodawca mordu Jeremiasz Barański, słynny „Baranina", i jego wykonawca Tadeusz Maziuk. Pierwszy odebrał sobie życie w więzieniu w Austrii, drugi w Polsce – w monitorowanej izolatce, przy czym okazało się, że zapisu zgonu nie ma, bo monitoring nie miał włączonej funkcji archiwizacji obrazu.

Jeszcze więcej tajemnic wiąże się z porwaniem i zabójstwem Krzysztofa Olewnika – syna potentata wędliniarskiego z mazowieckiego Drobina. W latach 2007-2009 skazani za tę zbrodnię Wojciech Franiewski, Sławomir Kościuk i Robert Pazik kolejno się powiesili. Dwa lata po Franiewskim zabił się strażnik więzienny, który znalazł wisielca.

W sierpniu 2019 roku w celi aresztu na Białołęce zmarł osadzony Dawid Kostecki – pięściarz, młodzieżowy mistrz świata, a poza tym prawomocnie skazany sutener i handlarz narkotykami. Przed śmiercią złożył zeznania na temat skorumpowanych oficerów policji, którzy ochraniali prowadzone przez niego podkarpackie agencje towarzyskie. Wedle relacji strażników z Białołęki miał się powiesić na leżąco w łóżku, co w praktyce jest ekstremalnie trudne.

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

„Większość zawodów ma motywację dodatnią. Ktoś wyleczy pacjenta czy zbuduje gmach. W służbie więziennej mamy do czynienia wyłącznie z negatywami. Ucieczki, bunty, przemoc, samookaleczenia"

Cztery dni po zgonie Kosteckiego we wrocławskim więzieniu zmarł skazany za planowanie ataku terrorystycznego na Sejm doktor chemii i wykładowca Brunon Kwiecień. W śledztwie twierdził, że podżegali go do przestępstwa agenci ABW (sąd uznał, iż funkcjonariusze rzeczywiście przekroczyli granicę prowokacji). Skazany zapowiadał, że gdy wyjdzie – co miało nastąpić już wkrótce – opublikuje „prawdę o rzekomym zamachu". Wedle zeznań strażników zabił się w łóżku, uderzając głową o ścianę.

– Wielu z tych powieszonych czy zmarłych na leżąco miało wiedzę o różnych wpływowych osobach – mówi mi Leszek Szymowski, autor książki „Seryjny samobójca". – Kostecki mógł znać nazwiska polityków korzystających z „jego" prostytutek. A śmierć Maziuka zamknęła śledztwo w sprawie zastrzelenia ministra. Potem się okazało, że strzały mógł oddać ktoś inny, tylko już nie dojdziemy prawdy, bo sprawa została umorzona.

203

• OSADZONYCH NA 100 TYSIECY POLAKÓW **przypadało pod koniec rządów PiS. na Węgrzech – 187, w Holandii – 66, średnia unijna to 111**

– Czy pańskim zdaniem w tych zgonach maczali palce strażnicy albo policjanci?

Szymowski: – Zabójcy nie mogliby wejść i wyjść bez współpracy „klawiszy".

Dotarłem do byłego policjanta, który siedział z Maziukiem. Opowiedział mi, jak w noc jego śmierci rozchodziły się po korytarzu odgłosy walki i krzyki. Z kolei członek wołomińskiego gangu narkotykowego niejakiego „Małpy" złożył zeznania, że w noc śmierci Roberta Pazika pod mur więzienia podjechał mężczyzna, który przekazał informację, że porywacz Olewnika ma zginąć.

– Ja w żadnego seryjnego samobójcę nie wierzę – mówi były dyrektor więzienia. – W zakładach brytyjskich i niemieckich notują jeszcze więcej samobójstw osadzonych. Paradoksalnie u nas może być lepiej przez przepełnienie cel. Trudno odebrać sobie życie, jak siedzisz z sześcioma innymi.

•

W lutym 2022, a więc po siedmiu latach surowych rządów PiS w więziennictwie, niespełna czterdziestoletni pensjonariusz zakładu karnego w Rzeszowie w trakcie konsultacji psychologicznej zamordował więzienną psycholożkę. Nożyczkami podziurawił kobiecie szyję i twarz. W sądzie tłumaczył czyn własną frustracją i bezczynnością strażników, którzy nie reagowali, na sygnały, że był przez współwięźniów bity.

Chcąc lepiej wiedzieć, co faktycznie dzieje się za kratami, rząd Mateusza Morawieckiego wkrótce powołał Inspektorat Wewnętrzny Służby Więziennej. Podległy ministrowi sprawiedliwości – a więc Ziobrze - organ dostał szerokie uprawnienia: podsłuchy, inwigilacja, operacje specjalne i prowokacje zarówno wobec więźniów, jak i wobec strażników.

Płk Moczydłowski: - Tak naprawdę Inspektorat powołano ze względów politycznych. Rządzącym szło o to, że więźniowie mogą być ciekawi operacyjnie, bo znają adwokatów, policjantów, prokuratorów, sędziów... i to się da wykorzystać. Można traktować wyrokowców jak źródło informacji, przy czym te informacje mogą być fabrykowane. Łatwo skusić osobę uwięzioną obietnicą choćby niedużej poprawy warunków odbywania kary. Ziobro, kiedy powrócił do ministerstwa po ośmiu latach przerwy, zaczął popychać więziennictwo w obłęd. A do tego zapełnił Służbę swymi nominatami.

Były dyrektor więzienia: – Szukali ludzi przez Lasy Państwowe i przez koła łowieckie. Potem ci myśliwi, którzy zostawali dyrektorami więzień, wysyłali skazanych, żeby budowali po lasach ambony strzeleckie. Na festynach wyborczych wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego serwowano kiełbasę z przywięziennych przedsiębiorstw rolnych. Ludzie Ziobry i Romanowskiego zwyczajnie się na więziennictwie uwłaszczyli. A porządnych funkcjonariuszy trzeba było zwalniać, by zrobić miejsce dla tamtych. Jednemu z niewygodnych dyrektorów podrzucono do szafki jakieś biurowe graty i został wyrzucony za przywłaszczenie sprzętu służbowego.

Moczydłowski: – Też znam człowieka niesłusznie zwolnionego z SW, Rafała Kowalika. Odwoływał się, w międzyczasie znalazł pracę jako nauczyciel. Był świetny, mieszkańcy go wybrali na burmistrza Szczebrzeszyna.

•

Miejsce, gdzie chrząszcz brzmi w trzcinie, to pięciotysięczne miasteczko w powiecie zamojskim na Lubelszczyźnie. Dzwonię do magistratu.

– Byłem strażnikiem kreatywnym, mającym własne zdanie – mówi burmistrz Kowalik. – Nie zgadzałem się z tym niedobrym zwyczajem, że gdy coś nie gra, strażnik ma przyjąć winę, pozwolić się ukarać, odcierpieć, żeby tylko kierownictwo miało czyste konto. Ja się szefom stawiałem. Ze wsparciem związków zawodowych, których przedstawiciele byli w mej sprawie zastraszani; później nająłem prawnika.

Na początku szło o drobiazgi.

– W myśl zasady: szukajcie, a znajdziecie. Spóźniłem się na służbę pierwszy raz od dziewięciu lat – od razu nagana. Potem ktoś wrzucił mi do plecaka jeden z więziennych kluczy. Zauważyłem w domu, oddałem przełożonym. Zostałem ukarany kolejną naganą, choć nie ja klucz pobierałem. Była bójka na spacerniaku. Zainterweniowałem – źle. Innego razu nie zainterweniowałem – jeszcze gorzej. Po ataku ze strony osadzonego miałem zwichnięty nadgarstek, poszedłem na L4. A był akurat grudzień i rozdawałem dzieciom cukierki jako Święty Mikołaj na placu w Szczebrzeszynie. Wpadła kontrola z SW i postawili mi zarzut, że „nieprawidłowo wykonuję zwolnienie lekarskie". Choć miałem 1200 nadgodzin w roku, choć byłem dostępny całą dobę, choć przyjeżdżałem na wszelkie alarmy, a podczas służby byłem przynajmniej dziesięć razy fizycznie atakowany przez osadzonych... uznali, że się nie przykładam. W 2019 roku wystawili mi dwie negatywne opinie, a to już wystarcza, by strażnika zwolnić. Poszedłem z nimi do sądu. Szesnastu kolegów zeznało zgodnie, że jestem dobrym strażnikiem. Sąd orzekł, że zostałem zwolniony niesłusznie.

W trakcie procesu i po nim Rafał Kowalik służył w wojsku, pracował również w Szczebrzeszynie jako kierownik internatu, kierownik warsztatów szkolnych, wreszcie dyrektor szkoły. Wiosną 2024 wystartował na fotel burmistrza z komitetu Bezpartyjnych Samorządowców. Wygrał, zdobywając ponad 60 procent głosów.

– Z perspektywy czasu zastanawiam się: co ja w tym więziennictwie robiłem? Teraz mam lepsze życie. Ale żądam milionowego odszkodowania i przywrócenia do Służby. Dla zasady. Gdy skończy mi się kadencja na stanowisku burmistrza, wrócę do SW posłużyć choćby jeden dzień, żeby pokazać, że byłem zwolniony niewinnie za to, że nie dawałem sobie pluć w kaszę.

•

Były dyrektor więzienia: – Za drugiego Ziobry dyrekcja więziennictwa masowo likwi-

eprasa.pl 1f82165fe2

dowała programy resocjalizacyjne, terapie antyalkoholowe i antynarkotykowe, treningi podnoszące kompetencje społeczne osadzonych. Minister działał wedle głoszonej przez siebie zasady: „więzienie to nie sanatorium”. Uważał, że za kratami mają się odbywać pokuta i praca.

Związkowiec Robert Moskal: – Nacisk na zatrudnienie skazanych sprawił, że dyrektorzy, których sednem pracy jest podlizywanie się ministerstwu, zaczęli fałszować statystyki. Był korytarz, który sprzątał jeden osadzony, no to teraz tę samą powierzchnię pucowało dziesięciu. W zakładzie dla recydywy! Nie robili porządku, tylko nawiązywali nielegalne kontakty. A jeszcze, żeby dać osadzonemu szmatę do ręki, to trzeba mu wyrobić kartę zatrudnienia, przeprowadzić badania lekarskie... 25 lat temu skazani po prostu sprzątali rotacyjnie – strażnicy wyznaczali dyżury. I komu to przeszkadzało?

– Oficerowie niechętni takim właśnie porządkom byli za Ziobry wyrzucani, przenoszeni, pozbawiani premii – mówi dyrektor emeryt. – Wymieniono około trzech tysięcy ludzi. Przyszli ignoranci, których trzeba przeszkolić, lecz system z tym nie nadąża, zrobiła się wielka kolejka. Nieprzeszkolony idzie z jakimś problemem do kierownika z łapanki, ten pyta: „Masz zakres obowiązków? Jak masz, to wypierdalaj!”. A żeby ukryć, jaki powstał bajzel, więziennictwo stało się tak nietransparentne jak za komuny. Nie chcieli nawet udzielić dziennikarzom informacji, gdzie siedzi zabójca malarza Zdzisława Beksińskiego.

Sam również się przekonałem, jak bardzo hermetyczne i nieufne jest środowisko strażników. Chciałem zasięgnąć języka w ośrodku szkoleniowo-wypoczynkowym SW nad Zalewem Koronowskim w województwie kujawsko-pomorskim. Nie wpuszczono mnie nawet za bramę. Jeszcze dostałem ochrzan: strażnik przez interkom kazał mi schować wystającą z kieszeni komórkę, abym przypadkiem nie nagrał krzaków, płotu i wiszącego na nim wideofonu. Po czym odmówił informacji, kto kieruje ośrodkiem i jak można się z nim skontaktować.

– Tak samo nieprzejrzysta jest uczelnia Służby Więziennej, którą ja nazywam „akademią kary”, polityczną instytucją Ziobry i jego zastępcy Jakiego – mówi pułkownik Moczydłowski.

Chodzi o powołaną w 2018 roku stołeczną Akademię Wymiaru Sprawiedliwości, która zastąpiła funkcjonujący wcześniej Centralny Ośrodek Szkolenia Służby Więziennej w Kaliszu. Rektorem nowej uczelni został w 2023 roku – i jest nim do dzisiaj – niespełna 30-letni dr Michał Sopiński, kaliski działacz Suwerennej Polski, który od polityków PO oczekiwał „rezygnacji z polskiego obywatelstwa”, zaś Donaldowi Tuskowi, „pachołkowi Putina”, wróżył, że ten po kolejnych wyborach zostanie „pensjonariuszem zakładu karnego”.

20-40

• **tragicznych zgonów za kratami notuje się każdego roku**

50

• ABSOLWENTÓW ROCZNIE **wypuszcza Akademia Wymiaru Sprawiedliwości, która zastąpiła Centralny Ośrodek Szkolenia Służby Więziennej. Całe więziennictwo przyjmuje co roku ponad 1000 osób**

Wykładowców również dobrano, jak twierdzi Moczydłowski, z politycznego klucza: – Nie ma możliwości, by zweryfikować przygotowanie tej kadry do prowadzenia zajęć. Nawet ogólna liczba studentów pozostaje nieznana. Wiadomo tylko, że rocznie mury opuszcza 50 absolwentów. Tymczasem więziennictwo przyjmuje co roku do Służby przeszło tysiąc osób.

Zadzwoniłem do Akademii zapytać o liczbę żaków i dokonania naukowe pracowników. Efekt podobny jak wcześniej w ośrodku nad zalewem. 9 maja w piątek w południe numer sekretariatu komendanta zgłasza się jako nieczynny. Rzecznik prasowy porucznik Marta Frąckiewicz: „Osoba, do której dzwonisz, ma wyłączony telefon...”. Zastępca rzecznika porucznik Maciej Kalaman – to samo. Drugi zastępca rzecznika, chorąża Joanna Olek miała przynajmniej telefon włączony, lecz również nie odebrała i nie oddzwoniła.

•

Po ośmiu latach „dobrej zmiany” Polska dorobiła się najwyższego w Unii Europejskiej wskaźnika inkarceracji. Pod koniec drugich rządów Zbigniewa Ziobry w resorcie sprawiedliwości na 100 tysięcy Polaków przypadało 203 osadzonych. Dla porównania: na Węgrzech – 187, w Czechach – 181, w Holandii – 66. Średnia unijna wynosi 111 więźniów na 100 tysięcy obywateli.

W dodatku istnieją miejsca, w których znów się bije. W raporcie Biura Rzecznika Praw Obywatelskich z początku 2023 roku opisano codzienność zakładu karnego w warmińskim Barczewie: „Osadzeni są wyciągani z cel, doprowadzani do pomieszczeń niemonitorowanych, gdzie następnie są bici, obrażani, zastraszani, podduszani, a nawet podtapiani (tak zwany waterboarding)”. Więźniowie z Barczewa opowiedzieli wysłannikom RPO o biciu za podniesienie głosu na strażnika albo za hałaśliwe odłożenie słuchawki w rozmównicy. Jeden z osadzonych opisał, jak strażnicy założyli mu kajdanki, położyli twarzą do podłogi i bili pięściami po nerkach. Prokuratura wszczęła śledztwo, które nadal trwa. – Przesłuchano kilkaset osób, bo samych pokrzywdzonych jest ponad 80, a funkcjonariuszy około 500 – mówi mi prokurator Daniel Brodowski z Olsztyna. – Czekamy na ostatnie opinie biegłych z zakresu medycyny sądowej, trwa również okazywanie pokrzywdzonym tablic poglądowych z wizerunkami strażników. Zarzutów jeszcze nikomu nie postawiliśmy.

Były dyrektor więzienia: – Chcę wierzyć, że Barczewo było jednak wyjątkiem, lecz proszę sobie wyobrazić, co się dzieje w głowie młodego człowieka, który przychodzi do Służby i wpada w takie bagno...

Dr Moczydłowski: – Więzienna przemoc w trakcie rządów PiS i Suwerennej Polski znów się odrodziła. Aby to ukryć, zmieniono między innymi system rejestracji w ten sposób, że notowano tylko akty agresji, które się kończyły dla poszkodowanych co najmniej siedmiodniowym rozstrojem. Drobniejszych przypadków pobicia, które nie kończą się interwencją lekarza, system w ogóle nie widzi.

– Powie mi pan na koniec cokolwiek pozytywnego na temat więziennictwa?

– To, że jeszcze wszystko nie eksplodowało, jest zasługą średniej kadry kierowniczej, która jest doświadczona i pomimo politycznych wstrząsów cały czas robi swoje. Za co trzeba tych ludzi docenić.

•

Po ostatnich wyborach wiceministra sprawiedliwości Maria Ejchart zapowiedziała zmniejszenie liczby osadzonych o co najmniej 20 tysięcy. Między innymi przez przedterminowe zwolnienia i dozór elektroniczny.

– Ta zapowiedź przypomina mi PRL – mówi były dyrektor zakładu karnego. – Wtedy również na przepełnienie władza reagowała amnestią. Wypuszczano zresztą głównie więzienną agenturę, tajnych współpracowników, żeby szpiegowali ludzi na wolności. Moim zdaniem należy rozpocząć budowę nowych więzień w miejsce dotychczasowych. Potrzebne są takie z monitorowanymi, dwu-trzyosobowymi celami.

Na razie większość osadzonych siedzi w murach pruskich lub carskich, a nierzadko pamiętających Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Przykładowo więzienie dla recydywistów w małopolskim Nowym Wiśniczu funkcjonuje w tym samym gmachu od 1783 roku. – Nowoczesne więzienia budowane są z bloków supertwardego betonu, jeden prefabrykat to jedna cela, ustawia się je jak klocki łatwe do skontrolowania i monitoringu – opowiada były dyrektor. – Te stare polskie klasztory i koszary pełniące dziś funkcje więzień są pełne zakamarków. By skontrolować celę, trzeba zrobić kipisz. Strażnik przerzuca manele, a więzień mu głośno pierdzi. Funkcjonariusz go puknie, tamten się odszczeka, już obu ciśnienie skacze.

Tymczasem w nowoczesnym więzieniu ludzi pilnuje technologia. Skrzydła są tak ustawione, żeby ci, co nie muszą, w ogóle się nie stykali. Nawet kolory ścian stonowane, najczęściej pastelowe. – Kultura, mało strażników, dużo psychologów. Mało energii na pilnowanie, dużo na resocjalizację. Nowoczesne więzienia buduje się z myślą nie o wygodzie skazanych, ale o ułatwieniu roboty i zapewnieniu bezpieczeństwa strażnikom – kończy dyrektor.

– Tylko czy zatrute populizmem penalnym społeczeństwo zgodzi się, aby „poprawiać warunki »klawiszom« i bandytom”, kiedy brakuje mieszkań? – zastanawia się dr Moczydłowski. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34380129

WE WTOREK W „WYBORCZEJ” DODATEK SPEJCJALNY

Zdrowie na wakacje

- Jakie szczepienia warto zrobić przed podróżą?
- Jak radzić sobie z bólem głowy i obrzękami?
- Jak rozpoznać zatrucie pokarmowe?

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

ŚWIAT

Pożar w składzie ropy naftowej w dzielnicy Shahran na obrzeżach Teheranu po izraelskim ataku rakietowym (15.06.2025)

FOT. STRINGER/GETTY IMAGES

No to teraz zbudujemy tę BOMBĘ

Przez Netanjahu i Trumpa najczęściej powtarzany fake news z Bliskiego Wschodu może stać się prawdą.

Mariusz Zawadzki

W nocy z 12 na 13 czerwca, kiedy izraelskie rakiety i bomby spadały na irańskie instalacje atomowe i na irańskich generałów i naukowców, Benjamin Netanjahu przemówił do świata. W krótkim siedmiominutowym nagraniu wideo ogłosił rozpoczęcie wojskowej operacji Rising Lion, Budzący się Lew, i wyjaśnił jej przyczyny.

Izrael musiał zaatakować, mówił Netanjahu, bo Iran był już tylko kilka miesięcy od zbudowania bomby atomowej. Historia nauczyła nas, ciągnął izraelski premier, że nie można być biernym w obliczu zła. Europejscy politycy ustępowali Hitlerowi, żeby zachować pokój, co doprowadziło do najstraszniejszej wojny w historii świata i do Holocaustu. Izrael nie może ustępować Iranowi, bo skończy się to atomowym Holocaustem.

Wszystkim, którzy wierzą premierowi Netanjahu i bardzo boją się irańskiej bomby atomowej, na uspokojenie proponuję krótkie, proste ćwiczenie w wyszukiwarce Google. W okienko wpisujemy „Iran months from nuclear bomb", klikamy w ikonkę „Narzędzia" i ustawiamy datę od 1 stycznia 2005 do 1 stycznia 2015. Teraz klikamy „enter" i wyskakują nam tytuły artykułów prasowych z całej dekady od 2005 do 2015.

Okazuje się, że o tym, że „Iran jest zaledwie miesiące od bomby atomowej", mówiono nam w każdym roku, poczynając od 2005. Zwykle alarmowali w tej sprawie Izraelczycy, a czasami Amerykanie.

W 2016 roku przestano alarmować, bo Ameryka Baracka Obamy podpisała wtedy z Iranem układ o zniesieniu amerykańskich sankcji w zamian za wstrzymanie irańskiego programu atomowego. W 2018 roku Trump bezsensownie zerwał ten układ, który był najlepszym możliwym zabezpieczeniem przed irańską bombą, bo inspektorzy ONZ na bieżąco monitorowali wszystkie irańskie instalacje atomowe i pilnowali, czy Irańczycy dotrzymują słowa. To była pełna inwigilacja, wszędzie kamery plus liczne wizytacje inspektorów. Decyzja Trumpa nas tego pełnego monitoringu pozbawiła i od 2019 roku znowu co roku słyszymy, że „Iran jest zaledwie miesiące od bomby atomowej".

To najczęściej powtarzany fake news z Bliskiego Wschodu. Jeśli ktoś jeszcze w niego wierzy, nawet pomimo ćwiczenia w Google, proponuję sięgnąć do raportu amerykańskiego wywiadu z marca. To coroczny raport, w którym koordynator amerykańskich służb, w oparciu o informacje od CIA, wywiadu elektronicznego NSA i kilku wojskowych służb wywiadowczych, omawia najważniejsze zagrożenia dla Stanów Zjednoczonych na najbliższy rok.

Raport jest jawny, można go łatwo znaleźć w internecie. Dwa miesiące temu pisano w nim tak: *„W naszej ocenie Iran nie buduje broni atomowej.* Ajatollah Chamenei od 2003 roku nie wydał polecenia, żeby wrócić do programu budowy broni atomowej [w 2003 roku tajny irański program atomowy ujawniła irańska opozycja i szyickie władze w Teheranie obiecały go wstrzymać]. *Obserwujemy jednak presję na ajatollaha, żeby wznowić ten program. O ile dotąd broń atomowa była tematem tabu w irańskiej debacie publicznej, to w ostatnim roku politycy i członkowie rządu zaczęli o tym mówić. Jednakże Chamenei pozostaje finalnym decydentem w sprawie programu atomowego".*

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

Trump zerwał układ Obamy, który był najlepszym możliwym zabezpieczeniem przed irańską bombą, bo inspektorzy na bieżąco monitorowali wszystkie irańskie instalacje atomowe. To była pełna inwigilacja, wszędzie kamery plus liczne wizytacje

Tyle amerykański wywiad.

Notabene, na podstawie raportu możemy się domyślać, czemu Izraelczycy nie zabili Najwyższego Przywódcy Iranu. Zapewne mogli, skoro zabili kilkunastu najważniejszych irańskich generałów i naukowców atomowych. Ajatollah się nie ukrywa, powszechnie wiadomo, gdzie urzęduje.

Otóż nie zabili go, ponieważ od 22 lat ajatollah Chamenei, o którym w zachodniej prasie czytamy często, jak bardzo jest radykalny i niebezpieczny dla świata, nigdy nie wydał polecenia wznowienia wojskowego programu atomowego. Akurat w tej kwestii jest wyjątkowo wstrzemięźliwy.

Od 2003 roku Irańczycy utrzymują, że ich program atomowy jest czystko pokojowy, że wzbogacają uran tylko w niewielkim stopniu, żeby służył im jako paliwo w elektrowniach atomowych. Oczywiście tym sposobem trzymają swoich wrogów w szachu, bo technologia produkcji paliwa uranowego może zostać bardzo łatwo wykorzystana do produkcji bomby atomowej.

Polega ona na oddzieleniu dwóch izotopów uranu: rozszczepialnego U235 i bezużytecznego U238. Żeby otrzymać ładunek bomby, trzeba po prostu dłużej odwirowywać uranowy gaz, aż osiągnie stężenie 90 procent izotopu U235. Do zasilania elektrowni jądrowej wystarczy stężenie kilka procent.

Irańczycy nigdy nie odwirowali gazu do poziomu 90 procent, choć zdarzało im się przekraczać stężenie potrzebne do elektrowni. Wyjaśniali, że mocniej wzbogacony uran – na przykład do poziomu 50 procent – wykorzystują w naukowych eksperymentach. Taki stan rzeczy utrzymywał się od dwóch dekad.

Czemu zatem Netanjahu postanowił akurat teraz zaatakować Iran i zniszczyć jego instalacje atomowe? Powody są, z grubsza trzy.

1

Po pierwsze, Netanjahu od dwóch lat cynicznie rozpętuje kolejne wojny, żeby utrzymać się przy władzy.

Jest powszechnie obwiniany za masakrę z 7 października 2023 roku, kiedy terroryści Hamasu ze Strefy Gazy wtargnęli na teren Izraela i w przygranicznych miasteczkach wymordowali około 1200 osób. Armia izraelska była bezradna, żołnierze zostali zaskoczeni i ginęli w przygranicznych bazach. Odsiecz nie nadchodziła, chociaż Izrael jest bardzo mały i już po pół godziny powinny przylecieć helikoptery z działkami, rakietami i komandosami. Ale nie przyleciały, ludzie zostali sami na wiele godzin.

Za katastrofalną nieudolność wojska odpowiada premier, szczególnie jeśli rządzi kraje prawie nieprzerwanie od kilkunastu lat.

Dodatkowo Netanjahu jest obwiniany za decyzje polityczne: przez kilkanaście lat tolerował rządy Hamasu w Strefie Gazy, a za kulisami nawet mówił współpracownikom, że Hamas jest Izraelowi potrzebny. Po co?

Jako pretekst, żeby nie negocjować z Palestyńczykami w sprawie utworzenia ich państwa i zakończenia trwającego od 100 lat konfliktu żydowsko-palestyńskiego. Lepiej odsuwać negocjacje w nieskończoność, do czasu, aż żydowscy osadnicy zajmą większość Zachodniego Brzegu Jordanu i powstanie państwa palestyńskiego stanie się nierealne (ten stan akurat udało się premierowi osiągnąć).

Taka cyniczna polityka wydawała się skuteczna aż do masakry 7 października.

Skompromitowany Netanjahu nie podał się do dymisji, tylko od prawie dwóch lat utrzymuje kraj w stanie permanentnej wojny – najpierw z Palestyńczykami w Gazie, potem z Libanem, teraz z Iranem. A kiedy trwa wojna, rządu się nie zmienia. Oczywiście premier liczy, że po serii sukcesów wojskowych Izraelczycy zapomną o jego kompromitacji i w najbliższych wyborach znowu go wybiorą.

Cenę cynicznej gry o władzę ponoszą głównie Palestyńczycy – zabito ich już ponad 50 tysięcy, w większości kobiet i dzieci. Strefa Gazy została zrównana z ziemią jak Warszawa w II wojnie światowej, ludzie koczują w namiotach lub ruinach. Początkowo izraelska opinia publiczna to popierała, ale ostatnio pojawiły się głosy wzywające do opamiętania. Były premier Ehud Olmert ogłosił, że Izrael popełnia zbrodnie wojenne.

Cenę ponoszą też izraelscy zakładnicy – kilkudziesięciu już prawie dwa lata pozostaje w niewoli Hamasu, a co gorsza wokół nich wybuchają nieustannie ich własne, izraelskie bomby. Netanjahu kilka razy zerwał rozmowy z Hamasem o uwolnieniu zakładników, bo to oznaczałoby koniec wojny i koniec jego rządu.

Izrael zaatakował Iran

Operacja „Rising Lion” rozpoczęła się 13 czerwca około godziny 2 czasu lokalnego. Izraelskie pociski uderzyły w kilkadziesiąt celów w Iranie, m.in. w główny zakład wzbogacania uranu w mieście Natanz, około 225 km na południe od Teheranu

INFOGRAFIKA: WYBORCZA.PL/BIQDATA ŹRÓDŁO: CRITICALTHREATS.ORG / AL JAZEERA

Wzrost ceny ropy po ataku Izraela na Iran

Dane od początku maja 2025 r. w dolarach amerykańskich (USD)

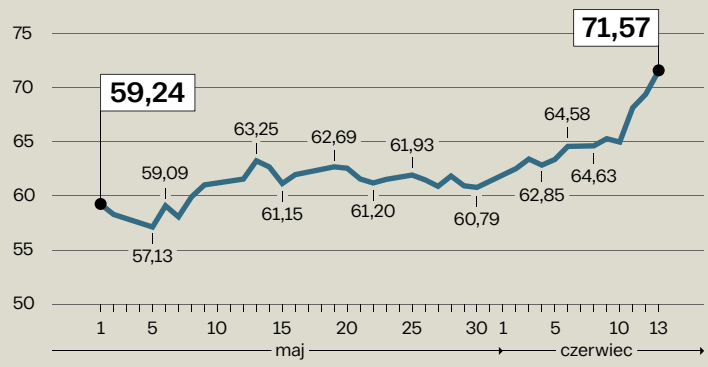

INFOGRAFIKA: WYBORCZA.PL/BIQDATA ŹRÓDŁO: INVESTING.COM

2

Po drugie, Netanjahu akurat teraz wydał rozkaz ataku, bo w Białym Domu wreszcie jest prezydent, który na to zezwolił.

Obama ani Biden nie zgadzali się na izraelski atak, a zgoda Amerykanów była potrzebna, żeby przelecieć nad Irakiem, ponadto Izrael większość swoich bomb importuje z USA.

Trump wprawdzie jest przeciwnikiem angażowania Ameryki w wojny – to jedna z niewielu jego zalet – i nawet ostatnio prowadził negocjacje z Iranem w sprawie zawieszenia programu atomowego. Ale jednocześnie podaje się za największego w historii Ameryki przyjaciela Izraela i najwyraźniej w ramach tej megaprzyjaźni uległ namowom Netanjahu i dał mu zielone światło.

Netanjahu zapewne liczy, że uda mu się jeszcze bardziej zmanipulować Trumpa i całkowicie wciągnąć Amerykę do wojny. Jeśli izraelskie bomby okażą się za słabe, żeby zniszczyć podziemne instalacje atomowe Iranu, to potrzebna będzie pomoc Amerykanów, którzy mają największe, 15-tonowe bomby.

3

I trzecia przyczyna – Izrael zaatakował, bo Iran nigdy nie był słabszy niż teraz.

W ubiegłym roku Netanjahu znacznie osłabił Hezbollah, czyli wspieraną i zbrojoną przez Iran szyicką grupę w Libanie, która rezyduje tuż przy granicy z Izraelem i trzyma Izraelczyków w szachu. Teraz Hezbollah jest relatywnie niegroźny. Zniszczony militarnie został również Hamas, który z punktu widzenia Iranu pełnił podobną rolę.

W ciągu ostatnich kilku lat systemy obrony antyrakietowej stały się naprawdę skuteczne. Dlatego irańskie drony oraz rakiety, nawet rakiety balistyczne, nie stanowią wielkiego zagrożenia. Prawie zestrzeliwuje izraelska i amerykańska obrona antyrakietowa, kiedy lecą nad Irakiem i Jordanią. Zatem Iran został zaatakowany akurat teraz nie dlatego że jest silny i groźny dla Izraela czy dla świata, tylko dlatego, że jest słabszy niż kiedykolwiek.

Wojna dopiero się zaczyna, Iran zapowiada srogi odwet, ale należy spodziewać się totalnego zwycięstwa Izraela. Irańskie rakiety balistyczne i drony będą zestrzeliwane, część wyrzutni zniszczyli Izraelczycy. Tymczasem izraelskie samoloty i rakiety będą bez większego ryzyka latać nad Iranem i niszczyć kolejne instalacje atomowe.

Wprawdzie Ameryka twierdzi, że nie brała udziału w ataku, ale jest oczywiste, że jest zaangażowana po uszy. Dostarcza Izraelowi bomb, wiedziała o planach ataku z wyprzedzeniem, a teraz amerykańskie antyrakiety zestrzeliwują irańskie pociski lecące na Izrael. Może najgorsze z punktu widzenia Irańczyków jest to, że administracja Trumpa ich oszukała – udawała, że z nimi negocjuje, choć wiedziała, jakie zamiary ma Netanjahu.

Przykre konsekwencje dla Izraela i Ameryki nadejdą z opóźnieniem. Będą to zapewne zamachy terrorystyczne na ambasady, na izraelskich czy amerykańskich turystów i dyplomatów. Europejskim turystom tez rykoszetem się dostanie. Ale to nie koniec.

Być może Rosja spróbuje wykorzystać konflikt z Iranem i rykoszetem oberwie też Ukraina. Gdybym był Putinem, to powiedziałbym Amerykanom, że – z uwagi na wielowiekową przyjaźń narodów rosyjskiego i perskiego – rozważam przekazanie Iranowi w podarku niewielkiej liczby min atomowych, ale mogę jeszcze zmienić zdanie, jeśli imperialiści z NATO wstrzymają pomoc dla ukraińskich faszystów. Czy coś w tym stylu.

Czy Putin tak zrobi? Nie wiadomo. Ale niewątpliwie ma dobrą okazję, żeby zaszantażować Zachód. Tym bardziej że Rosjanie od lat zachowują dobre relacje gospodarcze i wojskowe z Iranem, sprzedawali mu systemy antyrakietowe i zbudowali mu elektrownię atomową (jak na razie nie została zbombardowana), podpisali też kontrakt na kolejne elektrownie.

Najgorszy efekt ataku na Iran jest taki, że ajatollahowie w Teheranie dostają właśnie bolesną nauczkę, że ich wojsko jest za słabe, wręcz śmiesznie słabe, a podobnie bezużyteczne są ich zaprzyjaźnione grupy zbrojne wokół Izraela. Społeczność międzynarodowa też nie pomoże.

Summa summarum, Iran jest całkowicie bezradny w obliczu izraelskich ataków. I tak już będzie – no chyba że... rzeczywiście zbuduje sobie bombę!

Można się zatem spodziewać, że Iran wypowie układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej i ajatollah Chamenei – albo jego następca – wznowi wojskowy program atomowy. Najpopularniejszy fake news z Bliskiego Wschodu wreszcie – dzięki premierowi Netanjahu i jego niepohamowanej żądzy władzy – stanie się prawdą!

Ale irańskiej bomby nie będzie za kilka miesięcy, najwcześniej za kilka lat. Najpierw Irańczycy będą musieli wydrążyć w skałach, głęboko pod powierzchnią, kolejne fabryki wzbogaconego uranu. Jedną taką fabrykę już mają w Fordow, w środku skalistej góry, ale znajduje się ona tylko 70 metrów pod skałami, dlatego największe amerykańskie bomby podobno mogą ją jeszcze zniszczyć.

W pierwszych nalotach Izraelczycy nie bombardowali Fordow, ale w końcu zaatakowali. Rzecznik irańskiej agencji energii atomowej pociesza rodaków, że „znaczną część sprzętu i materiałów” ewakuowano zawczasu. Całkiem możliwe, bo Irańczycy mieli chwilę, żeby się przygotować.

A może tylko robi dobrą minę do złej gry? Ale jeśli 70 metrów pod powierzchnią nie wystarczyło, Irańczycy po prostu zaczną kopać głębiej.

eprasa.pl 1f82165fe2

Do czego zmierza wojna z Iranem

IZRAEL PLANOWAŁ TEN AT

• **Najwyższy przywódca ajatollah Ali Chamenei 4 czerwca w Teheranie**
FOT. OFFICE OF THE IRANIAN SUPREME LEADER/WANA (WEST ASIA NEWS AGENCY)/HANDOUT VIA REUTERS

„Rozumiem perspektywę Izraela: jedna bomba atomowa nad Tel Awiwem zniszczyłaby całe państwo. Ale działanie siłą zamiast dyplomacją nigdy nie przyniosło Izraelczykom nic dobrego"

Z **PROF. PIOTREM BALCEROWICZEM,** ORIENTALISTĄ Z UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO ROZMAWIA **MARTA URZĘDOWSKA**

Izraelczycy dobrze zrobili, atakując cele w Iranie i rozpoczynając obecną konfrontację?
– Ta eskalacja w dłuższej perspektywie nikomu nie służy. Poważnie zagraża bezpieczeństwu w regionie i jest kolejnym elementem, pokazującym niestety dwulicowość Zachodu: jeśli w jakimś kraju reżim nam się nie podoba, jest to wystarczająca podstawa do ataku. W ten sposób Zachód komunikuje: zamiast dyplomacji warto używać siły militarnej.

Powrócę do ataków z 11 września 2001 r., kiedy świat zachodni wspierał operację amerykańską przeciwko talibom, a potem – okupację Iraku. Skończyło się powstaniem Państwa Islamskiego, bo takie operacje zawsze odsuwają globalne południe od naszego obszaru wartości, pokazują, że Zachód kieruje się siłą. W tym kontekście atak Izraela na Iran jeszcze bardziej zniechęci świat islamu do wartości zachodnich.

Ta agresja nie leży też w interesie Izraela i władze są tego świadome – apelują dziś do Żydów na całym świecie, by nie podkreślali swojej przynależności religijnej, bo mogą stać się celem ataków. Izrael będzie też jeszcze bardziej wyalienowany, postrzegany w regionie jako kraj niebezpieczny.

Izrael od lat ostrzega, że Iran buduje bombę atomową, więc trzeba w niego uderzyć. Dlaczego zaatakował właśnie teraz?
– Planował to od wielu lat. Kiedy jesienią ubiegłego roku jego służby przeprowadziły spektakularną akcję z ładunkami wybuchowymi w krótkofalówkach i pagerach członków Hezbollahu, jasne było, że to pierwszy element długiej układanki. Podczas ubiegłorocznej wojny z Hezbollahem – sojusznikiem Iranu – Izrael wyeliminował jego przywództwo i bardzo go osłabił. W efekcie Hezbollah nie bierze udziału w obecnej wymianie ognia.

Kolejny etap – wymiana rakiet na linii Izrael-Iran z październiku ub. roku. Przy czym ciosy Izraela były niezwykle skuteczne, zaatakował stanowiska obrony przeciwlotniczej. Zniszczenie ich stworzyło idealne warunki do dzisiejszej operacji – obrona przeciwlotnicza Iranu w niektórych regionach została praktycznie wyeliminowana.

To była kwestia czasu, kiedy Izrael zaatakuje. W końcu uznał, że jeśli zrobi to teraz, najmniej ucierpi politycznie w relacjach z USA, bo Donald Trump, choć mówił, że nie zgadza się na taką akcję, jest na tyle niestabilny politycznie, że nie zareaguje.

Jak bardzo angażują się Amerykanie?
– Oczywiście wiedzieli o planach ataku. Co najmniej tydzień wcześniej Waszyngton zredukował obecność personelu w całym regionie – to był czytelny sygnał, że atak jest kwestią dni.

Na miejscu są wojska amerykańskie, lotniskowce. Także Brytyjczycy i Francuzi deklarują, że wesprą Izrael. Na razie USA pasywnie przyglądają się temu, co się dzieje, ale jednocześnie dostarczają Izraelowi broń, informacje wywiadowcze i logistyczne. Jeśli chodzi o broń, to w 2024 roku Izraelczycy dostali ogromne dostawy. Ich skala wskazywała, że nie chodzi o użycie jej w Gazie przeciwko Hamasowi, który faktycznie już nie istnieje, czy przeciwko rozbrojonemu Hezbollahowi. Ta broń była pozyskiwana po to, żeby zaatakować Iran. Zapasy są duże, Izrael jest na tyle dużą potęgą militarną, niezwykle zaawansowaną technologicznie, że poradzi sobie sam.

Izraelczycy wygrają militarnie, ale czy są w stanie naprawdę zniszczyć irański program nuklearny?
– W ubiegłym roku były informacje, że Amerykanie mają przekazać Izraelowi także te ciężkie bomby do niszczenia celów głęboko pod ziemią – takie, które byłyby w stanie zniszczyć irańskie instalacje w ośrodku Fordow, natomiast nie wiemy czy one realnie dotarły. Podejrzewam, że Izrael może kilka mieć. Natomiast do ich użycia na pewno będzie konieczna zgoda USA, a o nią trudno – atak tego typu bombami na instalacje nuklearne, gdzie jest wysoce wzbogacony uran, może doprowadzić do poważnej katastrofy. Ucierpią głównie Irańczycy, ale też mieszkańcy krajów sąsiednich.

Choć kraje arabskie w dużej mierze są trzymane w szachu przez uzależnienie od Ameryki, to nie jest model i otoczenie geopolityczne, w którym Izrael może się czuć na dłuższą metę bezpiecznie

Słyszymy ostrzeżenia, że eskalacja doprowadzi do wielkiej regionalnej wojny. Tylko kogo miałaby w nią wciągnąć? Na Bliskim Wschodzie ktoś zechce się w nią pakować?
– Nikt. Iran jest osamotniony i bardzo osłabiony. Miał dwóch sojuszników – Hutich w Jemenie i Hezbollah, dziś to nie są poważne siły. Do ubiegłego roku wydawało się, że Hezbollah jest poważną siłą, ale okazało się, że Izrael bardzo skutecznie się z nim rozprawił. Unieszkodliwienie go było warunkiem niezbędnym do rozpoczęcia obecnej operacji.

Owszem, na Bliskim Wschodzie są duchowi sprzymierzeńcy Iranu. Zresztą z dużą dozą pewności można stwierdzić, że cały Bliski Wschód sekunduje dziś Iranowi – mówię o ludności, o arabskiej ulicy.

Natomiast jeśli chodzi o rządy, reżimy, to praktycznie nie ma żadnego, który podjąłby działania. Powód jest prosty – są u władzy tylko dzięki sile policyjnej i militarnej, którą tłumią przejawy buntu, a tę siłę wspierają Amerykanie, którzy zbroją i w tej sposób uzależniają od siebie arabskie reżimy. Taka sytuacja jest w Egipcie, Jordanii, a także w Turcji, która oczywiście jest też członkiem NATO, więc na pewno nie wesprze Iranu.

Zostaje Irak, który jako państwo nie istnieje. Są tam luźne bojówki, które ewentualnie mogą zaatakować jakieś bazy amerykańskie. I ostatni kraj, Pakistan, który popiera Iran, ale nie wesprze go – ma przestarzały sprzęt wojskowy, a dwie trzecie jego armii stacjonuje na granicy z Indiami.

Przyjmijmy, że skończy się na paru dniach albo tygodniach wymiany ognia i sytuacja się uspokoi. Jest jeszcze szansa na dyplomację i deal nuklearny z Iranem?
– Iran może będzie zmuszony do rozmów. Ataki mogą rzeczywiście trwać tygodnia-

eprasa.pl 1f82165fe2

AK OD LAT

mi, szczególnie, że w tej chwili Izrael wlatuje w przestrzeń powietrzną Iranu bez przeszkód – to otwarte niebo, instalacje przeciwlotnicze zostały zniszczone. Tylko teraz będą to pewnie ataki nie na instalacje nuklearne, ale na rafinerie, porty, ewentualnie instalacje rakietowe w okolicach cieśniny Ormuz, kluczowej dla transportu ropy z Zatoki Perskiej, której zamknięcie zawsze było wykorzystywane przez Iran jako straszak.

Po co Izrael to robi? Chce bardzo mocno osłabić irańską gospodarkę, tak mocno, żeby Irańczycy w końcu się zbuntowali.

I obalili reżim ajatollahów? Z Teheranu dochodzą głosy, że nawet przeciwnicy reżimu solidaryzują się z władzą w obliczu ataku.
– Pewnym przybliżeniem chaosu, jaki nastąpiłby po obaleniu reżimu, jest to, co się dzieje w Iraku. Choć oczywiście tam obaliły go siły zewnętrzne, tu byliby to sami Irańczycy. Tylko pytanie, jak mieliby to zrobić? Broń jest w posiadaniu wojska i strażników rewolucji, którzy są silnie indoktrynowani i na pewno nie przyłączą się do protestów.

Reżim ajatollahów skutecznie wyeliminował wszelką opozycję, jej po prostu nie ma, nie tylko oficjalnie – nie istnieją nawet podziemne struktury, jakie były przed rewolucją islamską i obaleniem szaha. Teraz Irańczycy z aspiracjami po prostu wyjeżdżają z kraju. Boję się, że obalenie reżimu – choć oczywiście okrutnego –sprawi, że Iran, podobnie jak Irak, stanie się państwem upadłym. A to państwo trzykrotnie większe, więc i konsekwencje dla regionu byłyby groźniejsze.

Od lat słyszymy, że Irańczycy są bardzo blisko, że lada dzień będą mieli bombę, a potem te doniesienia cichą. Jak jest naprawdę: są blisko, czy nie są?
– Przypomnę posiedzenie rady ONZ w 2015 roku, kiedy Benjamin Netanjahu występował z planszą, wskazując, że Iran już pojutrze będzie miał bombę i wysadzi cały świat, więc natychmiast trzeba się z nim rozprawić. Minęło dziesięć lat i to samo jest powtarzane, ale faktycznie jest różnica – wtedy Iran wzbogacał uran do wysokości ok. 10 proc. przy dopuszczalnym progu niecałych 4 proc. Teraz Irańczycy wzbogacają go do wysokości 60 proc. Do budowy bomby potrzeba wzbogacania powyżej 90 proc., więc Iran jest całkiem blisko. Ale nie wystarczy wzbogacać uran, trzeba też mieć odpowiednie głowice, rakiety balistyczne. Nie wiemy dokładnie, czym Iran dysponuje.

Myślę, że jeśli Teheran pracuje nad bombą atomową, to chodzi raczej o efekt odstraszania niż faktycznego użycia jej, a już szczególnie przeciwko Izraelowi. Oznaczałoby to przecież nie tylko niemal unicestwienie państwa Izrael, ale uderzyłoby też w sąsiadów i sojuszników Iranu – Syrię, Liban – co byłoby politycznym samobójstwem Teheranu.

Irańczycy nigdy nie grozili, że zaatakują Izrael bombą atomową, choć oczywiście retoryka antysyjonistyczna jest tam bardzo silna.

Natomiast doskonale rozumiem perspektywę Izraela. Jeśli wyobrazimy sobie bombę atomową nad Teheranem, to zniszczy ona okolice Teheranu. Natomiast jedna bomba nad Tel Awiwem zniszczy prawie całe państwo, wraz z jego ludnością, bo Izrael jest tak mały.

Poza tym Iran musi bardzo ostrożnie poruszać się w obszarze bliskowschodnim, bo potencjalnie ma wielu wrogów. Jego relacje z otoczeniem arabskim, kulturowo obcym Persom, nie zawsze są dobre, bywają najwyżej poprawne.

Skoro nie wiemy, jak wzbogacony uran mają Irańczycy, ile mają głowic i rakiet i co planują, może lepiej faktycznie uderzyć – jak Izrael – na wszelki wypadek?
– Pokazywanie siły nigdy nie przyniosło Izraelowi nic dobrego w relacjach z sąsiadami. Był tylko jeden moment – proces z Oslo z lat 90. kiedy rzeczywiście zapowiadało się na dobre, pokojowe, zmiany, i był to efekt dyplomacji, nie wojny.

Dziś Izrael nie stosuje dyplomacji w ogóle, bo przedefiniował cele. Chce rozszerzać swoje terytorium, przesiedlić Palestyńczyków z Gazy i Zachodniego Brzegu, a dyplomacja w tym przeszkadza.

Nie zyskuje na tym, bo żyje w coraz bardziej wrogim otoczeniu i owszem, centrum tej wrogości jest Iran.

A choć kraje arabskie w dużej mierze są trzymane w szachu przez uzależnienie od Ameryki, to nie jest model i otoczenie geopolityczne, w którym Izrael może się czuć na dłuższą metę bezpiecznie.

Rozmawiamy o Teheranie i Tel Awiwie, ale równie istotne jest pytanie, czy Rosja wykorzysta eskalację. W jaki sposób mogłaby to zrobić?
– Władimir Putin na pewno wykorzysta ją w swojej narracji, będzie pokazywał paralelizm – skoro Izrael ma prawo atakować Iran, który postrzega jako zagrożenie, to Rosja – z tych samych powodów – ma prawo zaprowadzać swoje porządki w Ukrainie.

Natomiast nie sądzę, że Putin zdecyduje się wesprzeć Iran. Nie ma takiej możliwości, cały przemysł zbrojeniowy pracuje teraz na rzecz wojny w Ukrainie. Rosja zresztą nie traci szczególnie na tej wymianie ognia, bo te słynne drony irańskie wykorzystywane przez rosyjską armię są już od dawna produkowane w Rosji, nie w Iranie. Więc raczej skończy się na retoryce.

A czy to, co się dzieje dziś na linii Izrael-Iran, wpłynie na wojnę w Gazie?
– Już wpływa. Wystarczy spojrzeć w nagłówki gazet przez ostatnich kilka dni. Czy czytamy cokolwiek o tym, co się dzieje w Gazie? Nie. A tam nadal dzieją się te same złe rzeczy, co wcześniej. Ludzie stoją w obliczu głodu, wojna trwa, ale nas już to nie interesuje. Jest też drugi element, czyli demonstracja siły – Izrael pokazuje dziś swoją potęgę na Bliskim Wschodzie, co może sugerować sąsiadom, że mimo ich oporu będzie w stanie ich zmusić do przyjęcia dużej liczby Palestyńczyków, których chciałby wysiedlić z Gazy.

Umyka nam fakt, że Iran jest sygnatariuszem traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej i podporządkowuje się formalnie inspekcjom Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, choć oczywiście, jak wiemy, nie współpracuje z nią należycie.

Natomiast po drugiej stronie jest Izrael, który nigdy nie przystąpił do traktatu, nie uznaje jurysdykcji MAEA, jak Korea Północna, nie informuje, ile ma głowic, nie odbywają się tu żadne inspekcje, a jednak jakoś nas to nie oburza. Społeczność międzynarodowa wzywa dziś Iran do deeskalacji, ale warto pamiętać, że agresorem w akurat tej konfrontacji jest Izrael. ●

Noblistka Szirin Ebadi:

Irańczycy marzą o końcu ajatollahów

– Gdyby młodzi w moim kraju dostali wsparcie, reżim mógłby szybko upaść i Iran mógłby myśleć o referendum i demokracji – uważa działaczka na rzecz praw człowieka i laureatka Pokojowej Nagrody Nobla.

Antonello Guerrera

la Repubblica

Reżim w Iranie jest osłabiony jak nigdy, teraz ludzie mogą w każdej chwili powstać i wywalczyć sobie nowy, lepszy system" – uważa noblistka Szirin Ebadi, obecnie żyjąca na wygnaniu w Londynie. „Kiedy Izrael wziął na cel Strażników Rewolucji, nikt specjalnie nie protestował. Ale teraz są kolejne ofiary wśród cywili – i to nie pomaga sprawie".

Ebadi mówi, że „o niczym nie marzy bardziej, niż o powrocie do Iranu, ale Iranu wolnego". „Ten dzień nastąpi", mówi z przekonaniem irańska adwokatka, która za kilka dni skończy 78 lat. Laureatka Nobla musiała opuścić kraj i od 2009 r. mieszka w Londynie.

Co się dzieje w Iranie i co jeszcze wkrótce się wydarzy?
– Liczę, że mój naród będzie coraz bardziej scementowany w antyreżimowym proteście. Na razie jeszcze nie jest wystarczająco zjednoczony. Ale już teraz, w Teheranie i w wielu innych miastach, pojawiają się coraz częściej hasła przeciw reżimowi, ludzie domagają się końca Republiki Islamskiej.

Pani zdaniem izraelskie ataki osłabią reżim w Iranie, czy wręcz przeciwnie, wzmocnią go, bo ludzie się zjednoczą wokół flagi, mimo niechęci do władzy?
– To zależy. Wbrew propagandzie władz większa część narodu irańskiego nigdy nie miała problemu z Izraelczykami czy istnieniem państwa Izrael.

Reżim od dawna wcale nie reprezentuje narodu i jego nastrojów czy poglądów.

To nie przypadek, że naród nie krytykował pierwszych ataków Izraela na Strażników Rewolucji. Ale odczucia obywateli się zmieniły po atakach na cywili i cywilną infrastrukturę. Mój naród wiele wycierpiał w ostatnich latach i wie, że krajowi jeszcze trudniej będzie podnieść się po tych atakach.

Ale czy tego typu interwencja obcego państwa naprawdę może pomóc narodowi irańskiemu?
– Moim zdaniem interwencje militarne i wojna nie pomogą obalić reżimu. Kluczem do zmiany jest internet.

Dlaczego?
– Ponieważ dobrze widać, że reżim robi się bardziej agresywny, gdy czuje się obnażany w sieci. Już pierwszego dnia władze ogłosiły, że nie wolno przekazywać w mediach społecznościowych żadnych informacji i doniesień na temat konfliktu. Zaaresztowali już wiele osób, nawet znaną aktywistkę feministyczną, która ledwo co wyszła z więzienia po wielu latach. Co takiego zrobiła? Potępiła wojnę. Czyli także wszelki odwet.

• **Szirin Ebadi podczas ubiegłorocznej konferencji Woman Life Freedom w Oslo**
FOT. PER OLE HAGEN/GETTY IMAGES

Ale bomby izraelskie wymierzone w funkcjonariuszy reżimu odnoszą jakiś skutek?
– Zabicie wielu przywódców Republiki Islamskiej z pewnością osłabia reżim, tak jak dekapitacja sił policyjnych, na których się opiera, na przykład kluczowego dla władzy ministerstwa wywiadu.

Ale to nie wystarczy. Chciałabym, aby rząd upadł obalony przez Irańczyków, a nie na skutek wojny z obcymi mocarstwami.

Dlaczego?
– Ponieważ to działalność aktywistów jest fundamentalna dla przyszłości Iranu. Muszą się komunikować, muszą się organizować. Reżim ajatollahów zapewne zdoła stawiać opór do samego końca, do ostatniej rakiety. Chyba że Irańczycy powstaną przeciwko niemu wcześniej. Ale żeby się zorganizować, muszą wymieniać się informacjami i mieć dostęp do internetu. Jestem przekonana, że wtedy udałoby im się przekonać już sporą – i wciąż rosnącą – liczbę wysokich urzędników reżimu do porzucenia ajatollahów i połączenia się z narodem irańskim w walce z teokracją.

Co by się wtedy stało?
– Jeżeli tylko młodzi Irańczycy dostaliby wsparcie, reżim mógłby bardzo szybko upaść i Iran mógłby myśleć o referendum i demokracji.

Reza Ciro Pahlawi II, syn i dziedzic szacha Persji, już wyraził gotowość do kierowania krajem w okresie przejściowym.
– W porządku, ale decyzję o systemie rządzenia w Iranie trzeba będzie podjąć w wolnym referendum, w którym naród będzie mógł wybrać pomiędzy monarchią a republiką. Pahlawi nie ma większych praw niż ktokolwiek inny.

Czy wierzy pani, że zobaczy Iran wolny?
– Jestem pewna, że wrócę do mojego kraju i będzie to kraj demokratyczny. Tak, pewnego dnia będzie to kraj wolny. Do tego czasu jestem tutaj, aby głośno mówić w imieniu moich rodaków marzących o wolności. ●

tłum. Bartosz Hlebowicz

LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER – ALLIANCE

eprasa.pl 1f82165fe2

SAD, KTÓRY PODZIELIŁ KANADĘ

FOT. COLE BURSTON/AFP

• Członkowie narodu Mosakahiken Cree przed prowizorycznym pomnikiem w byłej szkole rezydencjalnej w Kamloops, 4 czerwca 2021 r.

Szkoły z internatem dla rdzennych mieszkańców to czarna plama na sumieniu Kanady. Ale coraz więcej osób twierdzi, że czas skończyć z „samobiczowaniem się" z powodu historii.

Małgorzata Sidz

Kanadyjskie i światowe media 27 maja 2021 roku poinformowały o wstrząsającym odkryciu: w sadzie jabłkowym dawnej szkoły z internatem dla dzieci rdzennych w Kamloops w Kolumbii Brytyjskiej znaleziono szczątki 215 dzieci. Niektóre miały zaledwie trzy lata.

Kanadyjskie flagi opuszczono do połowy masztu. Podpalono kilkadziesiąt kościołów. Zaczęto mówić już nie o kulturowym ludobójstwie, ale o ludobójstwie w ogóle, a zamiast o uczniach – o ocalałych. Z czasem obok oficjalnej narracji pojawiła się jednak inna. Czy na pewno tak było?

Zabij Indianina, uratuj dziecko

Dziś Kanada to multikulturalna oaza, a przekonanie, że ludzie różnych kultur i religii mogą ze sobą współistnieć, to oczywistość. Trochę jak Kanada z przełomu XVIII i XIX wieku. Ale w latach 30. XIX wieku, jeszcze przed powstaniem Konfederacji, Kanada prowadziła odmienną politykę. Z przedstawicieli niepodległych narodów, z którymi można zawierać traktaty, ludzie rdzenni stali się problemem, który trzeba naprawić.

Była to część polityki imperium brytyjskiego. Asymilacja miała zapewnić, że rdzenni mieszkańcy staną się częścią narodowej wspólnoty i nie będą się domagać samostanowienia. Kanada była wtedy już mniej zależna od handlu futrami, który stanowił podstawę relacji ekonomicznych między pierwszymi narodami a Europejczykami. Zasiedlono zachodnie prerie europejskimi rolnikami, a ludność rdzenna stała się mniejszością.

Asymilacja stała się oficjalną polityką kraju w 1857 roku wraz z uchwaleniem ustawy o stopniowej cywilizacji (Gradual Civilization Act). Chodziło oczywiście o „ucywilizowanie" mieszkańców rdzennych. Umiejętności nomadów – zbieraczy i łowców – dzięki którym na skórach bobrów zbudowano pierwsze bogactwo Kanady, miały przejść do historii. Przyszłość to uprawa roli, hodowla zwierząt, przetwórstwo.

Kanadyjczycy powtarzali za Amerykanami: „Kill the Indian, save the child" (zabij Indianina, uratuj dziecko). Byli przekonani, że tylko jeśli zabiją w dziecku jego rdzenną kulturę, będą mogli rozwinąć jego umysł i dać mu przyszłość – a ono, zaopatrzone w przydatne umiejętności, pomoże swojej społeczności.

Tylko tacy sami możemy być zjednoczeni i żyć w pokoju. Uznano, że obowiązkiem narodu jest przygotowanie pierwotnych sąsiadów do wejścia na wyższy poziom cywilizacyjny. Dzięki edukacji. Na terenie rezerwatów zakładano szkoły, w których uczono pisania i czytania po angielsku i francusku, arytmetyki, prostych umiejętności ręcznych i rolnictwa. Rząd je opłacał, a Kościół dostarczał misjonarzy do pracy za grosze.

Z czasem program rozbudowano o naukę: geografii, recytacji, śpiewu, historii, rysunku, uprawy ogródka, ciesielkę oraz ćwiczenia fizyczne. Dziewczynki miały też kursy szycia, gotowania, pieczenia czy wyrabiania np. serów, chłopcy – kowalstwa, szewstwa czy druku. Wszystkie dzieci uczyły się też moralności i etyki, w tym przede wszystkim patriotyzmu i posłuszeństwa.

Szkoła jak z koszmaru

Wiele rdzennych społeczności było jednak tak rozproszonych, że prowadzenie szkół okazało się bardzo drogie. Poza tym dla rodziców często priorytetem było uczestnictwo ich dziecka w codziennym życiu społeczności, a nie lekcje, zaś same dzieci nie przychodziły do szkoły, bo brakowało im ubrań albo zajęte były codziennymi obowiązkami.

Rozwiązanie pozwalające upiec dwie pieczenie na jednym ogniu – ograniczyć koszty i odseparować dzieci od rodziców – nasuwało się samo: szkoły z internatem. Przez lata założono aż 130 IRS – Indian Residential Schools. W większości prowadzone przez zakonnice funkcjonowały aż do 1996 roku. Przewinęło się przez nie co najmniej 150 tys. dzieci w wieku 3-18 lat, najwięcej w latach 1880-1950.

Szkoły były słabo dotowane, często mieściły się w zimnych, niezabezpieczonych przed pożarem budynkach. Na ich utrzymanie pracowały same dzieci: prały, sprzątały czy opiekowały się ogródkiem. Były przepracowane, zmęczone, nieodporne na choroby. Zapadały na zapalenie płuc. Powszechne były też ospa, świerzb i świąd.

Karmiono je zgodnie z zasadami zachodniej diety i niezbyt obficie; w menu przeważały parówki, makaron czy tania szynka. John S. Milloy, profesor wydziału studiów rdzennych i historii Trent University w Peterborough (Ontario), w książce „National Crime" cytuje wspomnienia z 1923 roku ucznia IRS Edwarda B.: „Jestem ciągle głodny. Dostajemy tylko dwa kawałki chleba i owsiankę. Traktują nas jak świnie. Niektórzy chłopcy płakali z głodu".

Rose Wilson nazywa szkołę więzieniem. Kiedy na początku moczyła łóżko, siostra za karę kazała jej nosić przemoczone prześcieradło nad głową. Hazel Agnes Jack wspomina, że łóżka były tak zimne, że dziewczynki sikały pod siebie.

Ciężkie sumienie Kanady

Już w 1907 roku Peter Henderson Bryce, inspektor medyczny, napisał raport na temat warunków panujących w IRS w Kolumbii Brytyjskiej i całej zachodniej Kanadzie. Zarzucał w nim rządowi i nauczycielom zaniedbania, i obojętność wobec uczniów. A sposób w jaki ich traktowano nazwał „zbrodnią narodową".

Podobnego określenia użył też prof. Milloy. Jego przywoływana już książka „A National Crime" ukazała się w 1999 roku i to właśnie w latach 90. zaczęto masowo raportować problemy związane z placówkami IRS. Osoby rdzenne zaczęły mówić o swoich doświadczeniach. Pojawiły się zarzuty o przemoc, także seksualną, sprawy sądowe, oskarżenia i wyroki skazujące.

Szkołom zarzucano nie tylko głodzenie i przemoc. Krytykowano także samą ideę asymilacji, której celem było odkulturowienie ludności rdzennej. „System wytworzył tysiące osób niezdolnych do prowadzenia zdrowego życia i wnoszenia pozytywnego wpływu w swoje społeczności" – uważa prof. May Jane Logan McCallum, badaczka rdzennej historii.

Milloy podkreśla, że „szkoły nie były pozbawione pewnych zalet edukacyjnych", ale opuszczające je dzieci były niedostosowane społecznie. Wychowane w przemocy, strachu i samotności nauczyły się nienawidzić

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

same siebie. Ponieważ dorastały bez rodziców, więc miały problemy z opieką nad własnymi dziećmi.

Odkrycie w sadzie jabłkowym

Raporty i skargi na IRS,wskazywały na złe traktowanie dzieci, kary cielesne i głód. Nikt jednak nie podejrzewał, że przemoc mogłaby prowadzić do śmierci. Aż do 2021 roku.

W maju 2021 roku w Kamloops w Kolumbii Brytyjskiej na terenie należącego do dawnej szkoły z internatem sadu jabłkowego za pomocą georadaru odkryto, że mogą się tam znajdować masowe groby.

IRS w Kamloops to jedna z największych szkół z internatem, do której w latach 50. uczęszczało nawet 500 dzieci rocznie. Przedstawiciele pierwszych narodów oświadczyli wtedy, że w grobach znajdują się szczątki 215 niezidentyfikowanych rdzennych dzieci, które uczyły się w Kamloops.

Dawni wychowankowie szkoły zaczęli przypominać sobie historie o tym, jak dzieci budzono w środku nocy, aby pomagały kopać groby dla zamordowanych rówieśników. Media przestały mówić o „kulturowym ludobójstwie”, a zaczęły mówić o ludobójstwie po prostu. Justin Trudeau przeprosił w imieniu kraju za to, że dzieci zostały ukradzione rodzinom, aby wymazać ich języki, kulturę i tożsamość. Zachęcił do przeprosin Kościół. Kanadę potępiła ONZ, a o tragedii rdzennych dzieci mówił cały świat, od papieża Franciszka po Chińczyków, którym przecież wielokrotnie zarzucano łamanie praw człowieka.

W Kanadzie zaczęły płonąć kościoły, szczególnie katolickie, bo 60 proc. szkół IRS prowadzone było przez Kościół katolicki. Na początku w Kolumbii Brytyjskiej, później w całym kraju. Przynajmniej 25 świątyń spłonęło doszczętnie. Wybijano szyby, niszczono ołtarze, czerwoną farbą na ścianach wypisywano hasło: „We were children” (byliśmy tylko dziećmi). Trudeau podkreślał, że rozumie złość i frustrację, ale stanowczo potępia podpalenia i akty wandalizmu.

Groby bez ciał

Kolejne społeczności raportowały istnienie masowych grobów, a jednocześnie nie zidentyfikowano nawet jednego ciała mimo 216 mln dol. , które rząd przeznaczył na badania. Z czasem pojawiły się wątpliwości. W Kamloops po bezskutecznym zbadaniu miejsca, w którym spodziewano się znaleźć 15 ciał uczniów, zmniejszono potencjalną liczbę ofiar do 200. W Pine Creeks po czterech tygodniach poszukiwań nie udało się potwierdzić istnienia ani jednego ciała. W Marieval IRS w Saskatchewan w nieoznakowanych grobach miało się znajdować aż 751 szczątków dziecięcych, podczas gdy w całej stuletniej historii istnienia szkoły zanotowano tylko 9 zgonów.

W Kamloops mógł oczywiście być cmentarz. W końcu już wcześniej znajdowano nieoznakowane groby, bo wiele rdzennych plemion chowało tak swoich zmarłych. Z kolei drewniane krzyże na grobach chrześcijan z czasem mogły zgnić. Ale by potwierdzić istnienie szczątków ludzkich w tym miejscu, niezbędne są ekshumacja i dalsze prace geologiczne. Georadar może znaleźć anomalie w ziemi, które mogą być wytłumaczone na wiele sposobów: sad jabłkowy podlegał ciągłej uprawie, w tym miejscu przebiegały również rury kanalizacyjne.

Decyzja, która wzbudziła kontrowersje

Ale do ekshumacji nie doszło. W 2022 roku oddano decyzję o jej prowadzeniu rdzennym społecznościom. A te ze względu na szacunek dla tradycji oraz wrażliwość religijną bliskich ewentualnych ofiar postanowiły, że teren nie będzie dalej badany.

„Znalezienie wszelkich potencjalnych grobów powinno być traktowane z najwyższą powagą, szczególnie biorąc pod uwagę napiętą historię Kanady z rdzennymi mieszkańcami. Ale jeżeli mamy traktować zaangażowanie kraju w kwestię szkół z internatem jako sprawę kryminalną, to musimy przestrzegać podstawowych zasad systemu sprawiedliwości i przeprowadzania dochodzeń policyjnych” – pisała antropolożka Hymie Rubenstein w „Grave Error. How the Media Misled Us (And the Truth About Residential Schools)”.

W tej samej publikacji czytamy opinię historyka Jacques'a Rouillarda: „Rząd i Kanadyjska Królewska Policja Konna podjęły bardzo zaskakującą decyzję w obliczu tego, co można nazwać największą zbrodnią w historii Kanady: aby oddać decyzję o przeprowadzeniu dochodzenia społeczeństwom rdzennym, które mogą mieć osobisty interes w tym, żeby go nie przeprowadzać”.

Negacjoniści dochodzą do głosu

Pojawiły się więc wątpliwości, a z nimi negacjoniści nazywani tak na wzór negacjonistów Holocaustu.

We wspomnianym „Grave Error” grupa historyków, politologów, prawników, antropologów i dziennikarzy podjęła próbę weryfikacji popularnych opinii dotyczących szkół z internatem.

Choćby tej, że szkoły były przymusowe, a dzieci wyrywano rodzicom z objęć. Według oficjalnych statystyk w IRS uczyła się tylko jedna trzecia rdzennych dzieci. Większość chodziła do dziennych szkół na terenie rezerwatu lub do szkół publicznych. Obowiązek szkolny wprowadzono w 1920 roku, ale nie był egzekwowany. Na przykład w 1944 roku tylko 40 proc. rdzennych dzieci uczęszczało do jakiejkolwiek szkoły. Według ankiety przeprowadzonej w Kolumbii Brytyjskiej w 1961 roku jedna trzecia osób rdzennych w wieku 45 lat i wyżej do szkoły nie chodziła nigdy.

By dziecko mogło chodzić do szkoły, wymagana była też zgoda jego rodziców, choć do placówek kierowano dzieci, które nie miały rodziców lub innego opiekuna.

Nie było też tak, że dzieci nie miały kontaktu z rodzicami. Do 1920 roku rzeczywiście uczniowie zostawali na terenie internatu latem, ale kiedy upewniono się, że rodzice pozwolą dzieciom wrócić do szkoły na jesieni, zaczęto wysyłać je do domów na wakacje i święta, a tym, które mieszkały bliżej, także w weekendy.

Co do głodu, chorób i złych warunków sanitarnych panujących w szkołach, negacjoniści przyznają, że wiele dzieci cierpiało z tego powodu, wskazują jednak na tło epoki, np. czasy Wielkiego Kryzysu, gdy niedożywione było ponad 60 proc. ludności.

Dzieci umierały, rocznie ok. 4 uczniów na każdy tysiąc, najczęściej na gruźlicę i grypę. Każdy zgon został jednak odnotowany. Nie ma raportów o dzieciach, które zginęły bez śladu. Historyk C.P. Champion pisze: „Rdzenni rodzice, jak każdy inny rodzic, kochali swoje dzieci i na pewno zauważyliby, jeżeli poszłyby do szkoły i nigdy z niej nie wróciły”.

Kanady dwie

Kanada dziś podzielona jest na dwa obozy. Pierwszy twierdzi, że szkoły z internatem były odpowiedzialne za ludobójstwo. Że były świadkami przemocy, molestowania i zabójstw dzieci przez chrześcijańskich opiekunów. I że motywacje kanadyjskiego rządu były oczywiste – zniszczyć tożsamość ludzi rdzennych i na siłę zasymilować ich w ramach dominującej europejskiej kultury.

Wódz ludów rdzennych prowincji Saskatchewan Bobby Cameron wprost nazywa IRS obozami koncentracyjnymi. Eleanore Sunchild, prawniczka i aktywistka w kwestii IRS, członkini plemienia Thunderchild First Nation, mówi: „Masowe groby oznaczają ludobójstwo”.

Oponenci kontrują, że nie można mówić o ludobójstwie, skoro liczba osób rdzennych wzrosła ze 125 tys. w 1867 roku do 1,8 mln dzisiaj.

Przekonują, że kanadyjski rząd nie znał lepszego sposobu na edukację rozrzuconej na ogromnym terenie ludności, zaś intencje wykształcenia dzieci, nauczenia ich pisania i czytania były dobre, a problemy i przemoc zdarzają się w każdej instytucji. I że gdyby szkół nie było, rdzenna młodzież byłaby jeszcze bardziej „do tyłu” względem Europejczyków.

Frances Widdowson, politolożka, autorka książki „Disrobing the Aboriginal Industry”, przekonuje, że strategia chrystianizacji, asymilowania i „cywilizowania” na siłę ludności rdzennej okazała się destrukcyjna dla jej kultury, ale alternatywa była jeszcze gorsza: dzieci, które nie umiałyby pisać czy czytać, byłyby dużo bardziej zmarginalizowane.

Widdowson twierdzi, że utrata pewnych tradycji jest smutnym, ale naturalnym elementem postępu i dotyczy wszystkich kultur. Uważa też, że polityka asymilacji była lepsza niż obecna „zracjonalizowana segregacja”. Zamiast integrować ludność rdzenną, łatwiej było zamknąć ją w rezerwatach i zasypać pieniędzmi – w 2005 roku zawarto porozumienie, według którego wychowankowie szkół otrzymali 10 tys. dol rekompensaty za pierwszy rok nauki w szkole i 3 tys. za każdy kolejny. Mimo ogromnej pomocy finansowej osoby rdzenne są dziś grupą o najwyższym bezrobociu.

Co znaczą słowa

„Dla Kanadyjczyków, którzy wierzą we wrodzoną sprawiedliwość i dobroć swojego kraju, żadne oskarżenie wynikające z odkrycia w Kamloops nie jest tak bolesne jak oskarżenie o ludobójstwo. To najgorsza zbrodnia, jakiej może się dopuścić jakikolwiek kraj lub naród. Ostatnio rzuca się jednak nią jak obelgą na szkolnym podwórku. A słowa powinny coś znaczyć” – dowodzi Rubenstein.

Jedynym sposobem na zakończenie polaryzacji i wyjaśnienie sprawy jest przeprowadzenie poważnego śledztwa pozbawionego uprzedzeń z obu stron. Prawdzie i pojednaniu sprzyja racjonalna krytyka, a szkodzą skandale i krzykliwa retoryka.

Jonathan Kay, dziennikarz, pisze w „Grave Error”: „Wydaje się nieuniknione, że pewnego dnia w przyszłości prawdziwe ciała zostaną wydobyte na powierzchnię – niepodważalny dowód historycznego okrucieństwa, które wcześniej było nieznane lub niejasne”.

„Przekonano nas, że nasza historia jest haniebna” – pisze gen. Michel Maisonneuve w książce „In Defence of Canada: Reflections of a Patriot”, utyskując na „samobiczowanie się” Kanadyjczyków w kwestii szkół z internatem. Ale z tą historią Kanada wciąż jeszcze musi się mierzyć. ●

Szkoły z internatem dla rdzennych dzieci w Kanadzie

Lokalizacje byłych szkół z internatem. Ta wersja zestawu danych nie obejmuje pięciu szkół objętych Newfoundland and Labrador Residential Schools Settlement Agreement (umowa o ugodzie w sprawie szkół z internatem w Nowej Fundlandii i Labradorze)

INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

ŹRÓDŁO: ROSA ORLANDINI (YORK UNIVERSITY)

Teren byłej szkoły w Kamloops

27 maja 2021 r. kanadyjskie i międzynarodowe media zaraportowały wstrząsające odkrycie: w sadzie jabłkowym dawnej szkoły z internatem dla dzieci rdzennych w Kamloops w Kolumbii Brytyjskiej znaleziono szczątki 215 dzieci. Niektórych zaledwie trzyletnich. Do dziś jednak nie udało się potwierdzić tych odkryć ani wydobyć żadnych ludzkich szczątków

INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

Małgorzata Sidz

• Rocznik 1990. Dziennikarka, pisarka, reportażystka. Absolwentka japonistyki i filmoznawstwa, magister studiów o Azji Wschodniej na Uniwersytecie w Turku. Ukończyła także Polską Szkołę Reportażu. Przez wiele lat mieszkała w Szwecji, Finlandii, Japonii i Korei Południowej. Obecnie w Kanadzie. Porozumiewa się w dziesięciu językach.

eprasa.pl 1f82165fe2

OBYCZAJE KULTURA NAUKA

eprasa.pl 1f82165fe2

Wiedźma surrealistka

Leonor Fini mieszkała w rozpadającej się wieży wypełnionej fantazyjnymi maskami i czaszkami zwierząt; ze stadem kotów i z dwoma kochankami: włoskim hrabią i polskim intelektualistą.

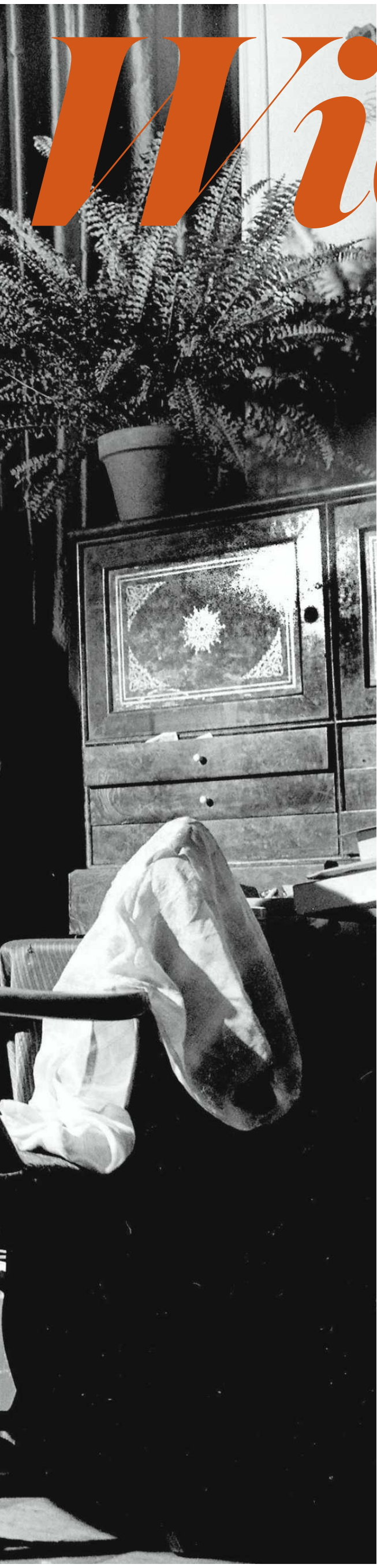

FOT. ROGER VIOLLET VIA GETTY IMAGES FOT. MONDO MOSTRE

• **Fini w Paryżu ok. 1954 roku.**

• **Autoportret z 1968 roku. Mówiła: „Jako dziecko nienawidziłam pozować do zdjęć. Ale stopniowo zaczęło mnie interesować, że mam twarz: dowód mojego istnienia"**

• Cytaty w tekście pochodzą z wystawy „I am Leonor Fini", którą do 20 lipca można oglądać w Palazzo Reale w Mediolanie.

• Dorota Hartwich **„Gattora. Życie Leonor Fini"** wyd. Iskry 2018.

Emilia Dłużewska

Włoskie wybrzeże, lato 1966 roku. Z lotu ptaka widać kamienne budynki tuż nad brzegiem. Wiatr porusza drzewami na nabrzeżu, fale rozbijają się o skały. Zza kadru słuchać beznamiętny kobiecy głos: „Ludzie z wioski opowiadają, że ja i moi przyjaciele rozgrzebujemy krypty, wykopujemy czaszki mnichów i pijemy z nich. To kłamstwo. Używamy szklanek, są o wiele czystsze".

Kamera najeżdża na Leonor Fini. Pozuje na skale w obfitej czarnej sukni z odkrytymi ramionami. Na bujnych, krótko przyciętych czarnych włosach ma zdobioną perłami koronę. Patrzy przed siebie bez uśmiechu, z twarzą sfinksa ze swoich obrazów.

W operowiej scenografii

Kiedy w 1966 roku odwiedził ją szwajcarski dokumentalista Yvan Butler, 59-letnia artystka mieszkała na włoskiej prowincji w rozpadającej się wieży wypełnionej fantazyjnymi maskami, czaszkami zwierząt i zasuszonymi roślinami; ze stadem kotów i z dwoma mężczyznami: włoskim hrabią Stanislao Leprim i polskim intelektualistą Konstantym Kotem Jeleńskim. Wyprawiała przyjęcia, na których goście bawili się w zwierzęcych maskach w operowej scenografii. Kąpała się w morzu w gigantycznych kapeluszach, wspinała na skały w szpilkach i peruce z czarnych piór.

Nic dziwnego, że lokalni mieszkańcy brali ją za wiedźmę. Ku jej wyraźnej satysfakcji.

Bo Fini, jak na surrealistkę przystało, była artystką wszechstronną: malowała, fotografowała, projektowała kostiumy, ilustrowała i pisała książki – ale jej podstawowym medium była ona sama. Od wczesnej młodości, gdy czarowała światek artystyczny Mediolanu albo przesiadywała w paryskich kawiarniach w eleganckich sukniach poplamionych farbą i włosami w artystycznym nieładzie, wiedziała, jak robić wrażenie. I konsekwentnie to wykorzystywała.

„Zawsze żyłam teraźniejszością, tu i teraz. Nie zastanawiałam się nad powołaniem ani karierą, nie robiłam planów na przyszłość. Kochałam malować, malowałam, więc byłam malarką" – mówi Yvanowi Butlerowi.

I, patrząc prosto w obiektyw, dodaje: „Kiedy ludzie pytają mnie: »jak to robisz?«, odpowiadam: »jestem«".

Trzy wspomnienia Leonor

Zdjęcie otwierające retrospektywę Fini trwającą do lipca w mediolańskim Palazzo Reale zrobiono w Trieście. Drobna dziewczynka w marynarskim mundurku, sznurowanych bucikach i kapeluszu z szerokim rondem trzyma w ręku gałązkę orchidei. Fini ma na fotografii najwyżej pięć lat, ale nie da się jej nie rozpoznać: ta sama poważna mina, to samo ciemne, świdrujące spojrzenie.

Leonor urodziła się w 1907 roku w Buenos Aires. Jej ojciec Hermio był Argentyńczykiem o włoskich korzeniach, matka Malvina – Włoszką o korzeniach m.in. słowiańskich i niemieckich. Kiedy brali ślub, on miał trzydzieści pięć lat, ona – osiemnaście. Malvina szybko się orientuje, że popełniła błąd: jej przystojny i bogaty narzeczony okazał się tyranem, przemocowcem i hazardzistą, jednocześnie niewiernym mężem i fanatycznym katolikiem. Leonor ma osiemnaście miesięcy, gdy matka ucieka z nią do rodzinnego Triestu.

Hermio nie przyjmuje do wiadomości odejścia żony. Nie zgadza się na rozwód, walczy z Malviną o córkę w sądach. Małej Leonor przesyła zdjęcia wspaniałej posiadłości i nazwanego jej imieniem jachtu, które czekają w Argentynie. Grozi, że porwie dziewczynkę, więc matka przed wyjściem do miasta zaczyna przebierać ją za chłopca.

Fini chętnie do tego wspomnienia wraca. Podobnie jak do dwóch innych.

Pierwsze: jako nastolatka ogląda w prosektorium zwłoki pięknego, młodego mężczyzny. To pierwsze nagie męskie ciało, jakie widzi w życiu.

Drugie: gdy ma szesnaście lat, z powodu infekcji traci wzrok. Gdy po dwóch miesiącach znów widzi świat, podejmuje decyzję: zostanie malarką.

Kobiety prowadzą, mężczyźni są prowadzeni

To punkty symboliczne. Leonor Fini jako artystkę ukształtowało wiele innych rzeczy: środowisko zamożnej bohemy, w jakim obracała się jej matka; obszerna biblioteka wuja, z której od dziecka mogła swobodnie korzystać; wyjazd do Mediolanu, a potem do Paryża, gdzie jako dwudziestokilkuletnia dziewczyna weszła w środowisko surrealistów i surrealistek; rozliczne przyjaźnie i równie rozliczne romanse; doświadczenie drugiej wojny światowej; porywczy temperament i nieugięta osobowość.

eprasa.pl 1f82165fe2

Ale to te dwa wspomnienia: dziewczynki przyjmującej chłopięcą tożsamość i martwego ciała młodego mężczyzny przychodzą do głowy najpierw, gdy widzi się jej obrazy.

Kobiety malowane przez Fini są piękne i dominujące, wystrojone, odziane w zbroje, zmienione w fantastyczne stworzenia. Nie wdzięczą się ani do widza, ani do towarzyszących im mężczyzn. Ci drudzy mają szczupłe ciała i delikatne rysy. Dają się prowadzić za rękę albo leżą bezwładnie z zamkniętymi oczami, nie wiadomo – śpią czy nie żyją.

Na obrazie „Alkowa" młody mężczyzna spoczywa na łożu w pozie Olimpii, niedbale okryty prześcieradłem. Na drugim planie czuwa wsparta na łokciu kobieta.

W centrum „Stryges Amaouri" widać męskie ciało obrośnięte bluszczem, nad którym nachylają się dwie postaci: pokryty długim czarnym futrem stwór oraz kobieta o rysach Fini z burzą ciemnych loków, w koronie z czaszki i liści. Obie patrzą prosto na widza.

Na innym obrazie Fini umieszcza parę na tle skalistego włoskiego krajobrazu: nagi mężczyzna leży na boku, oczy ma zamknięte; kobieta, ufryzowana i zamyślona, w eleganckiej sukni, przysiadła na jego ciele jak na ławce.

To, co w odwrotnym układzie jest przezroczyste: kobieta jest obiektem podziwu i pożądania, mężczyzna zdobywcą, po odwróceniu porządków kłuje w oczy. Gdy Fini maluje swoje obrazy, pojęcie „męskiego spojrzenia" jeszcze nie istnieje – krytyk John Berger użyje go dopiero w latach 70. – ale intuicyjnie rozumie je bez problemu.

Rozmyte spojrzenie na płeć

Fini do płciowych ról podchodzi, łagodnie mówiąc, sceptycznie. „Od dziecka buntowałam się przeciwko oczekiwaniom dotyczących kobiet i wciąż idę przez życie w stanie buntu" – deklaruje. Albo: „mężczyźni są mniej męscy, niż wierzą – albo udają, że wierzą. Starożytny atawizm sprawia, że podkreślają akurat te cechy kosztem innych, głębszych. Jestem za światem, w którym nie ma podziału na płci".

Artystka nie tyle odwraca „męskie spojrzenie", co je rozmywa. Na jej obrazach twarze są androgyniczne, pozy mylące. Namalowany tyłem Frederico Fresco wygina szczupłą kibić. Surrealistkę Meret Oppenheim maluje siedzącą „po męsku": w rozkroku, z łokciami opartymi o kolana. W „Lekcji botaniki" z 1974 roku płci postaci można się jedynie domyślać. Podobnie jak tego, co symbolizuje studiowany przez nie kwiat o rozchylonych płatkach.

Fini nie maluje wyłącznie par damsko-męskich. W 1936 roku pokazuje na Międzynarodowej Wystawie Surrealistów obraz „Biała broń" przedstawiający dwie kobiece postaci. Jedna dumnie wyprostowana wylewa biały płyn z małego flakonika; druga klęczy z głową między udami pierwszej, odchylając cholewkę jej wysokiego buta.

Czterdzieści lat później maluje „Pokój dziecinny": dziewczynka w jednej pończosze i podciągniętej halce stoi w rozkroku, na podłodze między jej nogami leży lusterko, w które wpatruje się druga dziewczynka; do pokoju wpada zagniewana starsza kobieta. „Pomiędzy" z 1967 roku to już otwarcie lesbijski erotyk.

Głównie kochanek, głównie przyjaciel

Sama męskim spojrzeniem nie gardzi. Przyjaciołom artystom pozuje w futrach, wydekoltowanych sukniach, odsłaniając zgrabne nogi w pończochach. Rok po przyjeździe do Paryża poznaje Henriego Cartiera-Bressona, wówczas początkującego fotografa. Podczas wspólnej podróży po Włoszech w 1933 roku Bresson fotografuje Fini w basenie.

Na zdjęciu, dziś słynnym, twarzy nie widać. Jest tylko ciało: unoszące się na wodzie, nagie, w dodatku wydepilowane. Purytańska Ameryka, gdzie Cartier-Bresson buduje pozycję, jest w szoku. Tożsamość modelki zachowuje dla siebie, zdradzi ją dopiero w 2003 roku, siedemdziesiąt lat po zrobieniu zdjęcia i siedem po śmierci Fini.

Malarka nie kryje swojej seksualności, choć unika etykietek. Wiadomo, że ma romanse z mężczyznami i kobietami. „Od kiedy skończyłam osiemnaście lat, preferowałam życie w specyficznej wspólnocie – duży dom z pracownią i zwierzętami, moimi kotami i przyjaciółmi, z jednym mężczyzną, który jest głównie kochankiem, i drugim, który jest głównie przyjacielem. To zawsze dobrze działało" – tłumaczy.

W poliamorycznym trójkącie ze starszym o dwa lata Stanislao Leprim i młodszym o piętnaście lat Konstantym Kotem Jeleńskim przeżyła 28 lat, do śmierci Lepriego w 1980 roku. Jeleński, zakażony AIDS, zmarł siedem lat później, ostatecznie łamiąc jej serce. Pochowani są razem na cmentarzu w Saint-Dyé-Sur-Loire.

Niepokój i prowokacja

Jest i inna Fini, mroczniejsza. Ta z obrazu „Koniec świata": naga, wpatrzona gdzieś przed siebie, z nieruchomą twarzą. Do wysokości piersi tkwi w czarnej wodzie, na powierzchni pływają martwe rośliny i ptasie czaszki. Niebo za nią jest krwistoczerwone. „Anioł anatomii", też obdarzony twarzą Fini, to skrzydlata postać prezentująca pozbawione skóry ciało. Nawet martwe natury emanują niepokojem – kawałki drewna wyglądające jak kości, zwierzęce czaszki, podarta parasolka, zza której łypie żółto-zielone oko.

To obrazy z drugiej połowy lat 40. Trudno nie czytać ich w kontekście drugiej wojny światowej, choć Fini bezpośrednio dotknęła ona w niewielkim stopniu. Po wybuchu wojny wyjechała z Paryża do Monte Carlo, gdzie malowała portrety na zlecenie. Jej kariera nadal się rozwijała – w latach wojennych powstaje choćby „Pasterka sfinksów".

Obraz w 1942 roku kupuje Peggy Guggenheim, rok później umieszcza go na wystawie „31 kobiet" obok prac m.in.: Leonory Carrington, Fridy Kahlo, Dorothei Tanning czy Meret Oppenheim. Fini ni-

FOT. MONDO MOSTRE (3), MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS

• **„Stryges Amaouri" (1947). W świecie Leonor Fini władzę dzierżyły kobiety. Malowała je jako wojowniczki, czarodziejki, chimery, syreny i inne fantastyczne stwory**

• **„La Bout du Monde" („Koniec świata", 1948) Czaszki i wyrzucone na brzeg drewno zaczęła zbierać na wyspie Giglio, gdzie pojechała ze Stanislao Leprim**

• **„Kobieta siedząca na nagim mężczyźnie" (1942) Fini odrzucała konserwatywne role płciowe, romanowała z mężczyznami i kobietami. Fascynowała ją teoria Frueda, według której ludzie rodzą się biseksualni**

eprasa.pl 1f82165fe2

gdy oficjalnie nie dołącza do ruchu surrealistów – odrzuca ją seksizm André Bretona, powątpiewa w manifesty. Ale podróżuje, imprezuje i sypia z osobami ze środowiska.

Z Oppenheim łączy ją wzajemna fascynacja i serdeczność, Meret przesyła jej listy i słodycze. Z Leonorą Carrington przyjaźni się przez lata. Dzieliły nie tylko imię, ale i kochanka, artystę Maxa Ernsta związanego najpierw z Fini, później z Carrington. A także skłonność do prowokowania: Dorota Hartwich w książce „Gattora” opisuje, jak w połowie lat 30. artystki przyszły na wernisaż okryte szczelnie futrami, które jednocześnie uchyliły, ukazując nagie ciało.

Największy sekret Leonor

Tej skłonności do zabawy trudno by się domyślić, widząc Fini upozowaną. Na autoportretach i zdjęciach ma ten sam nieodgadniony wyraz twarzy co jej ukochane mityczne stworzenia. „Sfinksy nigdy mnie nie opuściły. Widzę je jako ciągle obecne byty, skrzydlatych nocnych posłańców, lucyferiańskie duchy dialogujące z dziewicami, amazonkami, sybillami – ich »drugą połową«” – pisała.

W książce Hartwich są jednak i inne zdjęcia. Fini z matką trzymają w rękach puchate koty. Leonor i Malvina przytulone na kanapie, uśmiechnięte: artystka ma 63 lata, jej matka jest już po osiemdziesiątce. Leonor i Kot w łóżku, cztery lata przed śmiercią Jeleńskiego, roześmiani, szczęśliwi. Richard Ovestreet, asystent artystki, opowiadał Hartwich, że to jedyne takie zdjęcie w archiwum malarki. Kobieta, która pozowała nago i bez wstydu opowiadała o swoim życiu seksualnym, z determinacją niszczyła swoje roześmiane zdjęcia.

– Umówiła się sama z sobą, że będzie kreować kogoś, kto nigdy się nie uśmiecha. Tymczasem uwielbiała się śmiać w gronie przyjaciół, miała wielkie poczucie humoru, subtelne, wręcz dziecinne – wspominał w rozmowie z biografką. – Śmialiśmy się niemal nieustannie – dodawał.

Artystka czy celebrytka?

Leonor Fini zmarła w styczniu 1996 roku w wieku 88 lat. Odeszła jako słynna artystka. Nekrologi zamieściły: „Le Monde”, „Le Figaro”, „New York Times”, „The Guardian” i wiele innych czołowych gazet.

Na ile zawdzięcza to starannie budowanej artystycznej personie i barwnej biografii?

• Lata 60. XX w. W Wenecji z matką Malviną i Konstantym Kotem Jeleńskim

W 2011 roku warszawskie Muzeum Literatury zorganizowało wystawę: „Leonor Fini i Konstanty A. Jeleński. Portret podwójny”. Agnieszka Taborska, historyczka sztuki i specjalistka od surrealizmu, pisała wprost: Leonor Fini wybitną artystką nie była. „Malowała płasko, a niektóre jej rysunki przypominają stylem karty pocztowe z początku ubiegłego wieku” – oceniała na łamach „Dwutygodnika”.

Ale, jak dodawała Taborska, Fini „stanowiła barwną postać epoki”, „więc mniejszy od innych surrealistek talent nie sprawia, że z historycznego punktu widzenia jej sztuka nie jest warta uwagi”.

„Co z malarstwem Fini? Najlepsze są wczesne płótna z lat 30., jak np. „Macierzyństwo”, na którym matka, przytulając córkę, wydaje się ją jednocześnie dusić” – pisała w „Wyborczej” Dorota Jarecka. „Późniejsze obrazy wydają się bardziej manieryczne, operują kiczem, ale też niestety same zbliżają się do kiczu”.

Ocena jest tym trudniejsza, że uwikłana w genderowe zależności: artystki częściej niż artystów ocenia się przez pryzmat ich „barwnych” biografii. Ale też artystki częściej otwarcie czerpały ze sfery prywatnej, przekuwając swoje ciało i swoje doświadczenia w sztukę. Leonor Fini dystansowała się od biograficznych interpretacji swych obrazów, ale całkiem od nich nie odcinała – jak miałaby to zresztą robić, skoro postaci z obrazów obdarzała własnymi rysami?

> Od dziecka buntowałam się przeciwko oczekiwaniom dotyczących kobiet i wciąż idę przez życie w stanie buntu

Ostatnią salę na mediolańskiej wystawie wypełniają fotografie. Leonor Fini w plenerze, w operowych kostiumach: fantazyjne nakrycia głowy, wielkie suknie. Pióra, rogi, korony z kwiatów. Pochłaniające całą sylwetkę plisy, koronki, falbany. Wystudiowane pozy, gesty zaczerpnięte z klasycznego malarstwa. I świdrujące, ciemne spojrzenie sfinksa.

Narcyzm? Być może. Celebrytyzm? Zapewne, zresztą przez kuratorów suflowany. Rozmieszczone w ostatniej sali lusterka opatrzone hasztagami „wolna”, „odważna”, „buntowniczka” trudno minąć bez zrobienia sobie selfie; instagramowy potencjał rozgrywany jest może nie cynicznie, ale z pewnością świadomie.

Ale w tym nieustannym przymierzaniu strojów i tożsamości można też zobaczyć sedno twórczości Fini – rozpisany na całe życie performans wykraczający daleko poza malarstwo, ilustrację czy projektowanie kostiumów. Queerowy, buntowniczy, niekiedy mroczny, niekiedy campowy, przerabiający biografię na autofikcję. W sam raz na dzisiejsze czasy. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34376849

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

Z **RYSZARDEM KALISZEM** ROZMAWIA **EWA KALETA**
ZDJĘCIE: **DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL**

A niech *ten drugi wygra*

Rodzice nauczyli mnie tego, żeby nie zazdrościć i przebaczać.

EWA KALETA: Lubi pan rywalizację?
RYSZARD KALISZ: Dużo grałem w tenisa, towarzysko i na różnych turniejach. Czasem wygrywałem albo zajmowałem wysokie miejsce. Mam bardzo znanych kolegów w prawie i w polityce, którzy również grali i do każdego meczu przywiązywali olbrzymią wagę. Jak przegrywali, to był koniec świata.

A ja do wszystkiego podchodzę z dystansem. Ja się nie denerwuję, ja się nie przejmuję, wiem, co jest grą. Nie rywalizuję więc. Myślę sobie: a niech ten drugi wygra, niech będzie lepszy.

Naprawdę?
– Tak. Chcę dać z siebie wszystko. To jest moja osobowość.

Ale w polityce musiał pan rywalizować.
– Rywalizowałem, ale to nie był cel. Wchodziłem w konflikty, bo wierzyłem w to, co mówię, na tym tle powstawała może sytuacja jakiejś rywalizacji.

Wyrzucano pana z SLD.
– Wyrzucono mnie raz. Zdarzało się, że miałem kłopoty z aparatem partyjnym, kiedy byłem w parlamencie. Jestem bardzo konsekwentny w swojej koncepcji ustroju państwa, prawa, które musi być zgodne z konstytucją, całego systemu organów władzy i tak dalej.

Mam skłonność do oryginalnych, ale zgodnych z prawem analiz. Są przez dużą część ludzi podzielane, a inni bardzo mnie krytykują.

W 2014 roku ugrupowania lewicowe zaproponowały mnie jako kandydata na prezydenta, później zrobił to też Leszek Miller. Ale musiała to zatwierdzić Rada Krajowa.

I co na to Rada?
– Zawyła. Bo się nie ukorzyłem. Pozostałem sobą. Nie powiedziałem: „Będę reprezentował wasze interesy". Powiedziałem, że będę reprezentował interesy kraju, wszystkich obywateli. Nie chciałem też wielkich pieniędzy, one do mnie przychodziły

Jest pan kawiorową lewicą?
– Jestem członkiem Państwowej Komisji Wyborczej. Nie można więc łączyć mnie z żadną strukturą polityczną. Natomiast ludzie mający poglądy i wrażliwość lewicową nie muszą być biedni. To pogląd z tabloidów.

Wrażliwość lewicowa nie jest zależna od biedy czy bogactwa. Nie można jej mylić z roszczeniowością. Z tą ostatnią współgra populizm, tak charakterystyczny dla narodowej prawicy nie tylko w Polsce, ale też chociażby i w USA. Populizm niszczy państwo demokratyczne.

U mnie lewicowość nie była koniunktura. Moja mama była bardzo lewicowa. Kwestia praw kobiet – to dla mojej mamy było bardzo ważne.

Całuje pan kobiety w rękę?
– Nie. Kobiety i mężczyzn witam przez podanie ręki. Cały czas w Polsce mamy wiele do zrobienia w zakresie respektowania równouprawnienia i zagwarantowania praw kobiet. O prawach kobiet, chociażby do przerywania ciąży z powodów społecznych, w największym stopniu decydują mężczyźni. Niewykorzystany jest potencjał intelektualny, polityczny, społeczny i gospodarczy kobiet. Napisałem kilkanaście lat temu o tym książkę.

W 2010 roku przez czytelniczki jednego z czasopism kobiecych wybrany zostałem na feministę dwudziestolecia.

A ojciec też był lewicowy?
– Tak samo. Chociaż zaraz po wojnie aktywnie działał w Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici". Był więziony na Zamku Lubelskim.

Pamięta pan emocje z 1978 roku, kiedy pan przystąpił do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej?
– Nie przypominam sobie żadnych emocji. Były to czasy o innym stanie świadomości. Czas względnej otwartości PRL. Podział świata wydawał się niewzruszony. Miałem otwartą i krytyczną osobowość. W sposób jasny, dobitny wyrażałem swoje opinie. Już na pierwszym roku zostałem wiceprzewodniczącym Rady Wydziałowej. Bardzo szybko byłem wybierany i rozpoznawany na Wydziale Prawa i Administracji UW.

Dlaczego? Przez charyzmę?
– Inni mogą to ocenić. To działo się jeszcze w szkole podstawowej, byłem na zmianę z koleżanką, z którą do dzisiaj utrzymuję kontakty, przewodniczącym klasy, bodajże w siódmej czy ósmej klasie, byłem wicekomendantem harcerskiego szczepu.

W liceum miałem okres kontestacji – długie włosy, muzyka rockowa. Spotykaliśmy się na Mariensztacie, wymieniając się winylowymi płytami. Wtedy poznałem wiele osób zajmujących się muzyką, które z czasem stały się znane i podziwiane. Z wieloma do dzisiaj pozostaję w przyjaźni. Niektórzy już nie żyją.

Socjalistyczny Związek...
–...Studentów Polskich, tak. Dzisiaj o SZSP, szczególnie ci, którzy wtedy nie żyli, mówią różnie. Natomiast do SZSP należało 99 procent studentów. U mnie w grupie tylko jedna osoba nie była w tej organizacji.

To był taki naturalny samorząd studencki, który prowadził rozległą działalność bratniacką związaną z kwestiami bytowymi, pracą spółdzielczą, turystyką, prowadził kluby studenckie. W 1977 roku własnymi rękami studenckimi wyremontowaliśmy piwnice przy dzisiejszej ul. Złotej

eprasa.pl 1f82165fe2

Różnimy się na pierwszy rzut oka. On wysoki, a ja gruby. Znamy się od bardzo dawna. Wcale mnie ta przemiana ideowa Romana Giertycha nie zdziwiła

w Warszawie i reaktywowaliśmy klub Hybrydy. Wtedy, w drugiej połowie lat 70., byłem przekonany, że opresyjność stalinowska z lat 40. i 50. została potępiona i rozliczona. Miałem świadomość wad, w tym braku powszechnych demokratycznych wyborów czy też chorej gospodarki, ale po to zaangażowałem się w działalność publiczną, żeby to zmieniać.

Co się czuło w powietrzu w tamtych latach?
– Czuło się, że w ramach struktur wydziałowych i uczelnianych, w szczególności na wydziale prawa, następuje progresywnie duża swoboda dyskusji. Czuło się potrzebę zmiany. Ta zmiana dotyczyła wnętrza systemu. Nikt wtedy nie wyobrażał sobie zmiany systemu.

Dyskusja zmierzała do tego, jak ten narzucony w Jałcie system ma efektywnie funkcjonować. Jak być wolnym w zastanych warunkach. Odczuwane było pogorszenie gospodarki i brak ze strony władzy koncepcji polepszenia sytuacji.

Wiem, dlaczego zadała pani to pytanie.

Dlaczego?
– W Polsce, szczególnie wśród pisowskich i tych bardziej na prawo polityków, takich mentalnie spóźnionych rewolucjonistów korzystających z przywileju późnego urodzenia, jest tendencja potępienia wszelkiej aktywności w PRL.

Oni w swoich głowach myślą, że na pewno walczyliby codziennie z PRL. Tylko że ich nigdy nie sprawdzono.

Taką politykę historyczną prowadzi też IPN. To z kolei ma wpływ na edukację i postrzeganie tego okresu naszej historii przez pokolenia urodzone po Okrągłym Stole.

Co było ważne dla pana?
– Ważna była Polska jako idea kraju wolnego, sprawiedliwego, zamożnego, obywatelskiego, ważna była godność każdego człowieka. Wielką moją satysfakcją było wpisanie tych wartości przy moim udziale do Konstytucji RP w 1997 roku.

Ważna była rodzina, też studia. Prowadziłem intensywne życie towarzyskie. Ważne też było poznawanie świata, wyjazdy na Zachód. Ja już w pierwsze i kolejne studenckie wakacje wyjechałem do Londynu, gdzie pracowałem jako kierowca, później na budowie i jeszcze jako sprzedawca. Potem był Wiedeń, tam byłem kierowcą małego vana.

Co pan sprzedawał?
– W Londynie pamiątki w sklepie Kinky Boo koło zamku Tower.

Ważne było normalne życie. W budynku wydziału prawa był klub Paragraf, gdzie się spotykaliśmy, rozmawialiśmy. Tam nie było czegoś takiego jak podziały polityczne. Wtedy organizacja była traktowana jako reprezentacja studentów, jak samorząd. Była bratniacka.

Pani pokolenie nadaje temu znaczenie wielkiej decyzji. Wielkiej, przełomowej.

Owszem, i formującej.
– Myli się pani. Jak dzisiaj patrzę na polityków powyżej sześćdziesiątki, którzy byli członkami ówczesnej partyjnej organizacji studenckiej, to są od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy.

Funkcyjny członek partii na wydziale prawa lat 70. został pisowskim nominatem w wielkiej spółce skarbu państwa. Inny o bardzo liberalnych gospodarczo poglądach sprawdził się jako szef wielkiego banku.

Zrzeszenie studenckie było formujące, ale w sensie organizacyjnym, erystycznym, retorycznym.

OK. A jak nastąpił sierpień, to...
–...to był prawdziwy przełom w świadomości. „Solidarność” to był wybuch entuzjazmu i optymizmu.

Sylwestra ’80/’81 spędziłem pod Warszawą w towarzystwie, gdzie były również osoby bardzo zaangażowane opozycyjnie. Zresztą wraz z Aleksandrem Kwaśniewskim, Jerzym Koźmińskim i kolegami z NZS braliśmy udział w pracach komisji do spraw organizacji studenckich. Promowaliśmy wtedy hasło: Partia musi oddać część ze swojej władzy, a „Solidarność” samoograniczyć się.

Były strajki studenckie. Również w obronie Maćka Kuronia, żeby go nie zwolniono ze szkoły wyższej w Olsztynie, walczyłem o niego jako ekspert prawny. Przyjaźniłem się z nim aż do jego śmierci.

A z jego ojcem?
– Bardziej z mojej strony to był podziw dla Jacka Kuronia.

Jak pan przeżył stan wojenny?
– SZSP podobnie jak NZS został zawieszony. Stan wojenny był dla mnie wielkim wstrząsem. Lata 90. były stracone dla mojego pokolenia.

Co pan wtedy robił studencko, zawodowo?
– Odbywałem aplikację sądową. Przez tę moją osobowość, że wchodziłem w dyskusje z sędziami, nie zawsze było mi łatwo.

I miałem ojca adwokata. Wiadomo było, że z powodu ówczesnych uregulowań prawnych nie będę sędzią. Po egzaminie sędziowskim rozpocząłem aplikację adwokacką. Potem dostałem się na stypendium do Zurychu. Od 1 marca 1987 roku byłem adwokatem. To było dla mnie najważniejsze: zawód, praca, rozwój.

Jak się panu udało w latach 80. wyjechać do Szwajcarii?
– Złożyłem aplikację i Uniwersytet w Zurychu przyznał mi stypendium. Wracając do lat 80., ten okres był bardzo specyficzny. Wystarczy zajrzeć do katalogu IPN.

Po co?
– Żeby zobaczyć listę tych, którzy byli wtedy rozpracowywani.

Jest tam pana nazwisko?
– Tak, można mnie znaleźć w katalogu osób rozpracowywanych przez organy bezpieczeństwa PRL.

Wielu, którzy dziś powołują się na swoja wielką walkę, tam nie ma. A ja byłem zawsze sobą, robiłem i robię to, w co wierzę, i organy systemu bezpieczeństwa miały wobec mnie dużo zastrzeżeń, i dokonywały kontroli operacyjnej.

Ostatnio słyszałem krytykę Zbigniewa Resicha przez hejterów czy spóźnionych rewolucjonistów. Nie wiedzą, że w latach 70. prof. Zbigniew Resich zorganizował seminarium z ochrony praw człowieka. Dyskusja tam była naprawdę wolna, pamiętam tę o Amnesty International. Znaliśmy wtedy te ważne organizacje, które w tamtej Polsce nie mogły działać. Mieliśmy kontakty z kolegami z Zachodu.

Kogo pan ma na myśli, mówiąc o spóźnionych rewolucjonistach albo hejterach?
– Niech pani zajrzy na X i zobaczy zorganizowany hejt. A prawicowe stacje telewizyjne i gazety z nimi związane kontynuują tradycję TVP Info sprzed grudnia 2023. Nie przejmuję się tym, ale wyrządzają dużą szkodę debacie publicznej. Zresztą hejt i ta „publicystyka” ograniczają się do argumentów ad personam.

A co panu mówili rodzice?

REKLAMA

Kraj/34381543

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

– Nie musieli nic mówić. Wie pani, moi synowie są teraz nastoletni. Im też nie trzeba mówić. Oni będą to mieli w sobie, wyniesione z domu. Taki był też mój dom. Pamiętam sytuacje szokującą wtedy dla opinii publicznej.

Jaką?
– Był rok, bodajże, 1998. Byłem szefem Kancelarii Prezydenta. W trakcie wywiadu prowadzonego przez RMF ktoś mnie zapytał, czy jestem za adopcją dzieci przez pary homoseksualne. Powiedziałem: „Tak, oczywiście!". Powstała wielka wrzawa.

Prezydent Aleksander Kwaśniewski powiedział wtedy do mnie: „Jeszcze za wcześnie na takie przesłanie". Ale to, co powiedziałem, było i jest we mnie zawsze. Nie kalkulowałem, nie zastanawiałem się.

Mama była bardzo tolerancyjna. Uważała, że każdy ma prawo do kreowania swojego życia. Była mądra, lubiła żartować. Doskonale grała w karty. Ogrywała wszystkich. Była bardzo logiczna, ale jednocześnie niezwykle wrażliwa. Cały czas pracowała.

Ja się wychowałem na podwórku na warszawskich Bielanach. W niedzielę mama robiła jedzenie, cały tydzień później je sobie podgrzewaliśmy.

Nigdy nie kazała mi wrócić o określonej godzinie. Podobnie tata.

O, naprawdę?
– Tak, nigdy. Rodzice mieli do mnie zaufanie. A ja ich nigdy nie zawiodłem, miałem od razu poczucie odpowiedzialności.

Tak samo wychowuje pan synów?
– Tak. Mama nigdy też nikomu nie zazdrościła. Rodzice nauczyli mnie tego, żeby nie zazdrościć i przebaczać.

Poda pan jakiś przykład?
– Kilka lat temu przyszedł do mnie adwokat, który sprzedał dziennikarzowi moje taśmy nagrane u Sowy. Nagrano wtedy przyjęcie moich przyjaciół. Po kilku latach przyszedł do mnie. Powiedział: „Ryszard, ja cię bardzo przepraszam". Od razu spontanicznie mówię mu: „Nie ma problemu, daj spokój. Popełniłeś błąd, ale ja już tego nie pamiętam". I mamy dobre relacje.

Wierzy pan w Boga?
– Tak. Jest to jednak moja osobista i intymna sprawa. W domu moich dziadków był taki zwyczaj w niedzielę i święta, że śniadanie jadło się dopiero po powrocie z mszy.

Jak pan sądzi, dlaczego tak wielu polityków jest prawnikami z wykształcenia?
– Na tym polega cały problem, że w parlamencie jest za mało wykształconych prawników. Bo to, że skończyli studia, to jest jedno, ale wie pani, to jest bardzo zła cecha polskiego systemu parlamentarnego i polityki, że do polityki nie idą ludzie najmądrzejsi.

No i kiedyś była debata w Sejmie. Rozmawiali ze sobą polityczni przeciwnicy. A od 23 grudnia 2005 roku, czyli od dnia złożenia przysięgi, od zaprzysiężenia prezydenta Lecha Kaczyńskiego, mamy do czynienia z wojną agrarną. Czyli nie kto kogo przekona, tylko kto kogo do ziemi. Niestety, duża część dzisiejszych wystąpień w Sejmie nie jest merytoryczna, sprowadza się do obrażania i oskarżania oponentów o niecne czyny.

Rozczarowany pan jest?
– Od tamtego czasu nie osiągnęliśmy nowego kamienia milowego. Korzystamy cały czas z reformy Balcerowicza, która wprowadziła nasz kraj, mimo trudnych dla wielu ludzi stron, na drogę rozwoju gospodarczego.

Korzystamy z przystąpienia do NATO w roku 1999, z wejścia do Unii Europejskiej w 2004. I co dalej? Gdzie kolejny krok milowy? Nie było żadnego od 20 lat.

Ale ja teraz na przykład zaangażowałem się we współpracę z Narodową Radą Ruchu Oporu Iranu. Z tymi, co walczą z ajatollahami w Iranie, z rządami teokratycznymi.

A co pan dla nich robi?
– Mówię, w jaki sposób tworzyć zręby przyszłego systemu demokratycznego, w jaki sposób rozmawiać z ludźmi itd. Mamy częste spotkania, założyliśmy też w Polsce, co nie było takie łatwe, Klub Przyjaciół Wolnego Iranu.

Potępiamy Iran za masowe zabójstwa, potępiamy Iran teokratyczny, republikę muzułmańską. Jesteśmy w stałym kontakcie z NCRI. Wspaniali ludzie.

A my tu mamy demokrację, ale musimy się stale uczyć szacunku i wybaczania.

Dlaczego pan wraca do wybaczenia?
– Brakuje tej cechy w dzisiejszej Polsce. Bardziej ze strony dzisiejszej opozycji nakręcana jest spirala nienawiści. Obawiam się o jej publiczne skutki.

Niedawno rozmawiałam z profesorem Stefanem Niesiołowskim. Nauczył mnie jednej rzeczy, można powiedzieć, że mną potrząsnął, chociaż nieintencjonalnie. Powiedział, że trzeba wiedzieć, gdzie są my, a gdzie są oni.
– To jest kwestia zasad. Trzeba je mieć. Stefan Niesiołowski je ma. Wspaniały i zasłużony człowiek. Bezpodstawnie za rządów pisowskich chciano go zniszczyć. Został uniewinniony. Miałem zaszczyt go bronić jako adwokat.

Ludzie mający poglądy i wrażliwość lewicową nie muszą być biedni. To pogląd z tabloidów

Ma pan przyjaciół w PiS?
– Nie powiedziałby, że to przyjaciele, ale dobrzy znajomi. Bardzo cenię Jana Ołdakowskiego, dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego, Pawła Kowala. Jeszcze wspomnę Pawła Poncyliusza. Ale wprowadziłem panią trochę w błąd, bo ci ludzie odeszli z PiS. Byli, ale odeszli.

Co przez te wszystkie lata było dla pana w polityce najważniejsze? Co dawało panu przyjemność?
– Partycypacja, wykorzystywanie wszystkich sił, intelektualnych, koncepcyjnych, całego potencjału naukowego, naturalnego Polski. Uważam, że im więcej kobiet w polityce, tym rozwój narodu jest szybszy.

Chodzi o sprawiedliwość?
– O konstytucję. Jestem przyzwyczajony do konstytucji. Chodzi mi o sprawiedliwość społeczną i sprawiedliwość realizowaną przez sądy. Na gmachu Sadu Okręgowego dla m.st. Warszawy jest przedwojenny napis: „Sprawiedliwość jest ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej".

Działam na rzecz mojego mocodawcy.

Bardzo się pan różni od Romana Giertycha. Też jest prawnikiem i politykiem, ale lubi rywalizację.
– Różnimy się na pierwszy rzut oka. On wysoki, a ja gruby. Znamy się od bardzo dawna. Rozmawialiśmy bardzo przyjacielsko, kiedy dostał się do Sejmu jako szef LPR.

Czasem się ktoś dziwił, że ja z nim tak normalnie rozmawiam. Zawsze bardzo ceniłem i cenię nadal jego wiedzę prawniczą. Namawiał mnie, żebym startował w ostatnich wyborach. Ale ja nie chciałem. Wcale mnie ta przemiana ideowa Romana Giertycha nie zdziwiła.

A wszystkich innych tak.
– Nie. Bo go znam. Zawsze stał na gruncie prawa i konstytucji. Mamy inne charaktery, inaczej uprawialiśmy politykę, inaczej wykonujemy zawód adwokata, ale demokrację rozumieliśmy tak samo.

Nigdy nie miałem żadnej wątpliwości, nawet wtedy, kiedy walczyliśmy w Trybunale Konstytucyjnym, kiedy on jako Liga Polskich Rodzin zaskarżył traktat akcesyjny, a ja tego traktatu broniłem. To była interesująca polemika. Niech pani do tego materiału dotrze i posłucha. Walczyliśmy ze sobą bardzo ostro, naprawdę bardzo ostro, ale merytorycznie, mówiąc o argumentach prawdy.

Lubi pan przemawiać?
– Tak. Szczerze mówiąc, jak rozmawiam tak przy stole, to nie eksponuję wszystkich argumentów. Ale kiedy przemawiam, dopiero wtedy jestem sobą. Kiedy przemawiam do milionów, to się dobrze czuję. Jestem swobodny, kiedy przemawiam w Sejmie, na wiecach.

A jakie to jest uczucie mówić do milionów ludzi?
– Normalne.

Myśli pan, że PiS to rosyjska agentura? Często słyszę taką sugestię.
– Daleki jestem od tego rodzaju stwierdzeń. Mam czasami wrażenie, że oni nie zdają sobie sprawy z tego, że mogą współgrać z niektórymi poczynaniami Rosji. Ale nie robią tego świadomie, a robią to chociażby z powodu fundamentalistycznych poglądów narodowych.

Czyli że to niechcący tak wygląda.
– Tak to wygląda, ale tym nie jest. Oceniam, że to tylko brak świadomości w działaniu. Od badania tego jest specjalna komisja gen. Jarosława Stróżyka.

Kto jest niezwykłą postacią w polskiej polityce?
– Miałem duże szczęście do wyjątkowych ludzi. Aleksander Kwaśniewski z pewnością zalicza się do tego grona, jego analizy i sposób reagowania uważam za wybitny.

Jest wybitnie zdolny analityk i dyplomata Jerzy Koźmiński, były ambasador Polski w Stanach Zjednoczonych, miał nieprawdopodobny dar negocjacji i przekonywania ludzi, w polityce jest to niezwykle ważne.

Niezwykłe wyczucie polityczne miał Lech Wałęsa.

Naprawdę?
– Tak. Miał doskonałe wyczucie. Natomiast już nie potrafił się znaleźć w rygorach struktury państwowej, kiedy był prezydentem. Ale wyczucie od '80 do '89 roku miał niebywałe.

Na czym polega to naturalne wyczucie, polityczny talent?
– Na przykładzie Wałęsy: naturalnie potrafił zrobić właściwą rzecz. W odpowiednim momencie. Przez swoje często nieprzewidywalne poczynania, których inni nie brali pod uwagę. Negocjacje w sierpniu 1980 roku były prowadzone dla Polski wyśmienicie.

Czy intelekt ma znaczenie?
– To intuicja i charyzma. Do tych wyjątkowych polityków dodałbym jeszcze Donalda Tuska.

Oprócz polityków poznałem też wyjątkowych urzędników: Marek Ungier, wzór urzędnika, załatwiał wszystkie sprawy organizacyjne, nigdy nie wypowiadał się w mediach, Andrzej Bączkowski, wiceminister pracy i polityki społecznej. Dodam jeszcze Andrzeja Przewoźnika, który zginął w katastrofie smoleńskiej.

Ludzie nie lubią polityków. Mają poczucie, że są cyniczni, że kłamią, że myślą tylko o swoim interesie. Mają rację?
– Ta grupa zawodowa nie różni się niczym od innych. Mamy dwie koncepcje, Monteskiusza i Niccola di Bernarda dei Machiavellego.

Ten pierwszy uważał, że w państwie funkcjonuje władza ustawodawcza, władza wykonawcza oraz władza sądownicza. Nie powinny wchodzić w swoje kompetencje i wzajemnie się powstrzymywać w działaniu na rzecz dobra narodu.

Ten drugi uważał, że cel uświęca środki, nawet łamanie zasad. W latach 2015-23 mieliśmy władzę stosująca tę drugą zasadę.

Ma pan w sobie coś, czego pan nie lubi?
– Zawsze starałem się zeszczupleć. Lubię swoją tuszę, ale lepiej dla zdrowia, jak stracę kolejne kilogramy.

Kilka lat temu motywował mnie do nabrania kondycji w Mielnie Sobiesław Zasada. Zabierał na wspólne wielokilometrowe marsze nad Bałtykiem. Teraz od dłuższego czasu utrzymuje poziom 20 kg mniej od maksymalnego.

Ale moja otyłość nigdy nie stanowiła dla mnie ani dla koleżanek i kolegów jakiekolwiek problemu. Ani w dzieciństwie, ani w latach nastoletnich. Wtedy wokół mnie koncentrowała się grupa towarzyska bliższych znajomych, zresztą dosyć liczna.

Później też nie przeszkadzała mi w jakiejkolwiek aktywności, ani w wykonywaniu zawodu adwokata, ani w polityce czy nawet w sporcie. Zaskoczeniem dla wielu postronnych ludzi była moja gra w tenisa czy poziom jazdy na nartach zjazdowych.

Moja żona jest o ponad połowę szczuplejsza ode mnie. Ponadto: czy ktokolwiek jest w stanie wyobrazić sobie Ryszarda Kalisza szczupłego? ●

Ryszard Kalisz

• Rocznik 1957. Adwokat. Ekspert w czasie obrad Okrągłego Stołu, zastępca przewodniczącego Trybunału Stanu (1993-1995), współtwórca przepisów Konstytucji RP z 2 kwietnia 1997 r., szef Kancelarii Prezydenta (1998-2000), członek założyciel Sojuszu Lewicy Demokratycznej (1999), członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego (2000-05), minister spraw wewnętrznych i administracji (2004-05).
Poseł na Sejm IV, V, VI i VII kadencji (2001-15). Był tam przewodniczącym: komisji ustawodawczej, polsko-niemieckiej grupy parlamentarnej, komisji sprawiedliwości i praw człowieka oraz komisji śledczej ds. zbadania okoliczności tragicznej śmierci byłej posłanki Barbary Blidy. W latach 2003-04 był obserwatorem w Parlamencie Europejskim.
Od 2013 r. nie należy do żadnej partii politycznej. W grudniu 2023 r. został wybrany przez Sejm, a w 2024 r. powołany przez prezydenta w skład Państwowej Komisji Wyborczej.
Żona Dominika także jest adwokatem.
Jest ojcem dwóch synów.

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

Baudelaire wolał *opium*

FOT. MARK PETERSON/GETTY IMAGES

• Czasy kontrkultury w USA (II połowa XX w.) to romans z psychodelikami. Na zdj. uczestnik festiwlalu Woodstock’94 z tabletkami LSD na języku

„Trzeba by się było zastanowić, jak to jest dzisiaj, dlaczego życie we współczesnym społeczeństwie wymaga **ciągłego chemicznego wspomagania.**

Z FILOZOFEM **MICHAŁEM HEREREM*** ROZMAWIA **SEBASTIAN SŁOWIŃSKI**

„Nowoczesność na haju” – filozof pisze książkę o użytku z narkotyków. Coraz częściej są one tematem debat publicznych: powstają podcasty, organizuje się sympozja, seminaria. O narkotykach rozmawia się na różne sposoby, choć z filozoficznego punktu widzenia chyba jeszcze nikt dobrze im się nie przyjrzał.
– „Nikt” to może przesada, ale rzeczywiście jest tego dużo mniej, niż można by się spodziewać. Wydawałoby się, że doświadczenie narkotyczne to ciekawy obszar badań dla fenomenologii czy kognitywistyki, tymczasem ze zdziwieniem odkryłem, że nie ma tego za wiele.

Sam nie uprawiam jednak fenomenologii i moja perspektywa jest inna. Użytek z narkotyków (co jest nawiązaniem do Michela Foucaulta i jego rozważań o „użytku z przyjemności”), który mnie interesuje, wiąże się z tzw. afektem antymieszczańskim. Czyli z różnymi formami buntu przeciw mieszczaństwu rozumianemu jako pewien etos, system wartości i forma życia.

Przyglądam się temu, jaką postać przybierały te bunty w trzech czasoprzestrzeniach.

Chodzi – w pewnym przybliżeniu – o Paryż drugiej połowy XIX wieku, następnie o pierwszą połowę wieku XX w Niemczech (zwłaszcza w Berlinie), i wreszcie o lata powojenne w Stanach Zjednoczonych, czyli czasy kontrkultury.

Każda z tych trzech czasoprzestrzeni ma innego głównego bohatera. Są to, kolejno, Charles Baudelaire, Ernst Jünger i William S. Burroughs. Próbuję opowiedzieć historię podmiotowości antymieszczańskiej przez pryzmat użytku z narkotyków, wpisując to wszystko w szerszą narrację na temat nowoczesności, kapitalizmu i oczywiście samego mieszczaństwa.

Jest jeszcze czwarty bohater, z intrygującego „Dodatku”...
– Mój ulubiony! Ale nie psujmy niespodzianki czytelniczkom i czytelnikom. Dzięki Ewie Engler-Herer, mojej żonie, która podsuwa mi różne ciekawe książki, odkryłem nieznanego mi wcześniej (i w ogóle szerzej nieznanego) autora, który pisał o narkotykach jak nikt inny.

Korzystasz z literatury, ale narkotyki, o których piszesz, są całkiem realne.
– Tak, w każdej z wybranych przeze mnie czasoprzestrzeni przyglądam się temu, jak afekt antymieszczański łączył się z używaniem konkretnych substancji.

W pierwszej to głównie haszysz, w drugiej cały miks, ale ze szczególnym naciskiem na stymulanty, w trzeciej rzecz jasna psychodeliki.

Przy czym akurat wspomniani trzej pisarze mieli do owych „wiodących” substancji stosunek ambiwalentny – Baudelaire wolał opium od haszyszu, Jünger był jednym z pionierów LSD i niewiele „speedował”, z kolei Burroughs to heroina. W ogóle stali oni raczej na marginesie antymieszczańskich buntów w swoich czasach, ale to, co na marginesie, często okazuje się ważniejsze od głównego nurtu...

Cienka jest granica między tym, co jest narkotykiem, a tym, co nim nie jest...
– Owszem, substancją w szerokim sensie „psychoaktywną” jest kawa czy czekolada – wystarczy przyjrzeć się zachowaniu dowolnego dziecka po zjedzeniu słodkiego batonika – a nie myślimy o nich przecież jako o narkotykach. Tak samo z alkoholem.

Nie próbuję jednoznacznie zdefiniować tego, czym są narkotyki. Opieram się na intuicyjnym rozumieniu tego słowa, zgodnie z którym odnosi się ono do haszyszu czy LSD, ale nie do wina. Może z jednym wyjątkiem. Włączam w obszar badań użytek z leków psychotropowych.

To nas przenosi w sferę aktualności. W dzisiejszych czasach sposoby używania narkotyków są tak różne, a praktyka tak powszechna, że nie da się tego sprowadzić do wspólnego mianownika ani nawet uprzywilejować któregoś z nich. Narkotyki zażywają wszystkie grupy wiekowe i społeczne.

To jednak, co wydaje mi się szczególnie ciekawe, to masowa konsumpcja leków psychotropowych. Zapowiedzią tego jest już masowe zażywanie stymulantów i środków uspokajających w Niemczech w okresie międzywojennym. Trzeba było nadążać za przyspieszającą rzeczywistością masowej kapitalistycznej produkcji. Stymulanty były po to, żeby wejść na odpowiedni poziom pobudzenia i koncentracji, a potem oczywiście środki otumaniające, żeby móc się zregenerować i rano powrócić do kieratu.

Z kolei w Ameryce to valium (*mother’s little helper*...), które pozwalało przede wszystkim kobietom zamkniętym w ramach mieszczańskiej rodziny nuklearnej jakoś znosić swój los.

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

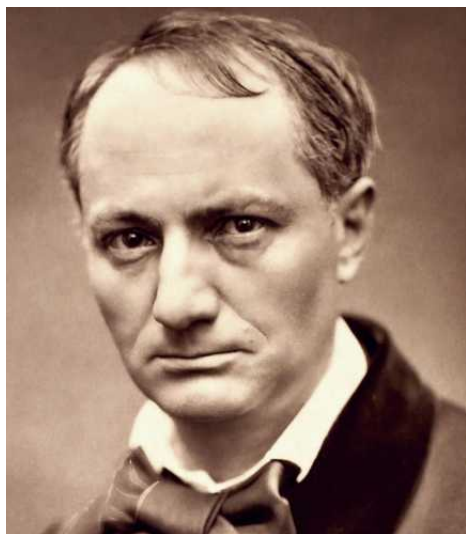

• **Charles Baudelaire (1821-67), francuski poeta i krytyk. Dandys, który głównie żył w biedzie. Jego wiersze epatują erotyką, brzodotą i złem. Oskarżany o obrazę moralności. Uzależniony do opium i haszyszu.**

• **William S. Burroughs (1914-97), amerykański pisarz i poeta. Związany z ruchem Beat Generation, popularny też wśród hipisów. Uzależniony od heroiny, morfiny i alkoholu. Entuzjasta broni palnej i noży.**

• **Ernst Jünger (1895-1998), niemiecki pisarz i nacjonalista, żołnierz obu wojen światowych. Eskperymentował z narkotykami (np. LSD) i opisywał to w książkach.**

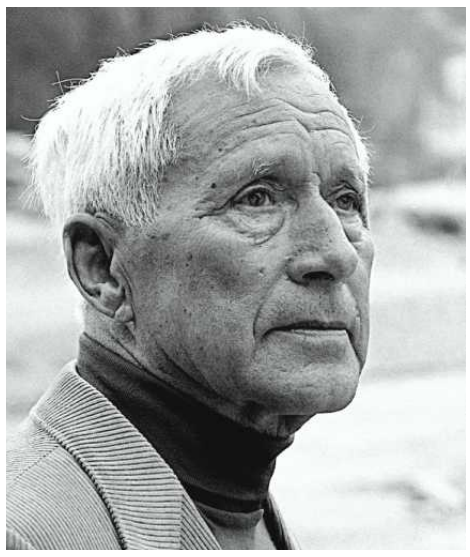

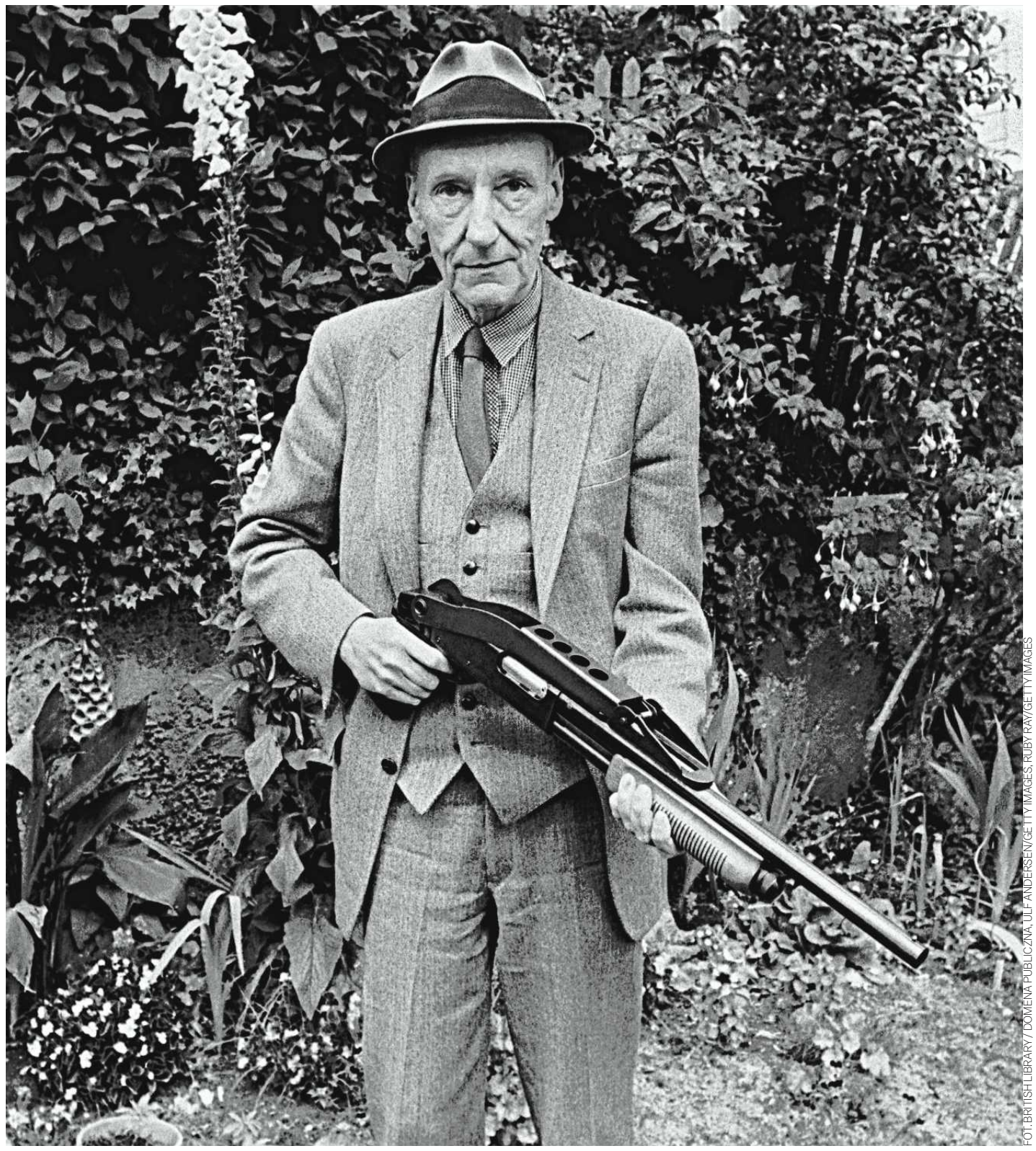

FOT. BRITISH LIBRARY / DOMENA PUBLICZNA, ULF ANDERSEN/GETTY IMAGES, RUBY RAY/GETTY IMAGES

Trzeba by się było zastanowić, jak to jest dzisiaj, dlaczego życie we współczesnym społeczeństwie wymaga ustawicznego chemicznego wspomagania...

Myślę o twoich poprzednich książkach. „Pochwałę przyjaźni" kończysz wezwaniem do eksperymentowania z nowym formami współbycia, zwłaszcza przyjaźni. To optymistyczne przekonanie, że wspólnotę, choćby na tym mikropoziomie, można ocalić i kultywować. Potem wydałeś eseje o faszyzmie, które zakończyłeś mrocznym proroctwem, że system będzie ulegać dalszej faszyzacji. Jesteśmy dwa lata po tej książce i teraz piszesz o narkotykach, promując Wielką Odmowę.

– Wielka Odmowa, jak ją nazywał Herbert Marcuse, to cały ten kontrkulturowy bunt lat 60., którego stawką było nie tyle – jak to kiedyś chcieli rewolucyjni marksiści – zniesienie własności prywatnej czy przejęcie aparatu władzy, ile raczej wytworzenie nowego sposobu życia, który mógłby podważyć panujący porządek.

Chodziło o odmowę życia w dotychczasowy sposób, pod dyktando mieszczańskiej rodziny i wyalienowanej pracy, ale też w świecie naznaczonym przez rasizm i militaryzm, świecie, nad którym krążyło widmo atomowej zagłady oraz – co dostrzegano już wówczas – katastrofy ekologicznej.

Nie „promuję" powrotu do Wielkiej Odmowy, ale staram się – w trzeciej części książki – przemyśleć jej dynamikę i przyczyny porażki. Wnioski są nadal do wyciągnięcia.

A jak mają się do tych buntów, do tej odmowy same narkotyki?

– Użytek z narkotyków, głównie psychodelików, a zwłaszcza LSD, w oczywisty sposób wpisywał się w kontrkulturowy bunt lat 60. Opisuję to na przykładzie pranksterów, czyli grupy skupionej wokół Kena Keseya. Kwas pozwalał odciąć się od konformistycznego i uładzonego życia w domku na amerykańskich przedmieściach (tym samym, w którym matka łykała valium, a ojciec wypijał kolejne puszki piwa albo szklanki whiskey) i poszerzał horyzonty wyobraźni ograniczanej przez dogmaty klasy średniej.

Postaci afektu antymieszczańskiego, czyli niechęci wobec mieszczańskiego stylu życia, który zasadza się na rygorystycznym reżimie pracy, własności i rozsądku oraz na dążeniu do szeroko pojętego bezpieczeństwa, były jednak bardzo różne, tak jak różne były sposoby używania narkotyków, o których piszę. Wielka Odmowa i psychodeliki to tylko jeden epizod tej historii.

Jest jeszcze postawa ironistyczna i akceleracjonistyczna.

– Tak. Ironia, dystans wobec mieszczaństwa i jego „krzątaniny" jest charakterystyczny dla tej pierwszej czasoprzestrzeni, gdzie głównym bohaterem jest Baudelaire. Chodzi o postawę słynnego flâneura, próżnującego spacerowicza, którego sposób postrzegania świata jest zadziwiająco podobny do tego, który Baudelaire opisuje w swoim „Poemacie o haszyszu", w „Sztucznych rajach".

Potem, zwłaszcza po I wojnie światowej, w związku z rozwojem techniki nowoczesność gwałtownie przyspiesza. Pojawia się innego rodzaju postawa antymieszczańska związana z pragnieniem przyspieszenia jeszcze bardziej i doprowadzenia do swego rodzaju „mutacji antropologicznej".

Tu wchodzi przede wszystkim speed. I faszystowski akceleracjonizm. Choć faszyzm miał też oblicze bardziej mieszczańskie, konserwatywne, oraz to związane z ideologią „krwi i ziemi", zawierał w sobie również dążenie do spotęgowania i właśnie przyspieszenia przemian, w wyniku których miał powstać nowy „niemiecki człowiek", w pełni zintegrowany ze światem maszyn i ich szaleńczym rytmem.

Od akceleracjonizmu – który dziś, w wydaniu Elona Muska, zdaje się wieść nie tyle ku nowemu człowiekowi, ile ku jakiejś rzeczywistości postludzkiej – trzymam się z daleka. Postawa ironiczna jest mi bardziej miła, choć uważam, że politycznie wyczerpała swój potencjał. Ironiczny dystans już dawno został wchłonięty przez system. W idei odmowy widzę natomiast jeszcze pewną siłę.

Ale sam zaznaczasz, że kontrkultura nie ma dziś dobrej prasy.

– To prawda, choć wydaje mi się, że nie całkiem słusznie. Mówi się, że kontrkulturowa czy hipisowska odmowa była z góry skazana na porażkę. Sam staram się nie myśleć o tym wyłącznie czy przede wszystkim z perspektywy nieuchronnego końca. Zastanawiam się raczej, co tam się rzeczywiście działo, gdy ten ruch był na fali wznoszącej. To jest ciekawe i wciąż inspirujące. Strategia odmowy wydaje mi się – w kontekście obecnego „wielokryzysu" – nadal w dużej mierze adekwatna, a mój pesymizm wynika raczej z tego, że nie widzę, gdzie ta postawa miałaby wykiełkować, kto miałby być, jak to mówią filozofowie, podmiotem tej odnowy.

Co sprawiło w ogóle, że amerykańscy studenci odmówili uczestnictwa w świecie ekonomicznego dobrobytu? Jak by nie patrzeć, to świat, który proponują teraz Sławomir Mentzen i Konfederacja: samochód, grill, ogródek...

– I narty w Austrii (*śmiech*). Mieszczańskiej formie życia zawsze towarzyszyło poczucie, że jest jakoś ograniczająca. Są ważne aspekty rzeczywistości, do których ograniczamy sobie dostęp, krążąc między pracą a domem rodzinnym, racjonalnie gospodarując zasobami materialnymi i emocjonalnymi. Czym jest to coś, z czym traci się kontakt?

Różnie to było definiowane, być może jest to jakiś rodzaj ekscesu, nadmiaru. Choć w przypadku amerykańskiej kontrkultury sprawa jest bardziej skomplikowana, bo afekt antymieszczański był tylko jedną z działających tam sił. Obok całego splotu czynników ekonomicznych, rasowych, wojny w Wietnamie itp.

Opisujesz grupę pranksterów przemierzającą wyćpanym autobusem amerykański kontynent i głoszącą rodzaj obywatelskiego nieposłuszeństwa zakrapianego oranżadą z rozpuszczonym LSD („Próba kwasu w elektrycznej oranżadzie" Toma Wolfe'a). Jak takie działanie może zmienić świat?

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

– Prankstersi, potem hipisi, działali w modelu, który określam mianem apolitycznej polityczności. „Polityczności”, bo chodziło o przekształcanie świata przez wspólne działanie; „apolitycznej”, bo działanie to miało zrywać z tradycyjnymi formami polityki, z rzeczami takimi jak partie, sondaże, a nawet wiece polityczne. To miało być coś zupełnie innego.

A nie masz wrażenia, że tego typu eksperyment, o którym mówisz, powtarzają dziś celebryci czy politycy alt-rightu, na przykład właśnie Mentzen? Zagarnia w sposób oddolny głosy marginalizowanych mężczyzn i mobilizuje ich do udziału w swoim show. Zastanawiam się, na ile ten wywrotowy sposób działania kontrkultury nie został zagarnięty przez prawicę.
– To szerszy problem: jak prawica przejmuje pewne strategie i postawy, które tradycyjnie należały do etosu lewicowego. Afekt buntu czy sprzeciwu, tzw. antysystemowość, są dziś rzeczywiście dużo lepiej ogrywane przez prawicę, która ma też coś, czego lewicy brakuje. A mianowicie narrację, której elementy pasują do siebie.

Lewicowa narracja jest dziś widocznie pęknięta. Chodzi mi przede wszystkim o rozdźwięk między aspektem „socjalnym” a „światopoglądowym” albo „obyczajowym”. On trwa już ileś dekad i wciąż nie ma sposobu na jego usunięcie.

Prawica wygrywa, bo oferuje jasną i spójną wizję. I na dodatek pozwala ludziom – często skądinąd uprzywilejowanym – poczuć się bohaterami walki z systemem!

Bunt kontrkulturowy miał miejsce w latach powojennej prosperity, kiedy żyło się względnie dobrze i dostatnio, ale pod pozorem tego dobrobytu to mieszczańskie i konserwatywne życie było uciskające. Dziś jest na odwrót: Unia Europejska, poprawność polityczna, zaimki... te drobne rzeczy, od których zaczyna się bunt wobec status quo.
– Tak, to jest niezbywalny element buntu – przekonanie, że istnieją jakieś dominujące siły, którym trzeba się przeciwstawić.

Dziś prawica też gra w tę grę. Pytanie, jak naprawdę wyglądają stosunki sił w naszym świecie.

Podczas gdy to, co prawica nazywa „poprawnością polityczną”, przebija się głównie na poziomie języka i w pewnych wąskich obszarach, takich jak kultura akademicka (choć i tu z oporami), świat popycha ku wojnie, faszyzacji i klimatycznej katastrofie nowa oligarchia. Turbokapitalistyczna, a może „technofeudalna”, jak chce Varufakis...

Teraz rozmawiamy o emancypacyjnych wymiarach użytku z narkotyków, ale przecież jest jeszcze mroczna strona.
– Jestem dość powściągliwy, jeśli chodzi o całościową ocenę afektu antymieszczańskiego i związanego z nim użytku z narkotyków. Jest tutaj wątek faszystowski, ale również w innych momentach pojawia się mrok i autodestrukcja.

Z drugiej strony samo mieszczaństwo, by znieść swoją egzystencję, potrzebuje się znieczulać i uśmierzać lęk (za pomocą valium, alkoholu i różnych produktów nowoczesnego przemysłu farmaceutycznego).

Właśnie – co tu jest w ogóle mieszczańskie, a co już anty-?
– Historia narkotyków, którą opowiadam w książce, jest w całości ambiwalentna, począwszy od tego, że staram się opisać historię i różne postaci afektu antymieszczańskiego, ale od razu zastrzegam, że bunty te rodzą się w łonie samego mieszczaństwa. Wynika stąd wiele dwuznaczności albo, jak je nazywam, napięć, kształtujących tę mieszczańsko-antymieszczańską podmiotowość.

Doskonałym przykładem jest tu Baudelaire i jego stosunek do narkotyków. Z jednej strony mogą one być źródłem inspiracji, z drugiej – ich używanie osłabia dyscyplinę, która wyklętemu poecie okazuje się tak samo niezbędna jak byle filistrowi...

W tej historii nie ma kobiet. No, prawie nie ma: pojawiają się jako uciskane żony, które muszą brać valium.
– Tak. To, o czym piszę, to raczej bunty mieszczańskich synów przeciwko ojcom. Wydaje mi się, że niewiele by też zmieniło włączenie w tę narrację kobiet jako „innych przykładów”, jeśli miałyby to być przykłady tych samych form antymieszczańskiego buntu. Historię kobiecego afektu antymieszczańskiego trzeba by napisać inaczej. I nie wiem, czy użytek z narkotyków byłby tu równie dobrym pryzmatem, mimo że kobiety oczywiście też używały i używają substancji psychoaktywnych.

Swoją historię kończysz w II połowie lat 70. ubiegłego wieku, a jednak zwracasz uwagę, że jest to historia naszej aktualności. Jesteś profesorem, nauczycielem, także ojcem i mężem; jak z tej osobistej perspektywy patrzysz na dzisiejsze bunty?
– Z jednej strony jestem przekonany, że filozofia powinna diagnozować aktualność, rozumieć i opisywać procesy, które określają dzisiejszą rzeczywistość. Z drugiej – mam opory przed wejściem głębiej w materię tej aktualności, przed tym, by zmierzyć się z nią frontalnie, bezpośrednio.

Chyba dlatego historie, które od jakiegoś czasu opowiadam (w eseju o przyjaźni, potem w książce o faszyzmie i teraz w „Nowoczesności na haju”), zatrzymują się niejako na progu współczesności, pokazują świat, który z pewnością nas ukształtował, ale też różni się od tego, w którym żyjemy. Ma to jakiś związek z technologią, digitalizacją...

A to nie brzmi trochę, jakbyś uciekał od współczesności i aktualnych problemów?
– Nie, nie uciekam. Jestem pesymistą, jeśli chodzi o kierunek, w jakim zmierzamy, i wydaje mi się, że niestety, stoimy dopiero u progu bardzo złych czasów, w związku z kryzysem klimatycznym, walką o zasoby itd. Ale „aktualne problemy” są właśnie tym, co mnie interesuje. Chodzi o to, że współczesność wydarza się teraz i otwiera nas na przyszłość, która – mimo wszystko – nie jest z góry przesądzona. To sprawia, że stanowi bardzo złożoną i nieprzejrzystą materię dla myśli filozoficznej.

Chyba nadal szukam języka, w którym chciałbym ją opisywać. Może również dlatego wpisuję ją – na zasadzie kontynuacji i zerwania – w historię o nieco dłuższym trwaniu. Konfrontacja z żywiołem aktualności jest konieczna dla takiej filozofii, jaką staram się uprawiać, jednak wypracowanie perspektywy pozwalającej powiedzieć coś ważnego i nowego, to bardzo trudne zadanie.

Wspomniałeś, że twój dystans wobec współczesności związany jest z technologią. Jesteś technofobem?
– Cóż, chyba tak... Moje pokolenie przeżyło dzieciństwo jeszcze w świecie analogowym, z telewizją jako dominującym medium. Jednak komputery osobiste, a potem smartfony i cała reszta, nas uwiodły. Nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć. Nie miałem ani nie mam konta na żadnym portalu społecznościowym, rzadko wiem, gdzie leży mój telefon, nie gram w gry komputerowe i nawet z internetu korzystam w sposób, który wydałby się archaiczny wielu emerytom (e-mail, bank, kilka gazet, prognoza pogody). Telewizora też nie mam. Ktoś mógłby powiedzieć, że taki rodzaj dystansu jest właśnie niezbędny, żeby zrozumieć pewne tendencje, ale sam nie wiem...

Ciekawe jest to, jak nowe technologie również wiążą się z używaniem substancji psychoaktywnych. Franco „Bifo” Berardi stawia hipotezę, że układ nerwowy współczesnego człowieka jest tak przestymulowany bodźcami płynącymi ze świata wirtualnego, że popada w zaburzenia, które następnie musi leczyć farmakologicznie.

Ken Kesey, pranksterski guru i bohater „Próby kwasu w elektrycznej oranżadzie”, w pewnym momencie mówi o wyjściu „ponad kwas”, o tym, że należy uzyskiwać efekt narkotyczny bez samego narkotyku. Czy to nie jest interesująca cię stawka, aby budować ten lepszy świat, uzyskać efekt narkotyczny bez narkotyków?
– Narkotyki były i tak czy inaczej będą. Dziś służą one chyba w większym stopniu do tego, by ludzie mogli jakoś znosić rzeczywistość, niż do stymulowania postaw buntu.

Tymczasem bunt i odwaga zmieniania rzeczywistości są wręcz dramatycznie potrzebne. Nie chodzi już nawet o to, żeby „ruszyć z posad bryłę świata”, tylko o to, by zawrócić ją z kursu, którym podąża, i to z dużą prędkością prosto w otchłań. Jest mi ostatecznie obojętne, czy dopomogą w tym jakieś substancje psychoaktywne. ●

Michał Herer

• Rocznik 1977. Filozof i tłumacz związany z Wydziałem Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Publikował teksty poświęcone myśli i kulturze współczesnej. Autor m.in.”Pochwały przyjaźni” (2017), „Skąd ten faszyzm?” (2024) oraz ostatnio wydanej **„Nowoczesności na haju. Kapitalizm, mieszczaństwo i użytek z narkotyków”** (2025).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34380128

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

Poradnik. Remont w wakacje

• Jaką umowę podpisać, by nie dać się oszukać przy remoncie?
• Co możesz wyremontować, jeśli wynajmujesz mieszkanie?
• Sposoby na sfinansowanie remontu
• Odnawianie mebli – ile to kosztuje i jak to robić samemu

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

Czułość, Równość, Wolność

Kobiety cierpią w milczeniu

Dlaczego na menopauzę mówimy „przekwitanie"? – pyta Naomi Watts. Jej książka to nie tylko historia o menopauzie. To opowieść o wykluczeniu i stygmatyzacji kobiet. O latach milczenia i tabu, o wstydzie, i cierpieniu w samotności.

Dominika Wantuch

Myślałam, że to koniec wszystkiego. A na pewno mojej płodności i kariery. Kiedy utrzymywałam to w tajemnicy, czując ogromny wstyd, marzyłam o podręczniku, który rozwiałby moje obawy. Niestety, nie znalazłam żadnych rzetelnych źródeł" – mówiła w wywiadzie w ubiegłym roku aktorka Naomi Watts zapowiadając swoją książkę poświęconą menopauzie.

Książka „Dare I Say It: Everything I Wish I'd Known About Menopause" na amerykańskim rynku pojawiła się w styczniu tego roku. W maju premierę miało polskie wydanie „Już się nie boję. Wszystko, czego nie mówią nam o menopauzie". 56-letnia dziś Naomi Watts napisała ją nie bez powodu.

Matka i starucha

„Każda kobieta ma swoją opowieść o tym, jak uświadomiła sobie, że nadchodzi dla niej czas transformacji. W moim wypadku wieść, że zbliżam się do menopauzy, pojawiła się równocześnie z informacją, że prawdopodobnie nie zajdę w ciążę w sposób naturalny. Zarówno w menopauzę, jak i w macierzyństwo weszłam mniej więcej w tym samym momencie, toteż za jednym zamachem stałam się matką i staruchą. I oba te doświadczenia – wczesna menopauza oraz niepłodność – zalały mnie falą potu, zagubienia i wstydu" – wspomina w swojej książce Watts.

Aktorka miała wtedy 36 lat, była w związku z aktorem Lievem Schreiberem, chciała założyć rodzinę. Ale pomimo prób, nie udawało jej się zajść w ciążę. Podczas wizyty u lekarza dowiedziała się, że przechodzi właśnie perimenopauzę, czyli okres przygotowujący organizm do menopauzy. Jajniki produkują wtedy mniej estrogenu i progesteronu, równowaga hormonalna jest zachwiana, a kobiety mogą odczuwać uciążliwe symptomy fizyczne i psychiczne.

„Jak to zbliżam się do menopauzy? Przecież to dla babć! A ja jeszcze nawet nie zostałam matką. Jaki ze mnie pożytek, skoro nie będę mogła mieć dzieci? Co zrobiłam nie tak? Jak mogłam do tego dopuścić? Jeśli nie mogę mieć dzieci, to Liev już nie będzie mnie chciał. Jestem bezużyteczna" – wspomina potok swoich myśli aktorka. Oraz wstyd, poczucie winy, zagubienie, samotność, jakie wówczas odczuwała. Bo niewiele wiedziała o menopauzie. Bo nie spodziewała się, że można ją przechodzić ok. czterdziestki. Bo nikt jej nie uprzedził, jakie mogą być objawy. Bo była przekonana, że nie ma już szans na dzieci, na które wreszcie poczuła się gotowa. Bo nikt nigdy jej nie wytłumaczył, na czym dokładnie polega i co właściwie oznacza to złowrogie słowo „menopauza". Bo kojarzyło jej się ze starością.

To nawet nie dziwi. Gdy wpisuję w Google: „synonimy słowa menopauza", pojawiają się jedynie: klimakterium i przekwitanie. Zwłaszcza to drugie hasło budzi mój opór. Bo dlaczego koniec miesiączkowania ma oznaczać, że kobieta więdnie? To pytanie stawia też Naomi Watts. Dr Alicja Długołęcka, edukatorka seksualna i psychoterapeutka we wstępie do polskiego wydania książki słusznie pyta o to, co mówimy dziewczynkom na temat pierwszej miesiączki? Że „właśnie stają się kobietami"? Jeśli tak, to czy zaprzestanie miesiączkowania oznacza, że przestajemy być kobietami?

„Od tego pierwszego przekazu zaczyna się budowanie znaczeń związanych z tym, co nastąpi potem" – pisze dr Długołęcka. Jej zdaniem „przekwitanie jest dosyć niefortunnym, nietrafionym i mizoginistycznym tłumaczeniem pojęcia „klimakterium", które oznacza wspinanie się po drabinie. To określenie, będące synonimem więdnięcia, nie jest wobec nas, Polek, w porządku. „Miesiączkowanie, zdolności reprodukcyjne, młodość, nie mogą być wyznacznikami naszej wartości" – pisze dalej Alicja Długołęcka.

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

Zarówno w menopauzę, jak i w macierzyństwo weszłam mniej więcej w tym samym czasie. Za jednym zamachem stałam się matką i staruchą

FOT. GARETH CATTERMOLE/GETTY IMAGES

• NAOMI WATTS (rocznik 1968) aktorka i producentka. Brytyjka, która wychowała się w Australii. Nominowa do Oscara za role w „21 gramów” (2003) i „Niemożliwe” (2012). Ma na koncie dziesiątki filmów - poza nominowanymi najbardziej znane to: ”Mulholland Drive”(2001) „The Ring”(2002) „King Kong” (2005), „Diana”(2013) oraz „Na cały głos” (2019).

Wstyd

Jednak narracja ewoluuje powoli. Wciąż uważamy, że menopauza to symboliczne przejście od czasu, w którym jesteśmy w pełni kobietami do okresu, w którym stajemy się cichymi, niezauważalnymi obserwatorkami życia.

„Mówiono mi, że nie dostanę żadnej roli, jeśli przyznam, że jestem w menopauzie, czy nawet perimenopauzie. W Hollywood określa się takie kobiety uroczym terminem „nieruchalne” – pisze Naomi Watts i wyznaje, że gdy dowiedziała się o swojej menopauzie poczuła ogromny wstyd. „Wstyd zaczął przenikać do wszystkich obszarów mojego życia” – wyznaje.

Ten wstyd zdaje się charakterystyczny, niezależnie od miejsca zamieszkania kobiet, ich statusu społecznego czy materialnego. Watts trafnie zauważa, że w życiu kobiet i dziewczynek niewiele jest sfer wolnych od wstydu. Kulturowo i społecznie jesteśmy z nim oswajane od dziecka. Jesteśmy albo zbyt ambitne, albo zbyt leniwe. Za ładne albo za brzydkie. Posiadamy za dużo dzieci, albo nie posiadamy. Jesteśmy zbyt konserwatywne, albo za bardzo wyzwolone. Zbyt puszczalskie albo zbyt skromne. Za młode albo za stare. Za chude albo za grube. Zawsze jest powód do tego, by się wstydzić. Przed otoczeniem, ale też przed sobą nawzajem.

Dlatego nie rozmawiamy. Nie mówimy głośno o dolegliwościach, których doświadczamy. Tymczasem menopauza jest doświadczeniem uniwersalnym. Lekarki, z którymi rozmawia Watts wyliczają, że co roku dwa miliony Amerykanek przechodzi menopauzę. To prawie sześć tysięcy kobiet dziennie. Alicja Długołęcka dodaje, że w 20025 r. liczba kobiet po 50. roku życia osiągnęła ponad miliard, a długość życia w ciągu ostatnich 100 lat wzrosła średnio z 48 do ponad 80. To oznacza, że czas najwyższy zacząć mówić głośno o tym, jak wygląda „transformacja menopauzalna”, co oznacza w życiu kobiety, jakie są jej objawy, jak można ją przeżywać i jak można sobie radzić z trudnościami w jej trakcie.

Dr Alicja Długołęcka podkreśla, że „nie przekwitamy po pięćdziesiątce, ponieważ „rozkwitamy”, „przekwitamy” i „owocujemy” po swojemu, równolegle w różnych dziedzinach życia, w wielu życiowych cyklach – każda w niepowtarzalny sposób”. Objawy menopauzy i dolegliwości z nią związane są jednak często tym, co kobiety zbliża, bo ich doświadczenia mogą być podobne.

Wszystkie koszmary menopauzy

Naomi Watts w książce przechodzi punkt po punkcie przez kolejne objawy i dolegliwości, jakich doświadczyła, przytaczając też historie kobiet, które przeszły menopauzę i analizując je wspólnie z ekspertami. Szczegółowo opisuje, jak się czuła i przez co przechodziła, wprowadzając czytelniczki w najbardziej intymne momenty swojego życia.

Wyznaje, że pierwszą ciążę w wieku 36 lat straciła. Potem dwukrotnie jeszcze była w ciąży. Syna Alexandra urodziła mając 38 lat. Rok później urodziła Samuela. Chwilę po 40 urodzinach zaczęła już przechodzić menopauzę. Na łamach książki opisuje nocne poty i uderzenia gorąca, których wtedy doświadczała. „Nagle poczułam, jakbym się dusiła. Ciepło było wszechogarniające, ale przypominało nie tyle przebywanie w upalnym klimacie, ale raczej falę wstydu”. Szczerze pisze wahaniach nastroju, atakach paniki i lęku, o bezsenności, pogorszeniu wzroku, o zmieniającej się wadze, uczuciu puchnięcia, o suchej skórze i wypadających włosach. Opisuje mgłę mózgową, utraty pamięci i uczucie, jakby menopauza „pozmieniała coś w jej mózgu”. Na łamach książki nie kryje, jak bardzo bała się wykluczenia z zawodu i jak pragnęła być zauważona. „Chciałabym, żeby społeczeństwo nie karmiło nas na siłę przekonaniem, że kobieta zawsze powinna starać się wyglądać na dziesięć lat młodszą, podczas gdy mężczyzna, w miarę jak się starzeje, sprawia wrażenie coraz bardziej interesującego, szorstkiego i silnego” – pisała.

Rozmawiając z ekspertami aktorka podpowiada, jak można radzić sobie z dolegliwościami, jednak jej książkę trudno nazwać poradnikiem. Choćby dlatego, że polecane przez nią kosmetyki produkowane przez jej firmę Stripes Beauty są w Polsce niedostępne. Sama Watts wybrała zastępczą terapię hormonalną (HTZ), która polega na uzupełnianiu niedoboru hormonów, przede wszystkim estrogenów i progesteronu, które w okresie menopauzy są produkowane przez jajniki w mniejszym ilości. Celem HTZ jest łagodzenie objawów menopauzy.

Naomi Watts szczerze pisze też o infekcjach układu moczowego, nietrzymaniu moczu, suchości pochwy, problemach z libido i kłopotach z seksem z nowym partnerem.

Plastry na olej silnikowy

W 2016 r. aktorka rozstała się z Lievem Schreiberem. Niedługo potem, na planie serialu „Gypsy” związała się z aktorem Billym Crudupem. „Kiedy w końcu przyszła ta chwila, że mieliśmy się ze sobą przespać poza kamerami, grzecznie przeprosiłam i wyszłam na moment (...) Zanim się rozebrałam, poszłam do łazienki i gorączkowo próbowałam zdrapać z siebie plaster z hormonami. (...) Bałam się, że Billy go zobaczy, zorientuje się, że nie jestem już pełną życia, płodną istotą, tylko kobietą menopauzalną” – wyznaje aktorka. I dodaje: „Niestety, plaster zostawia na skórze ślady, których bardzo trudno się pozbyć. lekarz powiedział mi raz: <<Żeby je usunąć, wystarczy wziąć trochę oleju silnikowego>> – wspomina i opisuje jak w łazience zdzierała plaster, a zaniepokojony partner pytał, czy wszystko z nią w porządku. W końcu zrezygnowana wypaliła: „Menopauza! Noszę plastry hormonalne i nie chciałam, żebyś to zobaczył, bo wtedy dowiedziałbyś się, że jestem stara” – pisze i dodaje, że aktor zareagował równie intymnym wyznaniem – że ma „siwe włosy na jajkach”. „Zrozumiałam, że jesteśmy w tym razem – w tym całym starzeniu się” – wyznaje dalej aktorka. Para w 2023 r. wzięła ślub.

Dlaczego teraz zdecydowała się opisać swoje doświadczenia menopauzalne w książce? Pytana o to przez Drew Barrymore mówiła jakiś czas temu w wywiadzie: „Prawda może być wyzwalająca. Ludzie boją się, że gdy dojdą do tego punktu, to libido spada, seks się skończy (..) Ale jesteśmy w takim momencie, w którym powinniśmy być dumni z naszych zbiorowych doświadczeń. Przeszliśmy wzloty i upadki, wyzdrowieliśmy, jesteśmy dzięki temu mądrzejsi, jesteśmy silniejsi, powinniśmy przyjąć ten moment w naszym życiu w pozytywny sposób, jakbyśmy na niego zasłużyli” – mówiła Watts. Wyznaje, że dopiero teraz była gotowa podzielić się swoimi przeżyciami. „Dopiero po 50-tce kiedy wróciła moja pewność siebie i gdy poczułam się dobrze sama ze sobą, postanowiłam mówić o swoich doświadczeniach. Połowa ludzi na świecie przechodzi, będzie przechodzić lub przeszła menopauzę i cały ten syf z nią związany. Dlaczego mamy być cicho? Rozmawiajmy o tym, wspierajmy się, zamiast udawać, że temat nie istnieje” – mówi Naomi Watts. ●

• Naomi Watts „Już się nie boję. Wszystko, czego nie mówią nam o menopauzie”
wyd. Znak Literanova 2025

CZUŁOŚĆ. WOLNOŚĆ. RÓWNOWAGA.

• Menstruacja, menopauza, równowaga w pracy, luka płacowa, rynek dla kobiet 50+, kompetencje przyszłości, siostrzeństwo – z wielką uwagą przyglądamy się naszym relacjom w nowej rzeczywistości. Z czułością i wrażliwością rozmawiamy o kobiecości, ale też męskości i niebinarności. Tworzymy nowy świat i pytamy o nasze miejsce w nim, zachowując balans. „Czułość. Wolność. Równowaga” to akcja społeczna „Wysokich Obcasów” i „Gazety Wyborczej”.

OGŁOSZENIE Kraj/34377489

Czułość. Wolność.
RÓWNOWAGA

ORGANIZATORZY
wyborcza.pl wysokieobcasy.pl

PARTNER
KULCZYK FOUNDATION

eprasa.pl 1f82165fe2

NIE PRZESADZAJMY Z TYM *idolem PRL-u*

Krzysztof Janczar 60 lat po „Wojnie domowej". Pani myśli pewnie, że środowisko filmowe piało z zachwytu, a telefon nie przestawał dzwonić?

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z AKTOREM **KRZYSZTOFEM JANCZAREM** ROZMAWIA **MARTA GÓRNA**

Był pan idolem nastolatków w PRL-u.
No nie przesadzajmy. Świat był wtedy zupełnie inny. Owszem, spotykałem się z oznakami sympatii, ale nie było wtedy serwisów społecznościowych, a w telewizji w latach 60. był tylko jeden kanał. W związku z tym ta popularność moja może i była ogromna, ale bardzo spokojna, cicha właściwie. Nie szły za tym żadne pieniądze, nie było szans na żadne wywyższanie się. Koledzy ze szkoły zresztą by mi nie pozwolili na zadzieranie nosa, zaraz by mi go utarli.

Pawełkowi z „Wojny domowej"? Wie pan, że w tym roku mija 60. rocznica premiery tego serialu? W pierwszym odcinku pana bohater upiera się, że pójdzie na casting do telewizji, ojciec postanawia wybić mu to z głowy, jedzie do studia, żeby reżyserowi powiedzieć, że ma Pawła nie zatrudniać. Pana ojciec Tadeusz Janczar też usiłował przekonać twórców „Wojny domowej", by pana nie zatrudniali.
– Tak, to zabawne, jakiego teraz kontekstu nabiera ten odcinek, prawda? Ale ja o tym, że tata pojechał i przekonywał, dowiedziałem się po 30 latach.

Plotka głosi, że na castingu spodziewali się Krzysztofa Janczara, a przyszedł pan pod swoim prawdziwym nazwiskiem: Krzysztof Musiał. I był pan tak dobry, że pana wzięli.
– O tym, że tata ich próbował zniechęcić, powiedziała mi w latach 90., już po moim powrocie z USA, Maria Zientarowa, autorka „Wojny domowej". Byłem wtedy na jakimś wernisażu w Teatrze Wielkim z Beatą Tyszkiewicz. Poprosiłem Beatę na świadka, żeby nie było, że wyssałem to z palca.

Ale moja historia z „Wojną domową" zaczęła się inaczej. Chodziłem wtedy do szkoły zawodowej przy ul. Okopowej w Warszawie, uczyłem się na tokarza. Byłem z tatą na łyżwach na Torwarze i tam spotkaliśmy Ryszarda Plucińskiego, drugiego reżysera, który mnie zaprosił na próbne zdjęcia do „Wojny...". Spodobał mu się ten szczeniacki kozak, którym wtedy byłem. Podszedłem do niego na łyżwach, przywitałem się, taki zuch sportowy, i widać pasowałem mu do roli Pawła.

Pamięta pan, co deklamował na castingu?
– Przesłuchania trwały kilka miesięcy, mówiło się o tym w całej Warszawie, rozmawiałem o tym ze znajomymi ze szkoły i myślałem sobie, że wspaniale byłoby wziąć w nich udział.

Wtedy właśnie Pluciński zauważył mnie na Torwarze. Każdego dnia twórcy „Wojny domowej" przez wiele godzin przesłuchiwali kolejnych chłopaków. Po latach się dowiedziałem, że w pewnym momencie umówili się, że pierwszy kandydat, który wejdzie i powie coś innego niż inwokację albo „Koncert Jankiela", dostanie rolę. Ja przygotowałem „Pawła i Gawła", zabawny, energiczny wiersz Fredry. No i mnie wzięli.

Tata nie chciał, żeby pan był aktorem?
– Nie wspierał mnie ani nie odradzał. Pamiętam, że zapytałem go kiedyś, do której szkoły aktorskiej powinienem – warszawskiej czy łódzkiej. Bardzo ważna decyzja. Powiedział, że sam muszę ją podjąć. W tamtym czasie świat artystów i sztuki był dla większości ludzi innym wymiarem. Teatr miał o wiele wyższą rangę niż obecnie, a osobowości telewizyjne czy filmowe się szanowało.

Życie w sztuce miało w sobie czar, a poznałem go w dzieciństwie, bo odwiedzałem tatę w teatrze, chodziliśmy też razem na spektakle.

Kiedy byłem nastolatkiem, tata pracował w Teatrze Powszechnym z Adamem Hanuszkiewiczem, który miał charyzmę absolutną i był prawdziwym twórcą. Odwiedzałem tatę za kulisami, siedziałem w garderobie, podpatrywałem tam wspaniałych przedwojennych aktorów – Marka Ostrowskiego i Józefa Pierackiego, obserwowałem w środowisku naturalnym m.in. Zofię Kucównę czy Mariusza Dmochowskiego i patrzyłem, jak zaczynali Iga Cembrzyńska, Daniel Olbrychski czy Andrzej Zaorski.

Czułem się tam jak w domu, bo teatr był wtedy rodziną, aktorzy byli dla siebie jak bliscy. Chciałem się stać częścią tego świata, który przypominał mi taki zaczarowany ogród.

Pan dzięki ojcu był przecież jego częścią od dziecka.
– Po rozwodzie rodzice mieszkali osobno, a dzieciństwo miałem wspaniałe. Urodziłem się w środku stolicy, przy ul. Szpitalnej 5. Warszawa była wtedy jeszcze w gruzach, bawiłem się na nich. Pod oknami moich dziadków, u których mieszkałem z mamą, na ul. Przeskok, był postój dorożek; nieraz, gdy babcia wysyłała mnie np. po chleb, to wskakiwałem na przęsło z tyłu dorożki albo jechałem kawałek na koźle obok woźnicy. Pamiętam też dozorcę Walentego, który dla całej kamienicy był co roku Świętym Mikołajem.

Naprzeciwko był sklep Wedla, który zresztą nadal działa. Czasy były trudne, a babcia świetnie gotowała, z niczego potrafiła wyczarować cuda. Byłem chroniony przed złem i niewygodą. Jeździłem zimą na sankach na Mariensztacie. A tata? Nie był dla mnie częścią codzienności, dlatego nasze wspólne wypady były dla mnie czymś niezwykłym. Ale to, że jest aktorską legendą, było dla mnie abstraktem.

W dzieciństwie nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak niezwykłym i szanowanym jest aktorem. Miał w sobie niezwykłą jakość: pewne wycofanie, smutek, dystans do świata i innych. Na ekranie było to uderzające. Nie wiem nawet, do jakiego innego aktora światowego formatu go porównać, chyba do głowy przychodzi mi tylko Dirk Bogarde. Mieli nawet podobne gesty i artystyczny wyraz.

Jego wojenne traumy nie miały na pana wpływu?
– Dowiedziałem się o nich już jako dorosły człowiek. Chroniono mnie. Mama, babcia i dziadek przetrwali powstanie warszawskie, ale szczegółowo o nim, kiedy byłem już nastolatkiem, opowiadał mi wujek Stanisław Troszok, który był jednym z bohaterów batalionu „Kiliński".

To był dziwny czas, wszędzie dookoła ruiny, trauma wojenna przemawiała z nich, wśród płatów betonu i cegieł, żelaznych wnętrzności. To, jakie piętno na tacie odcisnęła ta wojna, można sobie tylko próbować wyobrazić.

Dzisiaj ktoś mógłby powiedzieć, że był pan nepo baby.
– Czym?

Dzieckiem znanego aktora, któremu wpływy ojca ułatwiły karierę.
– Wie pani, nikt mi nigdy nie dał tego odczuć. Miałem poczucie, że bronię się sam, no i przecież „Wojna domowa" stała za mną i nadal stoi. Nikt nie mógł mi zarzucić, że do niczego sam nie doszedłem. Ten serial był w tamtym czasie wybitnym osiągnięciem telewizyjnym, na niespotykanym w latach 60. poziomie. A ja brałem w tym udział. Pewnie, gdybym na kolejnych etapach kariery zaczął sobie odpuszczać czy okazywać innym lekceważenie, to ktoś mógłby mi robić pod górkę. Ale ja zawsze się starałem, bo po prostu bardzo lubię moją profesję. Była moim spełnionym marzeniem, dlatego dawałem z siebie jak najwięcej.

Trzykrotnie spotkałem się na ekranie z moim tatą, pewnie się pani szykuje do pytania, czy się stresowałem. Ale nigdy się nie denerwowałem.

Robert Mitchum kiedyś powiedział, że aktorstwo polega na tym, żeby nauczyć się tekstu i nie wpadać na meble. To zabawne, ale wiele w tym prawdy.

Kiedy dostałem rolę Pawła w „Wojnie domowej" wraz z Elą Góralczyk, czyli „Anulą", mieliśmy spotkania z czwórką głównych dorosłych aktorów: Ireną Kwiatkowską i Andrzejem Szczepkowskim, Kazimierzem Rudzkim i Aliną Janowską. Tłumaczyli nam arkana pracy na planie, wbijali do głowy, jak ważne są skupienie, przygotowanie do roli i opanowanie tekstu. Gdybym zawalił jeden z tych punktów, to pewnie mógłbym się stresować. Od taty też wiele się nauczyłem. Tata np. nigdy nie rzucał swojego kostiumu w garderobie, odnosił się do niego z wielkim szacunkiem. Do wszystkich współpracowników również. Ja też lubię swój kostium odwiesić, a nie rzucić jak niektórzy.

Paweł z „Wojny domowej" był buntownikiem: buntował się przeciwko rodzicielskim zakazom, słuchał jazzu. W takich typów pan się wcielał w swojej karierze wielokrotnie. Pan się w życiu przeciwko czemuś zbuntował?
– Nie za bardzo miałem przeciwko czemu. Chciałem iść do szkoły filmowej i poszedłem, a byłem tak przytłoczony liczbą zajęć i nauki, że nie miałem na żaden bunt specjalnie czasu. Jeśli coś w moim życiu wywoływało we mnie bunt, to była to przemoc. Reżyserzy z kolei często mnie w takich rolach obsadzali, bo miałem w sobie taki pierwiastek zawadiaki. Buntownik więcej ma do zagrania niż ktoś, kto się na wszystko zgadza.

Ukoronowaniem ról buntowników był Tolek w „Nie zaznasz spokoju" Mieczysława Waśkowskiego. Muszę panu powiedzieć, że często o nim myślę. „Nie zaznasz spokoju" premierę miało prawie pół wieku temu, a wciąż jest jednym z naj-

W Polsce było wtedy nieciekawie, ponuro, jeździłem do USA do przyjaciół, żeby złapać trochę wiatru w żagle. Podczas jednego z wyjazdów zastał mnie tam stan wojenny. Zostałem, uznałem, że spróbuję. Poleciałem do Los Angeles, miałem przy sobie jakieś 100 dolarów

eprasa.pl 1f82165fe2

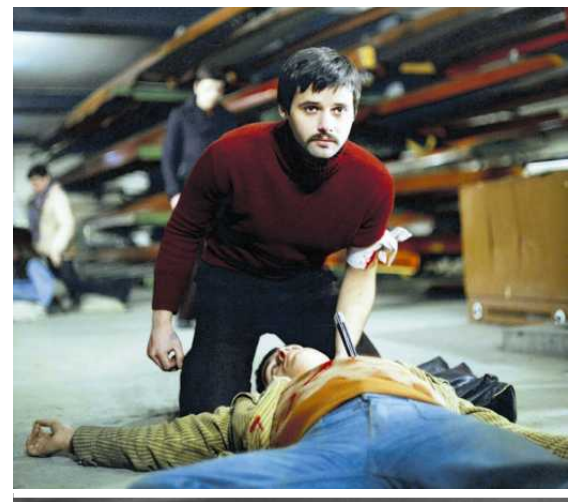

◀ **„Wojna domowa”, serial (1965-66). Jako Pawełek Jankowski, syn Zofii (Irena Kwiatkowska) i Kazimierza (Kazimierz Rudzki)** FOT. INPLUS/EAST NEWS

▶ **„Nie zaznasz spokoju” (1977). Jako Tolek „Bicz” Maliniak tzw.„trudny chłopak”, szef bandy gitowców** FOT. POLFILM/EAST NEWS

▶ **„Prawdzie w oczy” (1970). Jako Wiktor, Kaczmarski syn Bronka, suwnicowego huty „Warszawa”, którego grał jego ojciec Tadeusz Janczar** FOT. INPLUS/EAST NEWS

lepszych polskich filmów, jakie powstały. Także dzięki pana świetnej roli. To film o szefie bandy gitowców, który wychodzi z więzienia i przez cały film robi wszystko, by jak najbardziej moralnie się stoczyć. W finale morduje własnego brata.
– Jestem z tego filmu do dziś bardzo dumny. Scenariusz dostałem – wyjątkowo jak na realizację przedsięwzięć filmowych w naszym kraju wtedy – pół roku wcześniej. Miałem więc sporo czasu, żeby się z tym Tolkiem zapoznać, wymyślić go sobie, poszukać jego języka, mowy ciała, sposobu bycia.

Do roli trenowałem ze Stanisławem Tokarskim, słynnym polskim judoką, a ogromną swobodę na planie dał mi też Waśkowski, który bardzo we mnie wierzył, co dodawało mi skrzydeł. Wie pani, to jak w piłce nożnej; trener musi wierzyć w napastnika, inaczej napastnik przestanie mu strzelać gole.

Kiedy oglądałam ten film po raz pierwszy, uderzyło mnie, że Tolek jest z jednej strony zepsuty do szpiku kości, z drugiej zraniony, a z trzeciej: jest w nim taka nonszalancja, jakby nic nie miało dla niego znaczenia. Jak się pan poczuł, kiedy zobaczył pan siebie w tym wydaniu po raz pierwszy na ekranie?
– Nie przepadam za oglądaniem siebie na ekranie, bo zawsze znajdę powód, żeby się do siebie przyczepić. Pamiętam jednak, że wtedy, w 1978 r., kiedy widziałem „Nie zaznasz spokoju” po raz pierwszy, byłem zadowolony. W tym filmie nie ma żadnych przekleństw, mówimy językiem ulicy, którego licznych zasad przestrzegaliśmy. Patrzyłem na te sceny z satysfakcją, podobało mi się to, co udało nam się przy tym filmie osiągnąć.

Pana występ w „Nie zaznasz spokoju” odbił się w Polsce szerokim echem. Dostał pan nagrodę za główną rolę męską na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku.
– Pani myśli pewnie, że środowisko filmowe piało z zachwytu, a telefon nie przestawał dzwonić?

A nie było tak?
– Nie. Zapadła cisza. Nie kompletna, ale trochę było tak, jakby świat chciał mi powiedzieć: „Myślisz, że jesteś taki dobry, taki wybitny? To teraz posiedzisz sobie chwilę w kąciku, poczekasz. Sobie zobaczysz”. Jasne, wystąpiłem w „Olimpiadzie 40”: to monumentalny historyczny projekt o igrzyskach, które odbyły się w obozie jenieckim dla podoficerów, czyli stalagu.

Film został nagrodzony na światowych festiwalach, m.in. w Karlowych Warach, a także był wówczas polskim kandydatem do Oscara i wraz z reżyserem Andrzejem Kotkowskim jeździliśmy w ramach promocji po świecie. Andrzej wyreżyserował także m.in. cudny kostiumowy film „Spokojne lata” ze mną w jednej z głównych ról. Zagrałem też w filmie z nurtu kina moralnego niepokoju, „King Fu” Janusza Kijowskiego, znowu buntownika, tym razem licealistę, w obsadzie byli również m.in. Andrzej Seweryn, Daniel Olbrychski i Piotrek Fronczewski.

Miałem wrażenie jednak, że nikt mnie po tej roli w „Nie zaznasz spokoju” nie chce dźwignąć. Usłyszałem kiedyś, że Tolek to największy twardziel w polskim kinie. Fajnie, tyle że nic z tego nie wynikało. A przynajmniej: nie wynikało dla mnie. Staram się o tym nie myśleć, zamiatam pod dywan.

Dlatego pan wyjechał do Stanów na początku lat 80.?
– Jeździłem tam już wcześniej, do przyjaciół: Leszka i Eli. Pierwszy raz pojechałem po zakończeniu zdjęć do „Nie zaznasz spokoju”, jakimś cudem dostałem paszport, a potem wyjeżdżałem regularnie na wakacje. Widać według władz moja wartość dla społeczeństwa była zerowa i nie stanowiłem zagrożenia dla systemu. Zawsze wracałem przed upływem ważności wizy, więc potem znów dostawałem pozwolenie.

W Polsce było wtedy nieciekawie, ponuro, jeździłem, żeby złapać trochę wiatru w żagle. Podczas jednego z wyjazdów zastał mnie tam stan wojenny. Byłem wtedy u mojego przyjaciela Leszka, w miejscowości Aurora w stanie Nowy Jork, przepięknej zresztą. Na polskich ulicach czołgi, pachnie wojną, w Polsce aktorzy strajkują, nie ma pracy. Zostałem, uznałem, że spróbuję. Poleciałem do Los Angeles, wysiadłem na lotnisku, miałem przy sobie jakieś 100 dolarów. Wie pani, co sobie pomyślałem?

Co?
– Jakoś to będzie.

I było? Wystąpił pan w kilku hollywoodzkich filmach, m.in. „Czerwonym świcie”, kultowym „Polowaniu na Czerwony Październik”, współpracował pan też z Jerzym Skolimowskim.
– Trzeba było pracować i zarabiać na siebie, opłacać rachunki.

Jakoś bez entuzjazmu pan to mówi. Żałuje pan wyjazdu do Stanów?
– Głupio byłoby żałować ważnej części swojego życia. Ale było to na pewno doświadczenie znacznie poszerzające perspektywę i moje rozumienie świata.

W filozofii ważne są odpowiedzi na trzy pytania:

Kim jestem?

Dlaczego jestem?

Dlaczego jestem tutaj?

Kiedy siedzi się w jednym miejscu, trudno znaleźć na nie odpowiedzi, jakieś punkty odniesienia. Wtedy, w 1981 r., wyjąłem się nieświadomie sam ze strefy komfortu, jak się teraz ładnie mówi. Nie wyjechałem dlatego, że było mi źle. Chciałem po prostu zobaczyć, że ludzie żyją inaczej. Nie pojechałem do Stanów, żeby przed czymś uciekać, i na pewno nie miałem planu, żeby tam zostać. Dopiero kiedy wybuchł stan wojenny, musiałem podjąć decyzję.

A tam przeszedłem kryzys tożsamości. Bo tu, w Polsce, byłem Krzysztofem Janczarem. Wszyscy wiedzą, kim jest mój tata Tadeusz. „Piątka z ulicy Barskiej”, „Kanał”. Ja grałem w „Wojnie domowej”, siedzę z panią, a pani wie, co to za serial. Wie pani, że skończyłem Filmówkę w Łodzi i że to dobrze. A tam? Miałem poczucie, że jestem kimś, kto właściwie nie istnieje.

Ja przeglądam się w pani oczach, w oczach innych ludzi, którym znane są konteksty. W USA zrozumiałem, że istniejemy tylko w relacjach z innymi. Można próbować konstruować siebie na nowo, ale ja nie potrafiłem tego zrobić. A nawet gdyby mi się udało, czy byłbym wtedy szczęśliwy? Teraz jestem w swojej przestrzeni, jestem z tego zadowolony. Cieszę się, że mogę z panią rozmawiać, że jestem w dobrej formie, że tyle grałem, ciągle gram i jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę grał nadal.

Wrócił pan na początku lat 90. Trudno było znów pracować w Polsce?
– Szczególny był to powrót. Impuls wyszedł od Jerzego Skolimowskiego, który realizował akurat w Polsce „Ferdydurke”, zaprosił mnie do udziału w tym filmie, bo sprawdziłem się wcześniej w jego wspaniałym, kręconym we Włoszech filmie kostiumowym „Wiosenne wody”, w którym byłem filmowym narzeczonym Valerii Golino. Tą rolą Jerzy mnie obdarował, a potem dał mi właśnie „Ferdydurke”.

Do Warszawy przyleciałem w piątek, a w poniedziałek zaczynały się zdjęcia, plan był w Hali Gwardii, tam na potrzeby sceny stworzono korty tenisowe.

Siedzę tam na trybunach kortu między Tadeuszem Łomnickim a Beatą Tyszkiewicz – teraz, nawet jak to opowiadam, to mam ciarki – i myślę sobie: O czym można marzyć bardziej na studiach aktorskich? Żeby zagrać u kogo? U Wajdy, Polańskiego albo właśnie Skolimowskiego. Z kim? Tadeuszem Łomnickim, Beatą Tyszkiewicz. Zrozumiałem wtedy, że tu jest moje miejsce.

To była odpowiedź na wiele pytań. Spakowałem się, wróciłem jeszcze do Stanów, żeby pozamykać parę spraw. No i potem się zaczęło.

Co na przykład?
– Zacząłem znowu grać w Polsce.

Wystąpiłem w kilku fajnych spektaklach Teatru Telewizji, zacząłem znów grać w serialach, m.in. „Samo życie”, „Dwie strony medalu” i wreszcie „Klan”, w którym jestem od 2010 r., choć internet podaje, że od roku 2012. No i ostatnio „Przyjaciółki”, te dwie produkcje trzymają w formie.

A „Klan” to ewenement na skalę światową, serial emitowany od ponad ćwierć wieku, moim zdaniem wielkie osiągnięcie telewizyjne. Nasza rodzina Kazuniów w „Klanie” wciąż się rozwija: mamy teraz nowy dom, piękny, z dużym leśnym ogrodem. Mam w tym serialu trójkę wnuków, Małgosia Sadowska gra moją żonę, Heniutkę, Konrad Darocha mojego syna, a żoną jego jest w serialu Agnieszka Kaczorowska.

A nie tęskni pan za dużym ekranem?
– Czasami tęsknię. Ale gram też przecież w filmach, np. niedawno w „Polowaniu” Pawła Chmielewskiego, a wcześniej w „Rezerwacie” i filmie „Bogowie” Łukasza Palkowskiego. Fajnie by było znowu zmierzyć się z główną rolą, budowaniem jej i dźwiganiem poczucia odpowiedzialności za projekt.

Chętnie bym się znowu zanurzył w procesie twórczym i lepieniu bohatera, szukaniu niuansów postaci. To jest prawdziwa przyjemność, wręcz organiczna.

Z radością bym znów zagrał coś, co pozwoliłoby mi na wykrzesanie z siebie tej nonszalancji, o której pani wspomniała przy okazji „Nie zaznasz spokoju”. Albo coś przekraczającego granice, jak np. rolę w stylu Hannibala Lectera.

Bardzo panu tego życzę.
– A ja życzę wszystkim szczęścia. I sobie również. ●

Krzysztof Janczar

• Rocznik 1950, aktor filmowy i teatralny, syn aktora Tadeusza Janczara. Zadebiutował w serialu „Wojna domowa” (1965-66), w którym wcielał się w zbuntowanego Pawełka. W 1978 r. wystąpił w nagradzanej głównej roli w filmie „Nie zaznasz spokoju” Mieczysława Waśkowskiego, przez niemal dekadę mieszkał i grał też w Stanach Zjednoczonych m.in w „Polowaniu na Czerwony Październik” z Seanem Connerym. Od 2010 r. występuje w serialu „Klan”, na koncie ma blisko pół setki ról filmowych i telewizyjnych.

eprasa.pl 1f82165fe2

Pijana lecz ważna. „Matka” w Teatrze Polonia

Czy to nienormalne, że widzę RP w pijanej, tragicznie wielkiej, majestatycznie i karykaturalnie czarnej matce, złorzeczącej synowi, który – bez przeproszenia – kurwi się w całym uduchowieniu, jakie wydobywa z niego własna próżność i próżnia?

Jarosław Mikołajewski

• **„Matka”, adaptacja dramatu Witkacego z Krystyną Jandą w roli głównej, będzie wystawiana w Teatrze Polonia także w czasie wakacji** FOT. ROBERT JAWORSKI/TEATR POLONIA

Siedzę w Teatrze Polonia, czekam na „Matkę” Witkacego w reżyserii Waldemara Zawodzińskiego. Precyzyjnie mówiąc, dzieje się to na premierze 6 czerwca, już po wyborach. Wreszcie jest. W czerni, w jaką mogłaby być ubrana sceniczna Medea, Elektra, Antygona... Któraś z wielkich, żałobnych, tragicznych postaci antyku.

Starożytna, archaiczna, odwieczna matka – sugestywna i potężna jak chmura gradowa Krystyna Janda – pije wódkę. Wokół stołu krąży gderliwa służąca (Małgorzata Rożniatowska). Usługuje, polewa wódkę, zrzędzi. Matka złorzeczy na syna, na jego marność, ale go kocha na zabój.

Syn obraża matkę, a matka przytula syna

Wreszcie pojawia się on – Leon. Syn (Tomasz Tyndyk). I zaczyna gadać. Plugawi matkę, przeprasza, znów plugawi, przeprasza, obraża i się przytula, odtrąca i szuka pieszczoty. On też kocha matkę, miłością równie pijaną, zależną. Samolubną i egotyczną. Gada coś o swoich wielkich ideach, o których nie ma nic do powiedzenia, których nikt nie rozumie – jak to w życiu. Jak w sztuce. Jak niejaki Hjalmar Ekdal w „Dzikiej kaczce” Ibsena. Jak profesor (dobre sobie) Sieriebriakow w „Wujaszku Wani” Czechowa. Jak miliony zadufanych w sobie, nieszczęśliwych głupków, których największym szczęściem jest znaleźć ofiarę, czyli wyznawcę żyjącego w szczerym lub udawanym zachwycie dla rzeczywistego miernoty.

Matka – jak skała w swoim świadomym, choć monstrualnie uległym macierzyństwie – toleruje wybuchy megalomanii Leona i jego życiowe posunięcia. Skazuje się tym samym na przykrą dla siebie obecność dziewczyny Leona, która staje się jego żoną (Agnieszka Skrzypczak), jej upiornego ojca (Jarosław Boberek), oszukanej kochanki (znakomita Katarzyna Gniewkowska).

Jednak małość syna lepsza od jego wielkości

Matka jest figurą wielką jak odwieczna góra. Z wysokości tego, kim jest (tu aktorska wielkość Krystyny Jandy doskonale koresponduje z ogromem matki jako postaci), bohaterka patrzy na świat wokół siebie z rozpaczą świadomą tego, że tak musi już być. Matka przytłacza syna przez to, że jest matką, syn budzi obrzydzenie i litość matki przez to, jaki jest. Zresztą – jak uczą inne nasze przygody z kulturą – gdyby syn okazał się naprawdę wielki, musiałby zginąć. Matka więc pewnie nawet woli małość syna, który jakoś przetrwa (bo to ona – góra – osobiście go chroni), od potencjalnej wielkości. Woli jego marność, nad którą łatwiej zapanować jej zaborczej miłości mimo wszystko i ponad wszystkim.

Wreszcie matka umiera. Syn wchodzi w jej rzeczywistość pośmiertną, gdzie wszystko jest pogodzone, słoneczne. Pogodna jest nawet jej pamięć o mężu (czyli ojcu Leona), który – awanturnik i wiarołomca stracony w Brazylii (Bartosz Waga, zaskakująco ciekawy jak na aktora, o którym nawet nie słyszałem) – przynajmniej był nie żaden, lecz jakiś, miał w sobie powabną cechę, powraca w hollywoodzkiej aurze.

Cierpliwości tu potrzeba

Rozpisuję „Matkę” Zawodzińskiego pobieżnie, lecz drobiazgowo, żeby pokonać poczucie niezrozumienia, z którym – jak słyszałem po przedstawieniu – publiczność wychodzi często ze spektaklu. Zachęcić do bardzo opłacalnej wizyty w teatrze wbrew tej pozornej niezrozumiałości.

Bo (zgodnie z planem Witkacego) nie ma tu nic do zrozumienia. Trzeba patrzeć, słuchać, przyswajać, i czekać, aż samo się scali. Bo każdy prawie ma kogoś takiego jak matka, każdemu ciąży jej miłość i miłosna obsesja. Wiele matek (bo przecież nie wszystkie) ma syna, który upaja się sobą, zagubionego w nicości, spragnionego jakiejkolwiek cechy, choćby negatywnej, ułamka czarnej legendy domowej przeklętego ojca.

Jeżeli więc zachowamy cierpliwość i (my, naród) nie odrzucimy „Matki” za to, że niezrozumiała, czegoś przecież dowiemy się także o nas z dramatu Witkacego, podanego w równej, dobrej lub wybitnej grze aktorskiej.

Patrzcie na synów pajaców

Czy zdziwi się ktoś jeśli powiem, że 6 czerwca w Teatrze Polonia zrozumiałem coś nie tylko z własnego synostwa, z własnej megalomanii, lecz także z Polski, jaką jest dziś, po wyborach? Czy to nienormalne, że widzę RP w pijanej, tragicznie wielkiej, majestatycznie i karykaturalnie czarnej matce, złorzeczącej synowi, który – bez przeproszenia – kurwi się w całym uduchowieniu, jakie wydobywa z niego własna próżność i próżnia?

Popatrzmy na jej synów pajaców, którzy przekrzykują się w dążeniu do instytucjonalnego usankcjonowania swojej domniemanej jakości, rzeczywistej mierności. Przyjrzyjmy się sobie, niewydarzonym dzieciom, które nie mogą znieść, żeby mówiło się dobrze o nieprzeciętnej kanalii, jaką jest nasz ojciec, ktoś lepszy lub przynajmniej bardziej wyrazisty od nas.

Oglądałem „Matkę” uważnie, w całej rozsypce emocji, idei, bezidei, i czuję, jak komponują się we mnie w coś bardzo wspólnego. Jak sceniczne postaci dostają we mnie twarze konkretnych kreatur, które w publicznej przestrzeni robią to albo owo.

Aktorów społecznej sceny, którzy małpują ostatnie autorytety, oszustów w przebraniu mężów stanu, megalomanów poszukujących nowej sceny dla nieznośnych już sololokwiów, faszystów udawanych i nieudawanych (których nie kompromituje społecznie, tylko wywyższa etykieta faszysty), wymuskanych bandziorów, historyków i prawników studiujących rzetelnie tylko na tyle, na ile może im się to przydać, kłamliwych i służalczych kronikarzy chaosu, powierzchownych erudytów, dla których doktorski czy profesorski tytuł nie jest zobowiązaniem, tylko alibi, i tak dalej, i tak szalej, i tak malej i malej i malej...

Idźcie na „Matkę”. Matka jest aktualnie pijana, lecz ważna. ●

Śródtytuły od redakcji

REKLAMA Kraj/34379733

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

ADAMMICHNIK POLECA

Księża Hitlera Historie nie do przyjęcia

ZGRZESZYLIŚMY CIĘŻKO PRZECIW FÜHRERÓWI

• **Norymberga wrzesień 1934. Hitler wita protestanckiego arcybiskupa Norymbergi Ludwiga Müllera na kongresie NSDAP. Między nimi stoi opat Albanus Schachleiter** FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Niemiecki kapłan popierający Hitlera: „Chrześcijanin musi być antysemitą”

Tomasz Polak*

Napisana przez Kevina P. Spicera książka „Księża Hitlera. Kler katolicki i narodowy socjalizm” jest jak trzęsienie ziemi. Jak wstrząs, który ma swoje centrum, ale rozchodzi się falą w coraz szersze kręgi. Jej autor to amerykański historyk i teolog, ksiądz katolicki, badacz relacji między Kościołem rzymskokatolickim a państwem niemieckim w okresie nazizmu.

Na początek uwaga zasadnicza: demoralizacja „księży Hitlera” przedstawionych przez Spicera, podobnie jak charakteryzująca ich anomia (czyli rozpad norm społecznych), nie była zjawiskiem ograniczonym i zlokalizowanym, ale najbardziej dobitnym wyrazem szerszego kompleksu kościelnego samozadowolenia i związanej z nim hipokryzji.

Użyję tu adekwatnego słowa niemieckiego: to była Rechthaberei – czyli wola przedstawienia własnego punktu widzenia wbrew wszystkim innym i obstawanie przy swoim zdaniu, nawet jeśli udowodniono już coś przeciwnego. To jest zjawisko związane skądinąd z supremacją systemów uniwersalnych, takich, których celem jest ustalanie warunków życia dla wszystkich – także dla tych, którzy z natury albo z własnego wyboru do systemu nie należą. Katolicyzm jest niewątpliwie takim właśnie systemem uniwersalnym.

Zgodnie z ideą Emila Durkheima anomia to niedopasowanie, a nie po prostu brak norm. Tak więc społeczeństwo obarczone nadmierną sztywnością i małą indywidualną uznaniowością może wytworzyć pewien rodzaj anomii.

Durkheim powiązał anomię z wpływem braku norm lub z normami, które były zbyt sztywne. Beznormowość lub sztywność norm jest według niego przejawem anomii. Wynika ona z braku odpowiedniej adaptacji, która umożliwiałaby normom naturalną ewolucję albo ku opracowaniu nowych norm tam, gdzie ich dotąd nie było, albo ku zmianie norm, które stały się zbyt sztywne i przestarzałe.

Żeby uprzytomnić sobie charakter takiego procesu, wystarczy pomyśleć o współczesnym tradycjonalistycznym katolicyzmie, niezdolnym do naturalnego rozwoju, a zamiast tego powielającym schematy z przeszłości – i to przeszłości stosunkowo niedawnej, najczęściej tej sprzed niecałego stulecia.

Jeżeli jednostka izoluje się od wspólnoty, to dlatego, że więzy łączące ją z innymi ulegają rozluźnieniu lub zerwaniu, bo społeczeństwo nie jest wystarczająco zintegrowane w punktach, w których jest z ową jednostką w kontakcie. Takie luki między jedną a drugą indywidualną świadomością, oddalające je od siebie, są przejawami osłabienia tkanki społecznej.

W każdej opisanej przez Spicera historii „księdza Hitlera” obserwujemy jego swoiste „wsiąkanie” w beznormowość i anomię. Księża, którzy z racji swojego duchownego stanu cieszyli się szeroko aprobowanym autorytetem, od momentu, w którym swoje losy, wyobrażenia i działania związali z partią Hitlera (niektórzy już od początku lat 20., czyli zaraz po tzw. puczu monachijskim), umieścili ów autorytet w nowym, nazistowskim kontekście. Co znamienne, ani im, ani ich przełożonym, ani ich parafianom nie wydawało się to niemożliwe czy nie do przyjęcia. To także diagnoza stanu mentalnego katolicyzmu niemieckiego w pierwszych dekadach XX wieku.

•

Spicer ustalił nazwiska i dane biograficzne 138 księży, którzy w znaczącym stopniu związali się z reżimem Hitlera. Historie kilkunastu z nich opisał dokładnie i szczegółowo – minuziös, żeby raz jeszcze użyć adekwatnego niemieckiego słowa. To sonda zapuszczona w mroczne wnętrzności systemu nazistowskiego, a zarazem w nie mniej mroczne zakątki niemieckiego katolicyzmu w tamtym czasie. Musimy przyjąć te historie, bo są prawdziwe i dobrze udokumentowane.

Zarazem jednak są to historie NIE DO PRZYJĘCIA – ze względu na czającą się w nich grozę. „Księża Hitlera” pokazali, do czego zdolne są fanatyczny nazizm i fanatyczny katolicyzm. Dodam tu: fanatyczny katolicyzm, który bynajmniej nie zniknął ani nie odszedł w niepamięć, nawet jeśli dziś nie kojarzy się już z morderczym reżimem nazistów. Mam na myśli także fanatyczne odłamy dzisiejszego katolicyzmu w Polsce.

Kiedy wczytujemy się w przypadki księży najbardziej zaangażowanych w popieranie reżimu Hitlera i współpracę z nim (niektórzy z nich byli osobiście zaprzyjaźnieni z Führerem), odkrywamy logikę ich postępowania zakorzenioną w niemieckiej mentalności kościelnej końca XIX wieku i pierwszych dekad XX stulecia.

Jej najważniejsze elementy to jawny lub podskórny (ale i w tym wypadku silny) antysemityzm, „misyjne” przekonanie o cywilizacyjnej wyższości Niemiec i Niemców, brak krytycznej analizy własnego postępowania w świetle kryteriów moralnych, a w latach 30., po dojściu Hitlera do władzy, właśnie szybko narastająca anomia. Współodpowiedzialne za te zjawiska było surowe i sztywne wychowanie na przełomie XIX i XX wieku – zarówno katolickie, jak i protestanckie.

Niemiecki system nazistowski spełniał wszystkie istotne cechy strukturalne ideologicznego fantazmatu społecznego (czyli zamkniętej narracji całościowo objaśniającej świat). Skuteczność procesów świadomościowych, ujętych w wielką narodową narrację, działających w obrębie tego projektu ideologicznego – totalnego, o wielkiej dynamice politycznej, militarnej, ekonomicznej i kulturowej – do dziś budzi zadziwienie, a mimo to rzecz nie doczekała się analizy scalonej i jednocześnie przekraczającej niewystarczające klasyczne ujęcia historiograficzne, np. w kierunku psychologii społecznej czy antropologii kulturowej ówczesnej społeczności niemieckiej.

Owo zadziwienie, źródło wielkokwantyfikatorowego pytania: „Jak to w ogóle było możliwe?”, oczekuje czegoś więcej, niż dostarczyć mogą klasyczne ujęcia genetyczne czy procesowe, jest zadziwieniem przede wszystkim totalną skutecznością grupowego scenariusza wyobrażeniowego, którego treścią było należne zwycięstwo narodu niemieckiego nad krzywdzącymi go, bo uniemożliwiającymi mu pełny rozwój narodami sąsiednimi (por. Beata Anna Polak, Tomasz Polak, „Fantazmaty wokół Szoa”, w: ci sami, „Porzucić etyczną arogancję”, Poznań 2011).

To właśnie zadziwienie pchnęło historyka Petera Fritzschego do próby odtworzenia zrębów tej narracji, jak i jej struktury, w pracy „Życie i śmierć w Trzeciej Rzeszy” (przeł. Tomasz Tesznar, Kraków 2010). Struktura ta i działające w jej obrębie mechanizmy

eprasa.pl 1f82165fe2

są właśnie tym, co Fritzsche nazywa działaniem „wielkiej narracji narodu niemieckiego" odnoszącej się nie tylko do nazizmu zasadniczego, ale także do jego późniejszych usprawiedliwień.

Odnawiające się w Niemczech regularnie problemy z recepcją tamtych wydarzeń są nadal neutralizowane przez brak adekwatnego dostępu do tej narracji, co warte jest osobnej pogłębionej analizy, bo stanowi przykład działania czynników ogólniejszej natury.

Dokonując analizy tła powstawania anomalnej i anomicznej dynamiki społeczeństwa nazistowskiego, Frietzsche słusznie zwraca uwagę na zasadniczy, bo ontologiczno-systemowy wymiar procesów, które w owym tle rozpoznajemy. Wychodzi od tezy, że osiągnięcie tak ogromnej skali rozbudowy systemu ideowego, a tym nazizm bez wątpienia był, wymagało zaangażowania całościowego, czyli stworzenia totalnej narracji, zdolnej pomieścić w sobie nie tylko treści dotyczące celów działania owego systemu, ale także wszystkie poziomy usprawiedliwień względem stosowanych narzędzi, w tym usprawiedliwienia biegunowych przełamań dotychczasowej etyki społecznej – także religijnej.

Fritzsche bada więc komponenty wspomnianej narracji, starając się dociec jej najbardziej subtelnych powiązań treściowych, i podejmuje się próby ich interpretacji psychologiczno-społecznej. Efektem jest odtworzenie struktury i szczegółów tej narracji oraz wykazanie, na jakich poziomach psychologiczno-mentalnych ona bazowała, jakimi kanałami przedostawała się do społecznego mentale [myślenia], zwrotnie je modelując i przełamując kolejne bariery etyczne, bariery – zdawałoby się – nie do przełamania w nowoczesnym cywilizowanym społeczeństwie.

Obraz odtworzony przez Fritzschego pokazuje, do jakiego stopnia fantazmat społeczny (bo tym jest właśnie uruchomiona przez nazizm narracja społecznościowa) jest produktem przerażająco możliwym i skutecznym. A jest możliwy dlatego, że zajmuje miejsce swoistej „duchowości" społecznej. Jest tym, co nadaje sens istnieniu wspólnoty treści, wspólnoty celów i akceptowanych wspólnie narzędzi do osiągania tych celów.

Skuteczność nazistowskiego fantazmatu polegała właśnie na tym, że zdolny był wypracować narrację sięgającą poziomów ontycznych, czyli usensowniającą całościowo, odnoszącą się do wszystkich wymiarów egzystencji wspólnoty („Fantazmaty wokół Szoa").

Odwołuję się do Fritzschego, bo charakteryzuje on bardzo dobrze mentalne, emocjonalne, a zarazem ewidentnie psychotyczne środowisko, w którym rozwijały się poglądy i zachowania „księży Hitlera". „Uruchomiona przez nazizm (...) narracja społecznościowa jest produktem przerażająco możliwym i skutecznym". Trudno nie dostrzec w tym objaśnienia źródeł i konsekwencji zachowań duchownych, bohaterów książki Spicera.

Pisze on: „Chrześcijański antysemityzm, drzemiący w ich kapłańskiej tożsamości, stał się zatrutym ziarnem, którym miał się karmić ich rasowy, nihilistyczny światopogląd narodowo-socjalistyczny".

●

Spróbuję to dodatkowo objaśnić przez przypomnienie niezwykłej historii Daniela Paula Schrebera (1842-1911), autora „Pamiętników nerwowo chorego wraz z suplementami i aneksem dotyczącym kwestii, w jakich warunkach osobę uznaną za psychicznie chorą można trzymać w zakładzie leczniczym wbrew jej zadeklarowanej woli" (przeł. Renata Darda-Stabb, Kraków 2006).

Schreber, prawnik i sędzia w Lipsku, przeszedł trzy epizody choroby psychicznej – różnie diagnozowane – by w końcu utrwalić swoje wspomnienia w owych pamiętnikach. Stały się one przedmiotem wielu analiz i komentarzy do losów tego „najsłynniejszego pacjenta psychiatrycznego".

Tu odnoszę się do nich ze względu na obecne w nich silne odniesienia antysemickie, które jednak nie budziły zainteresowania ani tym bardziej niepokoju jego współczesnych – bo taki antysemityzm był składową powszechnej wówczas w Niemczech mentalności. Pamiętniki Schrebera można jednak potraktować jako swego rodzaju proroczą prehistorię antysemityzmu niemieckiego w okresie Wielkiej Wojny i w latach po niej następujących. Schreber w swojej wrażliwości stał się zatem sygnalizatorem nadchodzącego szaleństwa. Oto wgląd w jego sposób myślenia:

„Niemcy byli w ostatnich czasach (prawdopodobnie od Reformacji, a może nawet już od Wędrówki Ludów) narodem wybranym Boga, którego językiem przeważnie się Bóg posługiwał. Wybranymi narodami Boga byli w tym sensie kolejno w historii – jako za każdym razem najbardziej poprawni moralnie – starożytni Żydzi, starożytni Persowie (...), »Greko-Rzymianie« (być może w czasach rzymsko-greckiej starożytności, prawdopodobnie jednak także jako »Frankowie« za czasów wypraw krzyżowych) i wreszcie Niemcy.

Niestety, także naród niemiecki jest zagrożony – najpierw ze strony katolicyzmu: mnie samego atakowały z reguły dusze katolików (od katolików szeregowych, po kardynałów, biskupów i samego papieża). Wśród nich był ochrzczony Żyd, który chciał zesłowianić Niemców i jednocześnie ugruntować panowanie żydostwa.

Z powodu tego konfliktu (...) doszło do zamieszania między prowincjami bożymi i zachwiane zostało wybraństwo Niemiec. Być może Niemcy zostaną nawet odsunięci od zasiedlania innych planet, o ile jakiś mąż stanu nie zatroszczy się o naród. Tym mężem może być on sam Schreber – generalnie jego zadaniem będzie zatrzymanie ekspansji katolicyzmu, żydostwa i słowiańskości. Schreber doświadczył wędrówki dusz – był nawet księciem mongolskim, co zdaje się być aluzją do szukania pomocy u ludów niearyjskich, bo aryjskie zawiodły" („Pamiętniki nerwowo chorego...").

Pamiętniki zostały opublikowane w 1893 r. Wedle Eliasa Canettiego idee Schrebera zostały wcielone w życie przez nazizm, zatem miał on swój nieświadomy wkład w jego rozwój. Ten wkład stał się zarzewiem wielu dzisiejszych interpretacji pamiętników Schrebera i analiz związanych z ich funkcjonowaniem podejmowanych w różnych obszarach humanistyki, psychologii i psychiatrii.

Nienawiść do innych narodów jako mas – to jeden z jego punktów zainteresowania, wybraństwo niemieckie – drugi, polityczność systemu – trzeci.

Kolejnym punktem interpretacji jest wymieszanie aspektów religijnego i politycznego – zbawca i władca świata to jedno. Paranoja jest chorobą władzy, a analiza tej choroby daje niezwykły wgląd w naturę, w mechanizmy żądzy władzy i idącej za nią paranoi politycznej. Jedni paranoicy zostaną zdiagnozowani i będą podlegali leczeniu, inni sięgną po realną władzę. Do tej ostatniej grupy należał niewątpliwie Adolf Hitler. Stąd moje przywołanie Schrebera jako swoistego proroka Hitlera.

●

Warto w tym kontekście sięgnąć do poruszającej książki Gregora Ziemera „Jak wychować nazistę" (Znak, Kraków 2021). We wprowadzeniu do tej książki Bogdan de Barbaro napisał:

„Nieraz zdarza nam się oglądać archiwalne fotografie, na których tłum ludzi stoi z wyciągniętymi rękami w geście Heil Hitler. I zastanawiamy się, jak to było możliwe, że miliony Niemców tak posłusznie, tak dobrowolnie uwierzyło komuś, kto wprost i bez ogródek namawiał do zbrodni, a jego ideologia w końcu doprowadziła do kataklizmu II wojny światowej. I jak to możliwe, że ten gest, owo świadectwo »jedności i posłuszeństwa wobec wodza« było składane nie tylko przez nazistowskich aparatczyków, ale także przez dzieci i młodzież. A na twarzach tych nastolatków widzimy fanatyczne uwielbienie dla wodza, bogobojny zachwyt i euforię wspólnoty" („Wstęp do dokumentu, który pokazuje, jak można człowieka pozbawić wolności wewnętrznej, przekonać do zabijania Innych, a on pozostaje radosny i szczęśliwy").

Gregor Athalwin Ziemer, żyjący w latach 1899-1982, a w latach 1928-39 dyrektor Szkoły Amerykańskiej w Berlinie, dzięki pewnemu zbiegowi okoliczności zyskał możliwość poznania tamtejszego, obowiązującego w całych Niemczech systemu edukacyjnego. Jego reportaż napisany blisko sto lat temu pokazuje, co działo się wówczas w umysłach młodych Niemców i jakie były metody nazistowskiego prania mózgu.

Czytając tę książkę, konfrontujemy się z niezwykle współcześnie i boleśnie brzmiącymi pytaniami: Czy w procesie wychowawczym osoby odpowiedzialne za system wartości młodego człowieka kładą nacisk na otwartość wobec różnorodności świata, czy odwrotnie: zniechęcają do tego, co Inne? Czy zachęcają do zaciekawienia i twórczej niepewności, czy odwrotnie: przedstawiają uproszczony, doktrynalny i zero-jedynkowy obraz świata? Czy tworzą warunki do relacji empatycznych, czy odwrotnie: poprzez wskazywanie kozła ofiarnego nagradzają postawy agresywne, wykluczające?

W zależności od tego, jaki styl pedagogiczny przyjmują wychowawcy, tacy będą ich wychowankowie: otwarci, twórczy, życzliwie zaciekawieni tym, co Inne, lub fanatycznie zamknięci we własnych wyobrażeniach i skłonni do agresywnego ataku na to, co pozostaje w niezgodzie z ich wizją świata. Innymi słowy: wychowanie ku miłości czy ku nienawiści? Wychowanie ku życiu czy ku śmierci?

Ziemer, wiarygodny świadek budzonego w niemieckich duszach nazizmu, opisuje nieomal beznamiętnie to, co się działo i jak wyglądało zło wychowawcze w Niemczech lat 30. ubiegłego wieku. Opisuje, jak i za pomocą jakich mechanizmów owo zło mogło się aż tak rozprzestrzeniać. Na przykład poprzez przekaz propagandowy polegający na prostych kłamstwach. Albo poprzez wskazywanie „podstępnych wrogów" jako przyczyny wszelkiego nieszczęścia. W hitlerowskich Niemczech wrogami byli Żydzi, osoby homoseksualne oraz osoby odmiennych narodowości.

Jeśli zaś czytelnik zauważy wiele różnic między czasami, w których my żyjemy, rozgoszczeni w XXI wieku, a tym, co się działo w Niemczech w latach 30. XX wieku, niech przypomni sobie słynne doświadczenie z żabą, która wrzucona nagle do gorącej wody wyskoczy z niej natychmiast, ale gdy zostanie umieszczona w chłodnej wodzie, stopniowo doprowadzanej do wrzenia, da się ugotować.

> „Jako ksiądz katolicki cierpię nieopisanie z powodu wstydu, jaki katolicyzm przyniósł Führerowi i jego ruchowi"
>
> NIEMIECKI KSIĄDZ, ZWOLENNIK HITLERA

●

Oto niewielki wybór charakterystycznych wypowiedzi bohaterów książki Spicera rysujących perspektywę, w której oni się poruszają:

Bernhard Stempfle, „ksiądz Hitlera": „Chrześcijanin musi być antysemitą".

Kard. Michael von Faulhaber, arcybiskup Monachium i Fryzyngi, wybitny przywódca kościelny: „Wierzę, że każdy kapłan mający dostęp do gabinetów najwyższych dostojników Rzeszy nie zapomni z niemiecką szczerością wytknąć im tych antychrześcijańskich ruchów w naszej ojczyźnie".

Philipp Haeuser, „ksiądz Hitlera": „Żyd, dzięki swojemu sprytowi i bezwzględności i – niemal przykładowej – determinacji i konsekwencji podporządkował sobie prawie wszystkie narody i rządy, zmuszając je do niewolniczego posłuszeństwa". Tenże: „Eberle ocalił mnie w moim oddaniu dla Jezusa i Hitlera".

Richard Kleine, kolejny „ksiądz Hitlera": „Jako ksiądz katolicki cierpię nieopisanie z powodu wstydu, jaki katolicyzm przyniósł Führerowi i jego ruchowi, jak dotąd niczego w tym względzie nie naprawiwszy. (...) Zgrzeszyliśmy bardzo ciężko przeciwko naszemu Führerowi. A przecież Adolf Hitler jest zbawcą i wielką nadzieją naszego ludu (Volk). Jest łaskawym darem zesłanym nam z nieba".

Zatrzymam się na chwilę nad wypowiedzią kard. Faulhabera. To oczywiście nie był „ksiądz Hitlera". Ale i w cytowanych tu jego słowach widać splątanie krytycyzmu i zarazem szacunku wobec władzy. Szczerość ma być mianowicie „niemiecka", nawet jeśli chodzi o wytknięcie antychrześcijańskich ruchów nazistów. Warto to zauważyć, bo to jedna z cech, które zbudowały społeczną i polityczną sprawność i wojskową potęgę „nowych Niemiec".

Czy pozostałe cytaty odbiegają drastycznie od ostrożnego i dyplomatycznego tonu Faulhabera? Odpowiedź brzmi: nie. Są oczywiście dosadne i brutalne – jak ciosy pięścią w twarz – ale wyrastają z tego samego kompleksu niemiecko-katolickiego samozadowolenia i Rechthaberei.

●

Dziwne były losy „księży Hitlera" w ramach procesu denazyfikacji; większości z nich udało się w jego ramach oczyścić. Większość brunatnych księży nie odeszła też z kapłaństwa. Po wojnie w większości podjęli oni pracę duszpasterską. Nazbyt łatwe oczyszczenie wobec instancji denazyfikacyjnych, jak i wobec osądu instytucji kościelnych okazało się możliwe, bo uruchomiono specyficzną interpretację starożytnej instytucji azylu.

Kiedy krytycznie analizujemy metody ochrony osób winnych – w szczególności zaś wyższych duchownych, kiedy stają się oni winni ewidentnych przestępstw – dostrzegamy, że ochrona taka jest z zasady spontanicznie uruchamiana w ramach systemu kościelnego. Chodzi przy tym o ochronę nie tylko przed wymiarem sprawiedliwości świeckiej, ale także przed szybkim i skutecznym działaniem kościelnych procedur korekcyjnych czy tym bardziej kościelnego wymiaru sprawiedliwości.

Dotyczy to więc również immanentnych perwersji systemu kościelnego, który z jednej strony deklaruje najwyższe standardy moralne, z drugiej omija je wtedy, kiedy chodzi o jego kluczowych funkcjonariuszy i w związku z tym o jego publiczny wizerunek. Sięgam teraz po analizy, które przeprowadziłem w mojej pracy „System kościelny, czyli przewagi pana K" (Poznań 2020).

Perwersja systemu kościelnego nie jest nieograniczona, ale selektywna. Skala tolerancji przekroczeń rozkłada się w tym systemie według rozciągniętej krzywej Gaussa – w centrum objętym najwyższą tolerancją znajdują się ci, którzy ów system reprezentują, czyli wyżsi duchowni, przede wszyst- 1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

kim biskupi. Im dalej od tego centrum, tym tolerancja dla ewentualnych przekroczeń i wynikających z nich win jest niższa, choć nigdzie nie jest zerowa.

Ochrona taka jest najwyraźniej motywowana ideologicznie. Obecna zideologizowana zasada takiej ochrony wywodzi się z idei i instytucji azylu, która jako powszechnie akceptowana regulacja prawna praktycznie straciła znaczenie, ale przetrwała m.in. w postaci specyficznej części kościelnej świadomości i praktyki. Chodzi o odruchową interpretację wymierzania sprawiedliwości kościelnej jako NIEDOPUSZCZALNEGO przyznania, że struktury Kościoła nie są wolne od zła – i to mimo (skądinąd bardzo ograniczonych) kodeksowych reguł dotyczących przestępstw w rozumieniu prawa kanonicznego. W istocie chodzi tu więc raz jeszcze o ochronę wizerunku struktur kościelnych, która dopiero wtórnie przekłada się na ochronę kościelnych przestępców.

Jednak skutek okazuje się gorszy od przyczyny. Negatywny skutek takiego postępowania jest mianowicie podwójny: nie tylko tolerowane są (jak długo to możliwe) ewidentne naruszenia prawa i moralności przez „osoby kościelne”, ale dochodzą do tego również kolejne przestępstwa popełniane przez osoby i instytucje tolerujące lub wręcz kryjące owych kościelnych przestępców. Chodzi o ochronę, której w przestrzeni Kościoła może podlegać także osoba ewidentnie winna.

Mamy tu do czynienia z materializacją zasady tkwiącej głęboko w autodefinicji moralnej systemu kościelnego. Na powierzchni jest to zasada miłosierdzia także wobec największych przestępców uwzględniająca możliwość ich nawrócenia i wywodząca stąd uprawnienie do ich obrony przed „karzącą ręką sprawiedliwości”. Kiedy jednak przyjrzeć się tej zasadzie dokładniej, ujawnia się jej inna strona: zasada ta stała się pretekstem do ochrony klerykalnej składowej systemu kościelnego.

> „Nasz Führer jest łaskawym darem zesłanym nam z nieba”
>
> NIEMIECKI KSIĄDZ, ZWOLENNIK HITLERA

To właśnie klerykalizacja tego systemu zapoczątkowana przez reformy papieża Innocentego III na początku XIII wieku, pogłębiona po Soborze Trydenckim i doprowadzona konsekwentnie do końca w drugiej połowie stulecia XIX i w stuleciu XX, przeniosła centrum kościelnej świadomości azylu z miejsc takich jak katedry i sanktuaria na osoby, i to przede wszystkim albo nawet praktycznie wyłącznie na osoby duchowne.

Skutkiem tego przesunięcia jest ogromna zmiana w usytuowaniu „osób kościelnych” wobec standardowych reguł porządkujących życie publiczne. Najważniejszym elementem tej zmiany jest próba wyjęcia „ludzi Kościoła” spod jurysdykcji (a to znaczy konsekwentnie również spod oceny moralnej) systemów pozakościelnych. Wewnątrz systemu kościelnego udało się mianowicie zaimplementować przekonanie, że adekwatna ocena działań „ludzi Kościoła” możliwa jest wyłącznie zgodnie z regułami tegoż systemu, a więc wyłącznie za sprawą instancji samego Kościoła. Przekonanie to, choć z perspektywy obiektywnej i niezależnej oceny absurdalne, zostało w znacznym stopniu zaakceptowane także przez polityczne systemy niereligijne.

Akceptacja ta dewastuje możliwości krytycznego odnoszenia się do obecności w przestrzeni publicznej ludzi i instytucji Kościoła oraz prezentowanych przez nie zasad działania. Zauważmy, że jest to także dzisiejszy problem polski...

Kazimierz Przyszczypkowski, pedagog, profesor zajmujący się m.in. edukacją obywatelską, w przenikliwym eseju „Pedagoga pytania o kondycję ludzką i kondycję humanistyki w okaleczonym świecie” (w: „Uniwersytet. Otwarte przestrzenie dyskursów”, Poznań 2024) zwraca uwagę na powracające trudne pytania – o to, jak społeczności o wysokiej, a w ich własnym przekonaniu wręcz najwyższej kulturze, stały się zdolne do uwielbienia dla zbrodniarzy takich jak Hitler, Stalin, a obecnie Putin, i do czynnego podporządkowania się ich morderczym planom.

Autor pokazuje, że nie były i nie są to osobiste predyspozycje tych ludzi, że to nie okoliczności sprawiły, że do takiego okaleczenia człowieczeństwa dochodziło i nadal dochodzi. Okazuje się bowiem, że to system społeczno-polityczny, jego rodzaj i charakter naznaczają obraz człowieka i definiują kondycję ludzką. To system uwodzi, a przede wszystkim daje tym, którzy do niego należą – i to nieważne, czy z własnej woli, czy z przymusu – instytucjonalne wsparcie, zasoby, energię, które uruchamiają pozytywną identyfikację z owym systemem, uwalniając w ten sposób od wywoływanego przez ten sam system dysonansu poznawczego i dyskomfortu ontologicznego.

Uprawomocnienie systemu znajduje wyraz w jego ideologii, która staje się dla uczestniczących w takim systemie dobrem pożądanym. W ten sposób nie mają oni już problemów ze zdefiniowaniem własnej tożsamości. W ten też sposób system zawłaszcza energię takich osób poprzez ich (u)więzienie w jedynie obowiązującej narracji.

W narracjach systemów autorytarnych pojawiają się stwierdzenia o moralnym, ideologicznym czy światopoglądowym prawie do decydowania o kondycji ludzkiej nie tylko tych, którzy z własnego wyboru w takich systemach uczestniczą, ale i tych, którzy z natury lub z własnego wyboru sytuują się poza nimi.

To jest konkluzja. Nie oznacza ona bynajmniej próby usprawiedliwienia „księży Hitlera”, ale pokazuje, w co oni się uwikłali i w co moglibyśmy się uwikłać także my, gdybyśmy podobnie jak oni uwierzyli we własną rację i wynikającą z niej władzę nad Innymi. Książka Kevina P. Spicera pokazuje, że nikomu nie wolno takiej możliwości lekceważyć.

FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tomasz Polak

• (do 2008 r. Węcławski) Urodził się w 1952 r., teolog, filozof, pisarz. Były ksiądz katolicki, kapłaństwo porzucił w 2007 r. Wcześniej był m.in. rektorem seminarium duchownego w Poznaniu, dziekanem poznańskiego Papieskiego Wydziału Teologicznego, dziekanem Wydziału Teologicznego UAM, członkiem Międzynarodowej Komisji Teologicznej w Rzymie. Od 2006 r. kierownik Pracowni Pytań Granicznych UAM.
Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

Kevin P. Spicer, **„Księża Hitlera. Kler katolicki i narodowy socjalizm”,** przeł. Marek Chojnacki, wyd. słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2024

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

50 lat poety

Kazimierz Brakoniecki*

Widzenia znad Zalewu Wiślanego

Jesienny grudzień. Ujście Pasłęki. Nad kanałem
białe kwiatki rumianku i fioletowy oset.
Stacja meteorologiczna. Zwodzony most niebieski.
Przypomina ten van Gogha z Arles.
Niebieskie przęsło na tle szarości nieba.
Tamten żarliwy w czerwienie, żółcie i błękity.
Prowansalski skwar, bałtycka wilgoć
w oczekiwaniu na wzgardliwe mchy zimy.
Wysepka z ceglanym domem w opuszczeniu:
szmaty, rzeczy, butelki, torebki, śmietnisko.
Na kanale kutry i łódki. Jedna motorowa płynie,
czterech młodych mężczyzn. Wracają do portu.
Z połowu? Jest bezwietrznie, nieco mglisto,
proporczyki żeglarskie jak strzały z łuku widnokręgu.
Stajemy na falochronie. Sinej wody pluski.
Szuwary, trawy, krzewy, dacze i groble.

Na drugim kanale kaczki, dzikie gęsi,
kormoran na czatach, mistrz sztuki oddechu.
Straż celna, metalowe ogrodzenie, falochron
schodzi do wody zamaskowanym pyskiem smoka.
Widać grzbiet Mierzei Wiślanej, cienki i niejasny.
Z prawej Rosja, zasłona z trzcin, zadrzewiony cypel.
Ani widu, ani słychu. Koniec 2024 roku.
Niewypowiedziana jeszcze tu wojna.
Kryje się albo czai. Unika albo szydzi.
Wojsko wysłała na Ukrainę do podboju.
Krwawi posłańcy uwolnieni od wolności.
Uzbrojone rakiety erekcyjnie czekają
na jądrowy wytrysk pornografa wojny.

Nic nie przypomina tamtej ucieczki
z początku 45., kiedy wschodniopruscy Niemcy
ginęli pod bombami na zamarzniętym zalewie.
Leje pochłaniały konie, wozy, ludzi. Nie jest tu głęboko,
ale wystarczająco, żeby zginąć w lodowej otchłani.
Miałem przyjaciela, którego rodzice tędy wiali,
trwożliwie bacząc, czy nadlatują ruskie bombowce.
Do dziury wpadł zaprzęg, oni z kolejnego zeskoczyli.
Tak zakończyła się kolonizacja Prus zaczęta w XIII stuleciu.
Podobnie i nasza na wschodniosłowiańskie Kresy.
Estowie, Sambia, Prusowie, Jaćwingowie, Sarmacja.
Lud pozbawiony instynktu państwa przepada w chaosie.
Nie uratuje go język, jeśli wspólnota jest martwa.
Rozmawiamy o tym bez żalu, resentymentów, to historia.
Czy teraz my będziemy uciekać? Ale w którą stronę?
Na mityczny zachód przez morze? Znów zdradzą alianci?
Nic nie jest przesądzone. Po co się martwić na zapas.
Kończy się rok, nastanie kolejny, jak nie wierzyć
w powszechną powtarzalność. Nadziei, pokoju
czy złego przypadku i dziejowego fatum?

Wracamy: jachty, żaglówki, łódki, większość na brzegu.
Jedna ma nazwę: „Dziadek z babcią”. Po prostu letnisko,
czas wakacyjnych wypraw, rodzinnego odpoczynku.
Ostatni rzut oka na granicę, która drga ciemną wodą.
Czy niespokojnie? Pokój za wszelką cenę?
Mroczna strona nie tylko geografii.
Kilkadziesiąt metrów wodą, trzciną, skrzydłem ptasim.
I przepadasz. Tracisz tożsamość, poczucie sprawczości.
Wracamy. Zbiera się na deszcz. Pogoda nie kłamie.

NOWA PASŁĘKA, 26 XII 2024

FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Kazimierz Brakoniecki**, ur. w 1952 r. - poeta, pisarz, tłumacz, redaktor, animator kultury, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. Mieszka w Olsztynie. Za twórczość literacką otrzymał m.in. nagrodę im. S.B. Lindego miast partnerskich Torunia i Getyngi. Wiersz z nowej książki poetyckiej „Ostre Bardo”, która ukazuje się w 50. rocznicę debiutu autora („Nowy Wyraz” nr 4/1975).

eprasa.pl 1f82165fe2

Stalin wiecznie żywy

Reaktywacja DYKTATORA

Rada Bezpieczeństwa Federacji Rosji wydała niedawno książkę, której przesłanie jest takie: kto występuje przeciw specjalnej operacji wojskowej, kala pamięć wielkiej wojny ojczyźnianej.

Bartłomiej Gajos

17 czerwca 1941 roku ludowy komisarz bezpieczeństwa państwowego Wsiewołod Mierkurow skierował do Stalina i Mołotowa notatkę sporządzoną na podstawie doniesień agentów sowieckich mających dostęp do sztabu niemieckiego lotnictwa oraz ministerstwa gospodarki. Pisano w niej między innymi, że wszelkie przygotowania wojenne do napaści na ZSRR przez Niemcy zostały zakończone. Uderzenie mogło nastąpić w każdej chwili. Agent umieszczony w ministerstwie gospodarki donosił z kolei, że na niedawnym spotkaniu osób, które wkrótce miały się zająć zarządzaniem okupowanymi terytoriami ZSRR, wystąpił Alfred Rosenberg. Przyszły minister rzeszy do spraw okupowanych terytoriów wschodnich i jeden z kluczowych nazistowskich ideologów miał powiedzieć, że „nazwa Związek Sowiecki powinna zostać starta z mapy świata".

Gdy dzisiaj czytamy te słowa, trudno nie być pod wrażeniem skali i umiejętności sowieckiego wywiadu. Był całkiem dobrze poinformowany o planach Hitlera. Problem polegał na tym, że najważniejsza osoba w państwie sowieckim nie chciała go słuchać.

Na wspomnianym dokumencie zachował się emocjonalny dopisek przywódcy ZSRR: „Do towarzysza Mierkurowa. Może Pan wysłać swoje »źródło« ze sztabu niemieckiego lotnictwa do jebanej matki (w oryginale: *jebanoj materi*). To nie źródło, ale dezinformator".

Dzisiaj wiemy, że od momentu powstania tego komentarza do niemieckiego natarcia pozostało pięć dni. Przywódca ZSRR nie dowierzał coraz liczniejszym doniesieniom ostrzegającym, że wkrótce uważany przez niego za przewidywalnego partnera Hitler miał rozpętać piekło. Dlaczego?

Kuszące byłoby psychologizowanie – że wypierał, że nie mieściło mu się to w głowie, iż mógłby zostać tak ograny przez przywódcę nazistów. Należę do grupy tych, którzy dostrzegają w ruchach Stalina myśl strategiczną. Uważał, że agresja jest nieprawdopodobna, gdyż Hitler – nauczony doświadczeniem z I wojny światowej – nie będzie skłonny otwierać drugiego frontu, nie rozwiązawszy wcześniej sprawy z Wielką Brytanią. Nie tylko lekcja przeszłości, którą jego zdaniem odrobił przywódca Niemiec, skłaniała go do takich wniosków. W 1941 roku współpraca gospodarcza pomiędzy Berlinem a Moskwą kwitła.

eprasa.pl 1f82165fe2

Stalin się jednak pomylił. Popełnił największy błąd w swojej karierze dyktatora. Co gorsza, ten błąd mógł go kosztować życie i władzę. Armia Czerwona w pierwszych dniach wojny poniosła niewyobrażalne straty, z których otrząsnęła się de facto dopiero w lutym 1943 roku pod Stalingradem.

Nikita Chruszczow nie miał żadnych skrupułów, by z tej kompromitacji Stalina uczynić oręż polityczny. Jego referat „O kulcie jednostki i jego następstwach” wygłoszony w 1956 roku dotyczył – o czym się często zapomina – nie tylko stalinowskich represji wymierzonych w szlachetnych i dobrych kolegów partyjnych. Chruszczow oskarżył również Stalina o nieprzygotowanie Armii Czerwonej i całego państwa do największego wyzwania, przed jakim stanęli bolszewicy. I miał w tym sporo racji.

MILICJANT I CHEMIK PISZĄ HISTORIĘ

Przenieśmy się teraz o 84 lata w przód. Jest rok 2025, od ponad trzech lat trwa wojna rosyjsko-ukraińska. W tym samym roku przypadła także okrągła 80. rocznica zakończenia II wojny światowej. W Rosji od czasów Breżniewa świętuje się 9 maja oczywiście jako Dzień Zwycięstwa. Wszyscy chyba już przyzwyczailiśmy się do parady na placu Czerwonym, agresywnych w stosunku do Ukrainy i Zachodu przemówień Władimira Putina oraz bombastycznych zapowiedzi rosyjskich mediów, kto zaszczyci swoją obecnością Rosjan. Tym razem jednak elita rosyjska poszła o krok dalej i przygotowała coś specjalnego.

7 maja na stronie Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej pojawiła się niemal 500-stronicowa książka „Na 80-lecie Wielkiego Zwycięstwa”. Jej autorami rzekomo jest 33 członków Rady: od Dymitrija Miedwiediewa, przez Siergieja Ławrowa, Iwanowa, Sobianina, po Szojgu, Bortnikowa czy Matwijenko. Albo inaczej: chemik, milicjant, farmaceutka, inżynier, ekonomista, filolog, prawnik i wszechobecni ludzie służb napisali rzekomo książkę o… historii. Czyli to trochę tak, jak gdyby ekipa remontowa złożona z glazurnika, hydraulika i elektryka napisała podręcznik do historii filozofii – i to jeszcze z przypisami.

Szanuję każdą wyżej wspomnianą profesję, ale uważam za mało prawdopodobne, by ktoś z tego fachu zastąpił Władysława Tatarkiewicza. Używam tego porównania, by wyjaśnić, dlaczego wyżej stwierdziłem, że „rzekomo” napisali. Musielibyśmy bowiem uwierzyć w to, że Dmitrij Miedwiediew biegał po archiwum ministerstwa spraw zagranicznych, a szef Federalnej Służby Bezpieczeństwa Aleksander Bortnikow wybrał się na kwerendę do archiwum FSB w Tomsku.

Chciałbym również prewencyjnie ostrzec: nie, nie ma w tej książce paktu Ribbentrop-Mołotow, napadu na Polskę, Katynia. Bo to nie jest książka o historii. O czym zatem?

Najkrócej rzecz ujmując: o tym, że tak jak w 1945 roku udało się odnieść „pobiedę”, czyli zwycięstwo, tak i dzisiaj „pobieda” będzie z nami.

To nie przypadek, że pojęcie „wielka wojna ojczyźniana” we wszystkich konfiguracjach pojawia się w tekstach 181 razy, a sformułowanie „specjalna operacja wojskowa” pod wszystkimi postaciami 100 razy.

Najprawdopodobniej Putinowi zamarzyła się rekonstrukcja historyczna i epos, który będzie zagrzewał Rosjan do mordowania i podbijania tych, których dziadowie i babki walczyli 80 lat temu ramię w ramię z ich dziadami i babkami.

POWRÓT WODZA

W książce pojawia się również Stalin. I to nadspodziewanie często, bo aż 52 razy. Piszę „często”, dlatego że – mimo względnej swobody wypowiedzi w Rosji po przejęciu władzy przez Putina w 2000 roku – rzadko był jednak wspominany przez rosyjskie elity rządzące. Z pragmatycznej politycznie przyczyny: postawienie się po jednej ze stron dyskusji w Rosji i stwierdzenie, że Stalin był jednym z największych zbrodniarzy w historii, albo wsparcie drugiej, zauroczonej wielkim zwycięstwem, choćby kosztowało miliony złamanych życiorysów, sprawiłoby, że w społeczeństwie rosyjskim pojawiłby się „raskoł”. Czyli rozłam. A tego rządzący Rosją chcą za wszelką cenę uniknąć. Utrzymanie jedności Rosjan i niedrażnienie ich tematami, które obiektywnie dzielą, jest jednym z przykazań na tablicy sporządzonej przez kremlowskich polittechnologów.

Realia polityczne realiami politycznymi, ale jest jeszcze coś takiego jak osobiste przekonania. W opublikowanym właśnie wywiadzie rzece z Aleksandrem Kwaśniewskim wrócił on pamięcią do spotkania z Putinem w 2002 roku. Miał go wówczas między innymi zapytać o to, którzy przywódcy w dziejach Rosji najbardziej mu imponują. Putin wymienił Piotra Wielkiego, Katarzynę Wielką oraz… Josifa Wissarionowicza. Właśnie Josifa Wissarionowicza, a nie Stalina, bo to nazwisko – tłumaczył przywódca Rosji Kwaśniewskiemu – źle się kojarzyło.

Rzeczywiście, jeśli spojrzeć na częstotliwość wypowiedzi prezydentów Rosji w latach 1999-2025, postać Gruzina była jak dżin zamknięty w lampie. Może poza krótkim okresem prezydentury Miedwiediewa, który z jednej strony upamiętniał ofiary represji stalinowskich, ale z drugiej mówił, że „zbrodnie Stalina nie mogą umniejszyć wyczynów narodu, który zwyciężył w wielkiej wojnie ojczyźnianej”, i że „uczynił nasz kraj potężną potęgą przemysłową. Podniósł nasz przemysł, naukę i kulturę na światowy poziom”. Wiadomo było, że gdzieś ta lampa jest, ale nikt nie odważył się jej szukać ani tym bardziej pocierać. Aż do dzisiaj.

Pierwszy widoczny manifest tego mogliśmy zaobserwować w maju tego roku w łączniku stacji metra Tagańska w Moskwie. Pojawiła się tam kopia bareliefu „Wdzięczność ludu dla przywódcy i wodza”. Jego centralną częścią jest Stalin. Gdy pierwszy raz zobaczyłem w sieci wideo tego tworu, w odruchu pomyślałem, że to kolejny z Kimów wpadł na fantastyczny pomysł – w końcu Korea Północna to sojusznik Rosji – być może w Pjongjangu pomyśleli, że za taki gest zostaną docenieni na Kremlu. Myliłem się.

ZWYCIĘSTWO BĘDZIE NASZE!

Krok dalej w podejmowaniu tematu Stalina zrobiło wspomniane wyżej towarzystwo wzajemnej aberracji, które widnieje w spisie treści książki „Na 80-lecie Wielkiego Zwycięstwa”. W tekście podpisanym przez przewodniczącą Rady Federacji Walentinę Matwijenko mowa o tym, że Stalin „stał się człowiekiem, który posiadał rzeczywistą pełnię władzy w kraju – to fakt niepodważalny. Niepodważalny jest również fakt, że większość obywateli Związku Radzieckiego akceptowała taki stan rzeczy. Innymi słowy, legitymizacja Stalina jako przywódcy w oczach większości obywateli Związku Radzieckiego nie budziła wątpliwości”.

Ten fragment wiele mówi rozumieniu pojęcia „legitymizacji” wśród rosyjskich elit: przecież w ZSRR za Stalina nie było żadnych wyborów. Nikt nie pytał obywateli o zdanie. Chyba że chodziło o donosik na sąsiada. Popularność i poparcie w Rosji, przepraszam, w Związku Sowieckim się nie zdobywało, tylko ogłaszało.

Autor podpisujący się jako Matwijenko jednak idzie dalej. Twierdzi bowiem, że to „wiara w niego [Stalina] jednoczyła społeczeństwo sowieckie, budziła w ludziach przekonanie, że zwycięstwo będzie nasze”. Autor piszący ten tekst, jak widać, nie zna nawet klasyki twórczości sowieckich pisarzy okresu wojny. Gdyby bowiem tak było, to wiedziałby doskonale, że obywatele ZSRR walczyli przeciwko Niemcom i umierali raczej dlatego, że ci mordowali i niszczyli wszystko to, co stanęło na ich drodze. O tym jest znany przynajmniej ze słyszenia każdemu w Rosji wiersz Konstantina Simonowa „Zabij go!”. Nie ma tam ani partii, ani Stalina, ani Lenina. Są bliscy, dom i ziemia, za którą czerwonoarmiści umierają.

POŁĄCZENIE ATLETY Z CHATEMGPT

Nie lepszy jest ten, kto podpisał się jako Siergiej Iwanow, były minister obrony Rosji, a obecnie specjalny przedstawiciel prezydenta do spraw ekologii. U niego Stalin jest atletą dźwigającym niesamowity ciężar odpowiedzialności za państwo, łączącym wiele funkcji jednocześnie: sekretarza generalnego KC WKP(b), przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, ludowego komisarza obrony i przewodniczącego Sztabu Generalnego. Do tego w okresie wojny spał mało, pracował dużo, nie miał wolnych weekendów. Sowiecka wersja ChataGPT.

Skoro tak było, to i musiał przygotować ZSRR do agresji niemieckiej. Bo Rosja odstawała i w latach 30. powinna przełamać zapóźnienie w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Zgodnie z tym artykułem oczywiście wszystko się udało i to z kolei położyło fundament pod zwycięstwo w wielkiej wojnie ojczyźnianej.

Autor podający się za Siergieja Naryszkina, szefa Służby Wywiadu Zagranicznego, z kolei skupia się na dalekowzroczności dyplomatycznej przywódcy ZSRR. I nie owija w bawełnę: możliwość tak dobrego przygotowania się do spotkań z Churchillem i Rooseveltem wynikała z dostępu do „pełnej i dokładnej informacji o strategicznych planach kierownictwa USA i Wielkiej Brytanii”. To nic innego jak przyznanie się, że podsłuchiwanie sojuszników nie jest niczym szczególnym i godnym potępienia.

Czy mamy coś o tej katastrofie, która stała się losem Armii Czerwonej w pierwszych miesiącach wojny i odpowiedzialności Stalina? Owszem, Igor Szegoljew, przedstawiciel prezydenta w Centralnym Federalnym Okręgu, przypomina przemówienie Stalina z 6 listopada, które „nie tylko napełniała nadzieją – kraj uwierzył w zwycięstwo nad faszystami, nie patrząc na złożoną sytuację pod Moskwą”.

DYKTATOR Z GLOBUSEM

Stalina o niemieckiej agresji zawiadomił generał Gieorgij Żukow. Zadzwonił do niego 22 czerwca 1941 roku po 3.15, kiedy Wehrmacht przekroczył granice. Gdy poprosił wodza o to, by dał rozkaz do odpowiedzi na tę agresję, miał usłyszeć od niego: „To prowokacja niemieckiego wojska. Nie otwierać ognia, by uniknąć rozpętania szerszych działań”.

Aż do godziny 6 rano Stalin nie dowierzał, że Hitler zdecydował się na agresję. Dopiero gdy Mołotow wrócił od niemieckiego ambasadora i poinformował pryncypała, że Niemcy wypowiedziały wojnę, ten miał się rozsiąść w krześle i zamilknąć. Cztery godziny po rozpoczęciu inwazji wydano pierwszy rozkaz Armii Czerwonej, jak ma reagować.

Dane sowieckie z pierwszego dnia inwazji podawały straty katastrofalne. Sowieci stracili między innymi 1200 samolotów, z czego zdecydowana większość miała zostać zniszczona na lotniskach. Niemcy wjechali na kilkadziesiąt kilometrów na terytorium państw bałtyckich i Białorusi oraz kilkanaście kilometrów w głąb Ukrainy.

Stalin wedle wspomnień swoich współpracowników nie był sobą. Zaskoczenie i dezorientacja była tak wielka, że… gotowy był dokonać leninowskiego manewru. Ławrientij Beria miał zorganizować spotkanie z ambasadorem Bułgarii – przedstawicielem kraju sojuszniczego III Rzeszy – po to, by złożyć pewną ofertę. Tak jak w marcu 1918 roku Lenin podpisał upokarzający pokój brzeski z Niemcami, który pozbawiał Rosję Sowiecką ogromnych zachodnich połaci terytoriów, tak Stalin był gotów na zawieszenie broni w zamian za oddanie zachodnich rubieży ZSRR. Nic z tej inicjatywy jednak nie wyszło.

Do 1 stycznia 1942 roku wedle oficjalnych sowieckich statystyk zabitych, rannych lub znajdujących się w niewoli niemieckiej było cztery i pół miliona żołnierzy Armii Czerwonej. Warto podkreślić, że to oficjalne statystyki sowieckie, gdyż dzisiejsi badacze uważają, że te liczby mogą być zaniżone.

Dlatego w 1956 roku Chruszczow grzmiał w swoim referacie o „niefrasobliwości” i „ignorowaniu oczywistych faktów”. Powiedział też coś więcej:

„Po pierwszych ciężkich niepowodzeniach i klęskach poniesionych na frontach Stalin uważał, że nastąpił koniec. W jednej z rozmów w owych dniach powiedział on: – Wszystko, co stworzył Lenin, zaprzepaściliśmy bezpowrotnie”.

Chruszczow pozwolił sobie także w swym referacie na coś niewyobrażalnego w sowieckich realiach, otóż strollował Stalina, stwierdzając: „Planował operacje na globusie *(ożywienie na sali)*. Tak jest, towarzysze, bierze globus i wytycza na nim linię frontu”.

IDEOLOGIA „POBIEDY”

Są momenty w książce opublikowanej na stronie Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, kiedy trudno zrozumieć, o jakiej „pobiedzie” jest mowa. W tekście podpisanym przez Matwijenkę mamy na przykład takie zdanie: „Ideologia zwycięstwa musi stać się naszą niezawodną bronią – zarówno podczas specjalnej operacji wojskowej, jak i w globalnej konfrontacji”.

Słowo „ideologia” rzeczywiście najlepiej opisuje podejście do wielkiej wojny ojczyźnianej dzisiejszego kierownictwa rosyjskiego. Oni wie-

◀ **Protest przed ambasadą Rosji w Kiszyniowie, 17 marca 2024 roku. Kobieta trzyma transparent przedstawiający Hitlera, Putina i Stalina**
FOT. PAP / EPA / DUMITRU DORU

Dr Bartłomiej Gajos – historyk, pracuje w Centrum Dialogu im. Juliusza Mieroszewskiego. Specjalizuje się w historii ZSRR i polityce historycznej. Na YouTubie prowadzi program „Polihistor 2.0” wraz z dr. Ernestem Wyciszkiewiczemi

eprasa.pl 1f82165fe2

dzą, co wydarzyło się 22 czerwca 1941 roku. Ale stosują stary breżniewowski trik – zaginają czasoprzestrzeń. Niby Niemcy napadły na ZSRR już w 1941 roku, ale nic nie stoi na przeszkodzie rozpocząć narracje od drugiej połowy 1942 roku, gdy inicjatywa powolutku zaczęła przechodzić w ręce czerwonoarmistów. Wszystko po to, by utwierdzać populację w przekonaniu, że kierownictwo kraju – niezależnie od tego, jak głęboko byłyby ich ręce unurzane we krwi i korupcji – zawsze ma rację. Że doskonale wie, dokąd prowadzi własnych obywateli – do zwycięstwa.

W czerwcu 2013 roku Putin mówił wprost Margaricie Simonjan – naczelnej propagandystce Russia Today: „Znamy Stalina. Tak, jak wcześniej go nie znaliśmy. Wiemy, że to był dyktator i tyran". Miesiąc później w innym wywiadzie zapytany o stosunek lidera ZSRR do Cerkwi prawosławnej nawiązał do wystąpienia Stalina na początku wojny, które rozpoczął od słów „bracia i siostry". „I miało to ogromne znaczenie, ponieważ takie słowa to nie tylko forma. To był zwrot do serca, do duszy, do historii, do naszych korzeni po to, by – po pierwsze – ukazać tragizm wydarzeń, a po drugie – poruszyć ludzi, zmobilizować ich do obrony ojczyzny. I tak było zawsze, gdy stawaliśmy wobec trudności i problemów – nawet w czasach ateistycznych rosyjski naród nie potrafił się obejść bez tych moralnych fundamentów" – tłumaczył Putin.

Dyktator, ale mądry, taki, który potrafi poruszyć serca ludzi. Ale zostawmy ironię na boku. Putin szczerze mówił Kwaśniewskiemu, co myśli.

Jeśli popatrzymy na książkę „Na 80-lecie Wielkiego Zwycięstwa" jako sensotwórczą, to wówczas logiczny wniosek może być jeden: dzisiaj Rosjanie zabijają, represjonują, dokonują agresji i deportują ludzi w Ukrainie, bo uczestniczą w rekonstrukcji historycznej. Każdy zatem, kto w Rosji, także wśród elity, pozwoli sobie na krytykę specjalnej operacji wojskowej – czyli agresji na Ukrainę – jednocześnie będzie występować przeciwko wielkiej wojnie ojczyźnianej.

To porównanie i takie zaangażowanie rosyjskiej elity w promocję tej narracji zdradza jednak niepewność. Porównanie pomiędzy okresem 1941-1944 a 2022-2025 nie wygląda obiecująco. Bo gdzie był po ponad trzech latach wojny Związek Radziecki w 1944 roku? Powoli zbliżał się pod Warszawę. A gdzie dzisiaj są rosyjscy żołnierze? Ugrzęźli w obwodzie donieckim, ługańskim, chersońskim i zaporoskim. Wojna, która miała trwać trzy dni, zamieniła się w długotrwałe i bardzo kosztowne starcie. Putin wbrew wizerunkowi kreowanemu przez rosyjskie media może mieć flashbacki ze stanu emocjonalnego Stalina z 22 czerwca 1941 roku. Szczególnie teraz, gdy Ukraińcom udało się uderzyć w to, co dotychczas wydawało się niewyobrażalne. Zniszczono jedenaście rosyjskich bombowców strategicznych mogących przenosić ładunki nuklearne.

Zaraz po wojnie do Stalina trafił list chłopa z obwodu saratowskiego: „Zwycięzców nie sądzą, ale naród zwycięzca powinien zrozumieć, czy zwycięstwo zostało osiągnięte z najmniejszymi stratami sił i środków i z najmniejszymi ofiarami. Jeśli nie, to dlaczego? Czy mieliśmy za mało czasu? Czy trybiki w skomplikowanej maszynie działały źle i uszkadzały jej bardziej złożone części?".

Putin najbardziej boi się podobnych pytań. Jestem ciekaw, kto w przyszłości pozwoli sobie na trolling podobny do Chruszczowa. ●

• Widok otoczonej murami Florencji z Kroniki Norymberskiej autorstwa Hartmanna Schedla z 1493 roku. W centrum widać katedrę Santa Maria del Fiore
FOT. ARCHIWUM

KIEDY żebrak MÓGŁ BYĆ królem

W renesansowej Florencji Medyceusze uczynili narzędziem swojej władzy grupy *potenze*, gangi przypominające dzisiejszych kibiców.

Anna Brzezińska

10 maja 1545 roku Piero di Giovanni, powszechnie znany w sąsiedztwie jako Pierone, czyli Duży Piero, został wybrany cesarzem Prato, imperatore del Prato. Jego wybór zgodnie z miejscowym zwyczajem obwieścił dzwon kościoła Santa Lucia, zwołując tłum mieszkańców okolicznych ulic. Zgromadzeni w sile 2000 człeka entuzjastycznie go pochwycili i wśród krzyków, wrzawy oraz wielkiej radości zanieśli do jego domostwa na ulicy Plazzuolo. Następnie przez całą noc całowano go w rękę i z uszanowaniem składano mu hołdy, jak również raczono się chlebem i winem, które na tę okoliczność wysłał do Prato majordomus florenckiego księcia Kosmy I Medyceusza.

Cesarz Pierone wszystkich obejmował z pokorą i zarzekał się, że będzie zasięgał ich rad, kiedy tylko uzna to za niezbędne, a jego poddani radowali się i biesiadowali przez wiele godzin, obiecując w razie potrzeby przelać krew za swojego cesarza – oraz za księcia Kosmę I Medyceusza, który sponsorował tę świetną zabawę.

WOLNI PLEBEJUSZE

W rzeczywistości bowiem Wielki Piero władał fikcyjnym, jednym z zabawowych królestw tworzonych przez grupy plebejuszy, by uświetniać obchody florenckich świąt i uroczystości dynastycznych. Owe grupy zwane *potenze* – czyli władze – działały co najmniej od końca XV wieku, acz niekiedy przypisywano im jeszcze dłuższą historię. Wedle Giovanniego Villaniego, XIV-wiecznego florenckiego kronikarza, już w 1343 roku Walter z Brienne, tytularny książę Aten, powołał we Florencji sześć nieformalnych grup, by urządzały w mieście uroczystości.

W złotym stuleciu niektóre *potenze*, jakie nastały po upadku florenckiej republiki w 1530 roku, powoływały się na Waltera z Brienne, by podkreślić swą starożytność, a zarazem ostentacyjnie dystansować się od republikańskich tradycji miasta. Było w tym nieco ironii, jako że Walter z Brienne został nader szybko wypędzony z Florencji i w miejscowej tradycji zapisał się raczej jako tyran, choć tkacze czy farbiarze, zapewne nienależący do najpilniejszych czytelników dawnych kronik, mogli o tym nie wiedzieć.

Potenze tworzyli bowiem plebejusze, ludzie wolni, lecz stojący najniżej w hierarchii społecznej miasta: drobni rzemieślnicy, wykwalifikowani robotnicy i czeladnicy. Wielu z nich parało się produkcją tkanin, a więc rzemiosłem, które niegdyś walnie przyczyniło się do sukcesu Florencji i jej mieszkańców. W XVI wieku wprawdzie sukiennictwo zaczęło podupadać – na znaczeniu zyskiwała produkcja jedwabiu – lecz w branży nadal pracowało kilka tysięcy ludzi. Szacuje się, że nawet jednak dwie trzecie mieszkańców Florencji w jakiś sposób wiązała swój byt z suknem.

Folusznicy, tkacze czy farbiarze zwykle mieszkali na obrzeżach miasta, w gorszych dzielnicach i dalej od centrów władzy – siedzib cechów i gildii kupieckich, magistratu, pałacu książęcego. Ich życie rozgrywało się głównie w sąsiedztwie. Większość potrzeb zaspokajali na znajomych ulicach, pomiędzy domem, kościołem parafialnym, oberżą, piekarnią a rynkiem. Ich dom i warsztat często były ulokowane pod jednym dachem, profesja przechodziła z ojca na syna. Oczywiście istniała mobilność społeczna, do wielkich miast zawsze napływali migranci, ale ludzie żyli blisko siebie i znali się, niejednokrotnie od pokoleń.

BUNT ŁACHMANIARZY

Florencja rozkwitła jako komuna miejska, potem signoria, lecz nie wszyscy jej mieszkańcy uczestniczyli w republikańskich rządach. Cudzoziemcy nie mieli praw obywatelskich, a kobietom zabraniano nawet słuchać kazań o polityce, choć to akurat nikogo wówczas nie dziwiło.

Z areny publicznej wykluczone były również trzy grupy społeczne, które w burzliwych dziejach renesansowej Florencji odegrały znaczącą rolę: chłopcy, spośród których rekrutował swoich młodzianków Girolamo Savonarola, płomienny kaznodzieja pragnący moralnej odnowy Florencji, młodzi mężczyźni, którzy w krytycznych momentach, podczas spisku Pazzich 1478 roku, czy w ostatnich dniach republiki w 1512, wspierali Medyceuszy, i wreszcie najliczniejsi z nich – plebejusze.

Robotnicy zatrudnieni przy produkcji sukna nie mieli praw politycznych, nie mogli się również zrzeszać, by zabiegać o swoje interesy. Nie znaczy to, że nie próbowali. Już w 1345 roku pewien florencki gręplarz, Ciuto Brandini, założył fraternitas, czyli bractwo zatrudnionych przy produkcji sukna, domagając się poprawy warunków pracy i wyższych zarobków, ale też praw, w tym prawa do zrzeszania się, udziału w zarządzaniu miastem i dostępu do urzędów. Uwięziono go i skazano na śmierć, mimo że robotnicy zaczęli strajkować w jego obronie.

Niezadowolenie jednak wzbierało. Latem 1378 roku wybuchł bunt tzw. ciompich, czyli łachmaniarzy. Ciompi, wśród których dominowali robotnicy zatrudniani na dniówki, z grubsza domagali się tego samego, co Ciuto Brandini: praw obywatelskich dla większości dorosłych mężczyzn w mieście, pierwotnie nawet czeladników. Zamiast jak poprzednicy spiskować po oberżach i zbierać miedziaki na fundusz strajkowy, założyli trzy rewolucyjne cechy, weszli do ratusza i literalnie przejęli władzę.

PANOWIE I MOTŁOCH

Kilka lat później z postulatów ciompich już niewiele zostało, ale wspomnienie tej potężnej plebejskiej rewolty przyprawiało o grozę kolejne pokolenia patrycjuszy i miało długofalowe skutki. Okrzyki w rodzaju: „Viva popolo e libertà!", „Niech żyje lud i śmierć podatkom!", regularnie rozbrzmiewały na florenckich ulicach, zwłaszcza gdy różnice pomiędzy biednymi a bogatymi zaczęły się po 1475 roku pogłębiać.

Wielkie, stare i bogate florenckie rody popierały republikę – w jej oligarchicznej wersji – bo dawała im szansę, by decydo-

eprasa.pl 1f82165fe2

wali o losach państwa i zajmowali wysokie urzędy. Ale strach przed zbuntowanym motłochem ułatwił temu rodowi zdominowanie republiki i zbudowanie oligarchii. Jednocześnie Medyceusze – zwłaszcza po tym, gdy w 1530 roku stali się książętami dziedzicznymi – potrafili grać na resentymencie plebsu wobec patrycjuszy. Na różne sposoby, w tym poprzez patronat nad *potenze,* skutecznie zjednywały sobie potomków ciompich, oni zaś entuzjastycznie wspierali ich dominację w mieście.

Potenze stanowiły nieformalne i z założenia efemeryczne grupy. Najmocniej zaznaczały swoją obecność podczas świąt, publicznych festynów i zabaw. Należały do świata karnawału, kiedy na krótko zawieszano tradycyjne hierarchie, a żebrak miał szansę zostać królem. Niemniej rozkwit *potenze* w XVI wieku zbiegł się z postępującym wykluczeniem – także symbolicznym – warstw niższych. Potomkowie starych republikańskich rodów coraz bardziej upodabniali się do arystokracji. Dystansowali się od zwyczajnych rzemieślników, deprecjonowali handel i występowali z rozmaitych miejskich korporacji, cechów i bractw, których członkowie pochodzili z różnych warstw społecznych, lecz bez względu na pochodzenie i posiadany majątek obradowali oraz biesiadowali przy tym samym stole.

Społeczeństwo stawało się coraz bardziej hierarchiczne, różnice społeczne zwiększały się, a na dodatek elity zasklepiały się i z wigorem przedstawiały plebejuszy jako ludzi prymitywnych, pozbawionych honoru i niezdolnych do odgrywania jakichkolwiek ról politycznych.

TO MIASTO JEST NASZE

W tej sytuacji *potenze* dawały ludziom, którzy doznawali różnych form wykluczenia, możliwość budowania i umacniania tożsamości, a także okazywania w publicznej przestrzeni Florencji dumy oraz więzi sąsiedzkich i zawodowych. Co znamienne, *potenze* odwoływały się do języka władzy i państwowości, by uzurpować sobie sprawczość, ale też, by artykułować oczekiwania mieszkańców swoich władztw. Ich członkowie nie mieli dostępu do urzędów, ale dzięki *potenze* stawali się – jak dzisiejsi kibice – królami ulic. Zawłaszczali tkankę miejską i tworzyli alternatywną strukturę królestw pod nominalnym zwierzchnictwem cesarza Prato.

Potenze naśladowały prawdziwe rytuały władzy. Nowo wybrany władca zasiadał na podwyższeniu na tronie, świętował i okazywał radość jak prawdziwy książę. Zrzucał poddanym monety przez okno, urządzał ucztę, podczas której rozdawano chleb i wino zazwyczaj, jak w przypadku Dużego Piera, fundowane przez prawdziwego księcia, władcę Florencji. Miał własnych urzędników, szambelana, doradcę, sekretarza, skądinąd użytecznego, bo część królów *potenze* pozostawała niepiśmienna.

Podczas uroczystości i świąt *potenze* maszerowały przez miasto pod własnymi sztandarami, które wraz z innymi darami dostały od księcia. Ich członkowie tańczyli, śpiewali, palili ogniska, brali udział w grach zespołowych – we Florencji znano dość brutalną grę w piłkę, zwaną calcio, która budziła emocje podobne do futbolu – i zabawiali widzów. Koszty ich występów, przebrań oraz zabaw pokrywał książę. W zamian za wsparcie *potenze* schlebiały mu na różne sposoby i hałaśliwie okazywały wdzięczność, używając języka dworskiego i rycerskiego spektaklu.

SZTYLET ZA PAZUCHĄ

W przeciwieństwie do ciompich członkowie *potenze* nie próbowali podważać panującego porządku ani nie szykowali rewolty. Co najwyżej ustawiali rogatki, by ściągać myto od tych, którzy przekraczali granice ich fikcyjnych królestw, toczyli spory graniczne i wojny na kamienie, a także wymuszali datki od mieszkających nieopodal zamożnych kupców i patrycjuszy. Ale jednocześnie zachowywali swój groźny, destrukcyjny potencjał ulicznych gangów. Podczas uroczystości ich członkowie powinni występować z fałszywą bronią, z mieczami, hełmami i lancami wykonanymi z drewna i pomalowanymi na srebrno.

Notorycznie jednak zdarzało się, że broń mieli prawdziwą, co czasami wychodziło na jaw w przykrych okolicznościach. Na przykład, gdy pewien chorąży *potenze* zadźgał sztyletem dwóch foluszników. Uniewinniono go od zarzutu morderstwa, gdyż działał w samoobronie, lecz skazano na potężną grzywnę i trzykrotne rozciąganie liną za to, że miał przy sobie sztylet bez wymaganego książęcego pozwolenia. Chorąży odwołał się od tej kary – skutecznie – do księcia, twierdząc, że przecież z dawien dawna urzędnicy *potenze* mogą nosić prawdziwą broń i o żadnych zakazach w tej mierze nie słyszał.

Bodajże największa awantura wybuchła w 1577 roku, kiedy dwie równe, dobrze uzbrojone *potenze* postanowiły w walce rozstrzygnąć, do czyjego terytorium należy stary pałac Medyceuszów. Kiedy policja usiłowała ich rozpędzić, przestali walczyć między sobą i zgodnie rzucili się na przybyłych. Interweniował szlachcic Luigi della Stufa, ale mimo że zamieszki uspokoił, popadł w książęcą niełaskę. Zamiast przeczekać gniew władcy, z kilkoma setkami plebejuszy zaczął się przedzierać do Palazzo Vecchio, by – jak twierdził – przebłagać księcia okrzykami: „Palle, Palle!" – tradycyjnym zawołaniem zwolenników Medyceuszy, nawiązującym do medycejskiego herbu. Lecz jego towarzysze byli uzbrojeni po zęby i walczyli z każdym, kto chciałby ich zatrzymać. Kiedy wieść o zamieszkach się rozeszła, książę zaczął w panice ściągać wojsko, ładować działa i zabarykadował się w pałacu, obawiając się powstania.

PIĘŚCI MEDYCEUSZY

Poza tym jednak te awanturnicze gangi naprawdę czuły się reprezentantami lokalnych plebejskich społeczności i poprzez petycje, prośby i rytuały zabiegały o najróżniejsze istotne dla nich sprawy, od dostępu do sakramentów po poprawę warunków pracy. Na przykład w 1628 roku władca *potenze,* w którym dominowali tkacze jedwabni, apelował do księcia, żeby zmusił kupców, by im płacili także za czas, kiedy nie mają dla pracowników zleceń, lub by im pozwolili samodzielnie sprzedawać jedwabne tkaniny, argumentując, że kupcy ich głodzą i postępują wbrew dobru publicznemu. W zamian *potenze* oferowały władcom swoją wdzięczność i mocne pięści, jeśli trzeba było uciszyć jakichś przeciwników medycejskich rządów, a niekiedy także wsparcie duchowe – modlitwy wszystkich dziewcząt mieszkających na terenie *potenze,* z dodatkową sugestią, że jeśli modlitwy tych prostych i czystych dziewic poskutkują, niechże książę ufunduje posagi dla czterech z nich, jak również sfinansuje uroczystości dla *potenze.*

Bez wątpienia Medyceusze uczynili z *potenze* narzędzie swojej władzy i wpływali na ich działalność, umieszczając w strategicznych miejscach swoich zauszników, właśnie takich jak Pierone, którego książęcy sekretarz nazywał „naszym Pierone". Dbając o swoją popularność wśród najbiedniejszych, obłaskawiali ich darami, jałmużnami, drobnymi koncesjami i demonstracyjnie okazywaną przychylnością. Jak to czyniono od wieków, rozładowywali chlebem i winem groźbę ludowego buntu. Zarazem jednak naprawdę stworzyli plebejuszom możliwości, jakich w republikańskiej Florencji im poskąpiono. *Potenze* jedynie bawiły się we władzę i nie zagrażały medycejskiej dynastii. Ale nawet ten pozór władzy był czymś więcej, niż oferowała im republika. Właśnie w ten sposób najbiedniejsi stali się sprzymierzeńcami władców, którzy – i to jest chyba w tej historii najbardziej ironiczne – aspirowali do władzy absolutnej. ●

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka, autorka m.in. powieści „Córki Wawelu", „Woda na sicie. Apokryf czarownicy", „Mgły", a także eseistycznego „Zmierzchu świata rycerzy".

Wczoraj, czyli dziś

Królewna w szklanej trumnie

Spoczywa pod posadzką wrocławskiego kościoła, na płycie broniącej wejścia do krypty wyryto tylko dwa słowa: Anna Ducissa.

Maciejewska

Mija właśnie 760 lat od śmierci Anny Przemyślidki, żony księcia Henryka Pobożnego. Córka króla Czech Przemysła Ottokara I i Konstancji z dynastii węgierskich Arpadów miała życie długie i trudne. Po pierwsze, musiała zbudować płaszczyznę porozumienia z apodyktyczną teściową Jadwigą Śląską, która praktykowała skrajną ascezę i otoczona była nimbem świętości. Nie tylko nie wejść w konflikt, ale i nie ulec takiej osobowości, wybrać inny model pobożności, podążyć własną drogą to duży wyczyn.

Anna żyła skromnie, razem z mężem fundowała świątynie i klasztory, sprowadziła na Śląsk franciszkanów, benedyktynów, krzyżowców z czerwoną gwiazdą i klaryski, wśród których żyła w Pradze jej siostra Agnieszka, prowadziła działalność charytatywną. Nic nie wskazuje na konflikt z teściową, choć według Vitae sancte Hedwigis próbowała ją odwodzić od tak drastycznego umartwiania się.

Żadna władczyni nie dała dynastii piastowskiej tylu dzieci co Anna, bo prawdopodobnie urodziła ich piętnaścioro (dorosłości doczekało pięć córek i pięciu synów). Ryzyko śmierci przy porodzie zagrażało tak samo chłopce jak królowej.

Została wdową w tragicznych okolicznościach. Jej mąż zdecydował się stawić czoła Mongołom na Legnickim Polu. Chciał dorównać ojcu Henrykowi Brodatemu, miał ambicję zjednoczyć kraj, a może nawet sięgnąć po koronę. Potrzebny był mu wielki sukces. Tylko że nie miał zadatków na wodza ani nie zdołał zebrać wielkiej armii. Mongołowie rozgromili jego rycerzy, a księcia zabili. Anna znalazła jego ciało na pobojowisku bez głowy, obdarte z odzienia, rozpoznała męża po znaku szczególnym: sześciu palcach u stopy.

A potem stanęła u boku dzieci, opiekując się nieletnimi synami, tonując konflikty między nimi i podnosząc Śląsk ze zniszczeń. Łatwo nie było, bo świętych nie urodziła, jej pierworodnym był znany gwałtownik i okrutnik Bolesław Rogatka.

Zmarła w noc św. Jana Chrzciciela w 1265 roku, została pochowana w kościele klarysek, którego była fundatorką, i nad jej trumną zapadła cisza. Bo wprawdzie odeszła w opinii świętości, zasługi miała wielkie, ale nawet największy święty potrzebuje lobbysty. Niestety, lobbing w tej rodzinie wyczerpała kanonizacja Jadwigi, brak jest śladów starań o wzbudzenie i rozwój kultu księżnej Anny. Klaryski robiły, co mogły, ale nie miały siły przebicia. Upływały wieki, uczucia wiernych względem kandydatki stygły, na dodatek miejsce klarysek zajęły urszulanki.

Ale o fundatorce klasztoru pamiętały, podobnie jak biskup wrocławski Heinrich Förster, który w 1857 roku zszedł do podziemi, a potem polecił „wyjąć te czcigodne szczątki i oczyścić". W grobowcu znaleziono resztki spróchniałej trumny, dobrze zachowany szkielet kobiety i różaniec. Siostry urszulanki różaniec wysłały biskupowi, okruchy drewna zamknęły w blaszanej skrzynce, a szkielet owinęły w jedwabny tiul wykończony srebrną taśmą złożyły w szklanej trumnie. Dobrze się zachowała, choć dziś jedynym śladem po jedwabnym tiulu jest srebrna taśma

Anna nie spoczywa w tych podziemiach sama, pochowano tu również jej syna, księcia wrocławskiego Henryka III, który prawdopodobnie został otruty, zanim skończył 40 lat. I wnuka Henryka V Grubego, ofiarę rodzinnych porachunków. Twardy polityk i zdolny wódz stał się ruiną człowieka, gdy porwany przez księcia głogowskiego spędził kilka miesięcy w skrzyni. Miała tylko dwa małe otwory, jeden, by mógł przyjmować pokarm i oddychać, drugi do wypróżniania żołądka. Nie można w niej było siedzieć, stać ani leżeć; plecy i uda więźnia spływały ropą, a w ranach zalęgło się robactwo.

Płyty nagrobne wrocławskich Piastów wiszą na ścianach kościoła, tylko prawnuk Anny Henryk VI zwany Dobrym dostał okazałą tumbę. Jednak nie za dobroć tak go uhonorowano. Był ostatnim piastowskim władcą Wrocławia. Przekazał miasto i księstwo praskim Luksemburgom, a ci się odwdzięczyli. Z eschatologicznego punktu widzenia nie ma nic lepszego niż pochówek w kościele klasztornym gwarantujący modlitwę zakonników aż do końca świata, ale dla sławy, a choćby i pamięci, to zdecydowanie za mało. ●

Beata Maciejewska
historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej"

eprasa.pl 1f82165fe2

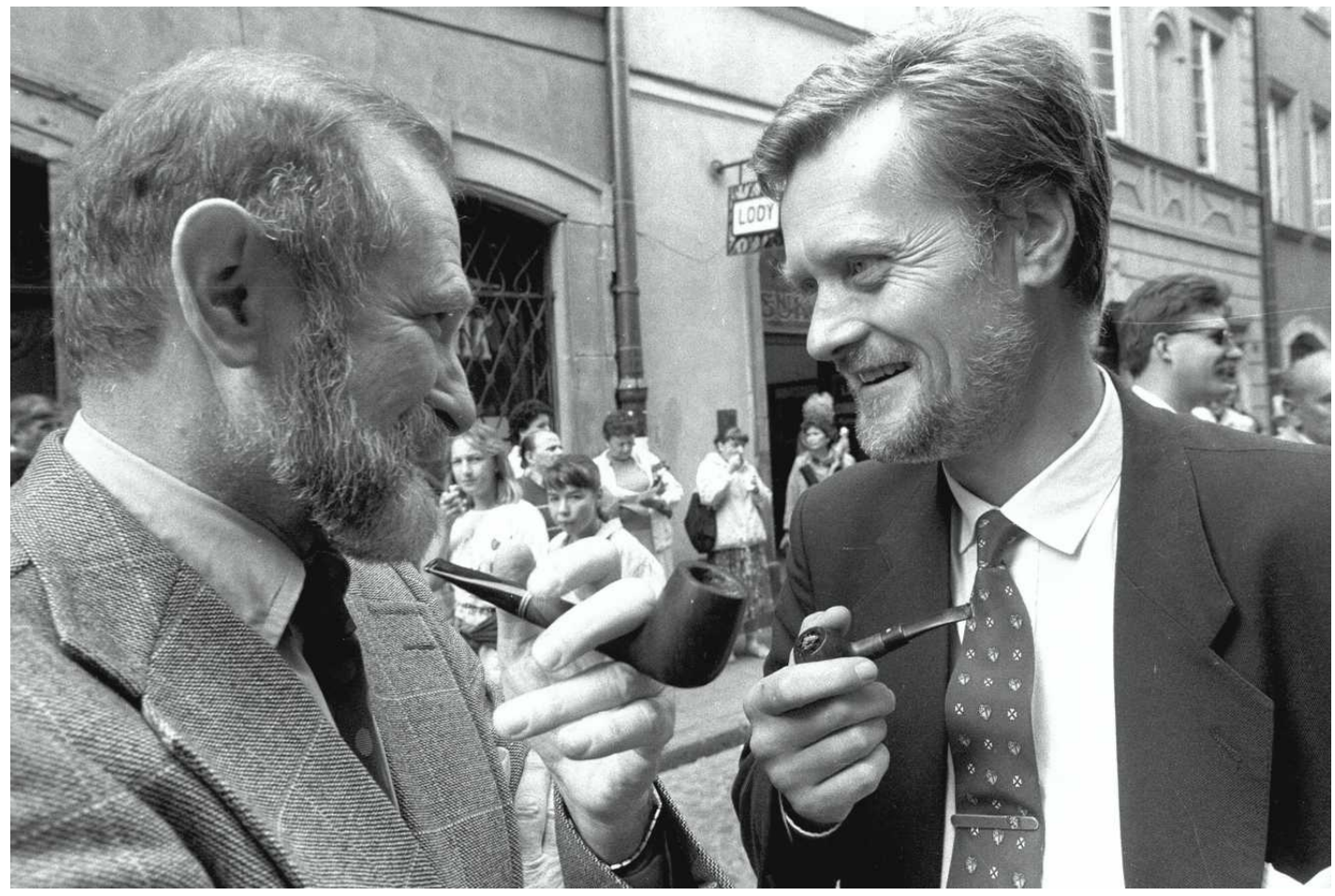

▶ **Z prawej Piotr Nowina-Konopka (1949--2025) i Bronisław Geremek (1932-2008) we września 1991 roku podczas wiecu wyborczego Tadeusza Mazowieckiego**
FOT. TOMASZ WIERZEJSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nie prosiłem się o pracę u Jaruzelskiego

Od razu powiedziałem generałowi, co myślę o stanie wojennym: „Jeśli to miał być dialog, to wyglądał on jak dialog bata z dupą”.

Piotr Nowina-Konopka zmarł 13 czerwca 2025 roku, w latach 80. XX wieku był działaczem Solidarności, rzecznikiem Lecha Wałęsy, po przełomie 1989 roku pracował w Kancelarii Prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. Przez dekadę był posłem Unii Demokratycznej i Unii Wolności. Był jednym z twórców Fundacji Schumana, rektorem Kolegium Europejskiego w Natolinie. Jako pierwszy Polak zajmował dyrektorskie stanowiska w Unii Europejskiej. W latach 2013-2016 sprawował funkcję ambasadora RP w Watykanie. W lipcu nakładem wydawnictwa C.H. Beck ukaże się wywiad rzeka z Piotrem Nowiną Konopką „Dokąd tą drogą?”. Poniżej fragment jednego z wywiadów z książki.

Z **PIOTREM NOWINĄ-KONOPKĄ** ROZMAWIA **ANDRZEJ BRZEZIECKI**

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Pod koniec października 1989 roku obóz solidarnościowy skierował pana do pracy w kancelarii prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. Pierwsze spotkanie z generałem?
PIOTR NOWINA KONOPKA: Wszedłem do sekretariatu, przedstawiłem się i powiedziałem, że prezydent życzył sobie mnie widzieć. Przyjął mnie w cywilu. Zaczął od tego, że się cieszy, iż możemy ze sobą porozmawiać. Zapewnił, że wiele o mnie słyszał i dodał jeszcze, że mamy ze sobą sporo wspólnego. Trochę mnie to speszyło.

Co miał na myśli?
– Ziemiańskie korzenie. Podobno łączyło nas jakieś dalekie kuzynostwo kilka pokoleń wstecz. Zaczął opowiadać o swoim majątku i o tym, że już wtedy drażniło go, gdy chłopi całowali jego ojca w rękę.

Potem nastąpił długi monolog o marianach, katolicyzmie, wywózce do Rosji, wyrębie lasu w tajdze, śmierci ojca... W końcu mówi: „Wie pan, gdyby nie to wszystko, to ja bym walczył pod Monte Cassino ramię w ramię z pana stryjami. Nie załapałem się jednak na armię Andersa, bo ojciec umierał i nie mogłem zostawić matki z wrakiem człowieka. Do Polski mogłem więc wrócić tylko przez Berlin. Moim życiem pokierował przypadek, a nie moje wybory. A gdy już w mundurze wróciłem do Polski, zostałem w wojsku”. Z tej opowieści Jaruzelski płynnie przeszedł do wprowadzenia stanu wojennego, mówiąc, że musiał to zrobić, by chronić większe dobro i szansę na dialog narodowy.

Tadeusz Mazowiecki wspominał, że wtedy stan wojenny był obsesją generała...
– Dokładnie. Nie chciałem wejść z nim od razu w spór, bo gdybyśmy się nie porozumieli, moja misja w Belwederze, jaką powierzyli mi Wałęsa z Mazowieckim i Geremkiem, spaliłaby na panewce. Jednak nie wytrzymałem, wszedłem mu w słowo i mówię: „Panie prezydencie, jeśli mamy się porozumieć, proszę nie wymagać ode mnie, abym zaakceptował stan wojenny. Jeśli to miał być dialog, to wyglądał on jak dialog bata z dupą. Pan był po stronie bijących, a ja bitych. Prosiłbym, abyśmy nie musieli wracać do tego tematu”.

Chwila milczenia. W końcu Jaruzelski odrzekł: „Dobrze, że mi pan to powiedział, bo to określa nasze relacje. Czy przyjmie pan nominację?”.

Przyjął pan. Co dalej?
– Czekali już na mnie funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu, by zawieźć mnie do Sopotu. Gdy tam dotarliśmy, chciałem zaprosić ich do mieszkania na herbatę, ale podziękowali. Byli chyba zaskoczeni, że ktoś ich potraktował po ludzku. Nazajutrz wróciłem do Kancelarii Prezydenta przy ulicy Wiejskiej. Potem zawieziono mnie do hotelu rządowego na Klonowej, a docelowo miano mi przydzielić mieszkanie na Bacciarellego.

Luksus?
– Nie, ale było przyzwoite, wygodne i do tego w centrum Warszawy. Wystrój był schludny, ale bez ekstrawagancji. Przeważały meble henrykowskie. Nie narzekam, wziąwszy pod uwagę, że w biurach Rady Ministrów i Kancelarii Prezydenta królował skaj. Dla wielu Polaków szczytem marzeń była meblościanka. Taka była wówczas Polska.

Dostał pan obstawę?
– Przydzielono mi trzech ludzi z BOR-u – pana Janka jako ochroniarza i dwóch kierowców. W pewnym momencie pan Janek mówi: „Panie ministrze, senator Kaczyński chodzi z pistoletem. Czy pan też chce? Tylko wie pan, muszę uprzedzić, że samo noszenie, gdy się nie trenuje trzy razy w tygodniu na strzelnicy, nie ma sensu. Ale jeśli pan chce, nie ma problemu”. Podziękowałem i odmówiłem. Potem znowu pan Janek mówi: „Panie ministrze, musi mieć pan smoking, mogę załatwić dobrego krawca”. Zaoferował też łatwiejszy dostęp do towarów, bo ma dojścia w sklepach „za firankami” i zapewnił, że będzie pomagał żonie w noszeniu siatek przy sprawunkach. Poprosiłem o umówienie krawca, bo to było konieczne – nie miałem ani smokingu, ani garnituru – ale za dostęp do sklepów i za noszenie siatek podziękowałem.

Taki pan był zasadniczy?
– Tam, gdzie potrzebowałem pomocy, prosiłem o nią. Miałem jednak świadomość, że te wszystkie niby przywileje służyły wcześniej zapewne także do utrzymania przy życiu elity władzy. To rozleniwiało, a może nawet uzależniało i sprawiało, że ludzie stawali się lojalni wobec władzy w obawie, by broń Boże nie stracić tych przywilejów. W biednym państwie możliwość kupna lepszej wędliny okazywała się przywilejem, ale w gruncie rzeczy przecież to było żałosne.

Jak umocowany był minister stanu przy Kancelarii Prezydenta?
– W ustawie o prezydencie, którą trzeba było przyjąć zaraz po Okrągłym Stole, bo wcześniej przecież funkcjonowała Rada Państwa, był zapis o ministrach stanu. Ktoś wtedy musiał tak nazwać wysokich urzędników Kancelarii Prezydenta, których później zamieniono na sekretarzy stanu. Choć na przykład, gdy byłem w Chile, nazywano mnie całkiem na wyrost wiceprezydentem. Do moich zadań należała między innymi kwestia reformy samorządowej, ale przede wszystkim kontakty prezydenta ze związkami zawodowymi, organizacjami społecznymi, kościołami, uczelniami wyższymi – i z rządem Tadeusza Mazowieckiego, co okazało się mieć dla mnie ogromne znaczenie. Odpowiadałem także za odznaczenia, tytuły profesorskie, a szerzej mówiąc, za wiele obszarów styku „starego” z „nowym”.

Wałęsa, Mazowiecki i Geremek posłali tam pana, by patrzył Jaruzelskiemu na ręce. Generał naprawdę miał jeszcze ambicje polityczne? Wydaje się, że współpracował lojalnie z rządem.
– Owszem, ale na pewno Józef Czyrek i paru innych ludzi z otoczenia prezydenta wcale nie chciało składać broni. Jaruzelski musiał widzieć zaniepokojenie swoich ludzi, którzy uważali, że nie staje po ich stronie, że nie tworzy przeciwwagi dla rządu Mazowieckiego. Nie mógł się więc tak zupełnie odwrócić do nich plecami.

Wojciech Jaruzelski nie jest zaliczany w poczet prezydentów III RP – słusznie?
– De iure był prezydentem III RP, ale de facto nie. Przyjęło się uważać, że był prezydentem kontraktowym, ale przecież żadnego zobowiązania związanego z jego wyborem „Solidarność” na siebie wtedy nie wzięła. Część posłów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego pomogła w jego wyborze w wyniku rozwoju wydarzeń, których

eprasa.pl 1f82165fe2

przewidzieć przed 4 czerwca 1989 roku nie mogliśmy.

Co pan mówił ludziom, którzy dziwili się, że współpracuje pan z generałem Jaruzelskim?
– Publicznie nie mogłem mówić o dyskomforcie, bo to by stawiało pod znakiem zapytania moją obecność. Nie okazywałem go też jemu, bo bym niczego sensownego przez ten czas nie zrobił, gdybym codziennie mówił mu, że się nim brzydzę.

Generał dał się zapamiętać jako osoba sztywna, chowająca emocje za ciemnymi okularami. Tak po ludzku: dał się lubić?
– Nie wiem, czy chciał być lubiany, chciał być szanowany. Żadnego sentymentalizmu w nim nie było. Nie doświadczyłem z jego strony oschłości ani sztywności, ale też żadnej serdeczności.

Miał dwa światy. Jednym było wojsko, gdzie czuł się bardziej sobą. Lubił się z generałami Kiszczakiem i Siwickim. Myślę, że w tym towarzystwie był bardziej wyluzowany, ale chyba nawet przy nich nie pił wódki i po wojskowemu nie rzucał k... Świat polityki, gdy nie nosił munduru, nie był jego światem naturalnym. Mawiał, że prezydentem się bywa, a generałem się jest.

Pierwszy dzień w pracy?
– Byłem lekko przestraszony. Właściwie, prawdę mówiąc, byłem solidnie przerażony! Nie miałem pojęcia o funkcjonowaniu administracji państwa, bo wcześniej unikałem z nią kontaktów, jak tylko mogłem. W latach 80. XX wieku, gdy funkcjonowałem przy Lechu Wałęsie, nabrałem pewności siebie – znałem swoje zadania, wiedziałem, do czego jako obywatel mam prawo, co mogę robić, a czego nie mogę. Tu zaś straciłem tę pewność. Co mi wolno, a czego nie wolno? Co mogę podpisać, a czego nie? Czy ludzie starego systemu nie wsadzą mnie na jakąś minę?

Pierwszego dnia, gdy wszedłem do wielkiego gabinetu, poznałem moją sekretarkę Ewę Radzanowską, która okazała się niezwykle sprawną i w pełni lojalną osobą.

Krzysztof Kozłowski mawiał, że podczas przejmowania władzy nie należy zmieniać sekretarek i kierowców.
– Też nie miałem potrzeby czystek. Gdy pani Ewa zagadnęła mnie, bo wśród personelu krążyły słuchy, że będą zmiany kadrowe, uspokoiłem ją, że nikt, kto w PRL nie popełnił przestępstwa i kto jest teraz lojalny wobec nowej Polski, nie straci pracy. W efekcie sprowadziłem do kancelarii może dwie osoby, a prawie cała reszta doczekała aż do Wałęsy, niektórzy nawet znacznie dłużej...

Gdy odchodziłem z Kancelarii Prezydenta, pani Ewa pokazała mi kilka pudeł z dokumentami i powiedziała, że pan Janek mi je zawiezie do domu. To były kopie wszystkich dokumentów, które kiedykolwiek podpisałem. Dziwiłem się, ale ona powiedziała: „Panie ministrze, nigdy nie wiadomo”. Miała świętą rację, bo gdy prezydentem został Lech Wałęsa i w kancelarii nastał Jarosław Kaczyński, podobno jedną z pierwszych rzeczy, jaką kazał zrobić, było przejrzenie papierka po papierku, czy przypadkiem nie da się mnie o coś zahaczyć. Nic jednak nie znaleźli.

Ministrami stanu u prezydenta byli także Józef Czyrek i Józef Kozioł – jak układała wam się współpraca?
– Trzymaliśmy się na dystans. Kozioł był z PSL i był to taki „brat łata”, więc łatwiej się z nim rozmawiało, ale Czyrek wiedział, co nas różni i nie próbował się spoufalać. Więc żadnych wspólnych nasiadówek przy kawce nie mieliśmy, może czasem zjedliśmy w stołówce wspólnie obiad. Jak coś do nich miałem, przychodziłem na umówione spotkanie.

Właściwie był pan w kancelarii obcym ciałem, reprezentantem solidarnościowego rządu. Bano się pana jako eksponenta rewolucji?
– Tak, ale bano się nie tyle mnie samego, co całej zmiany, którą zwiastowałem i w ich oczach uosabiałem. Ich niepokój zwiększało dodatkowo zachowanie prezydenta wspierającego przemiany.

Choć przyznam, że miałem żal do ludzi z ekipy Mazowieckiego, iż nie traktowali mnie jako jednego z nich. Olek Hall czy Waldek Kuczyński nie zrobiliby nic złego, gdyby na kolejne rocznice powołania rządu Mazowieckiego dopraszali mnie do świętowania. Zawsze czułem się częścią nowej ekipy – w końcu to nie ja prosiłem się o pracę u Jaruzelskiego.

Kilka tygodni po rozpoczęciu przez pana pracy była rocznica wprowadzenia stanu wojennego – nie okrągła, ale za to pierwsza po przełomie. Prezydent Jaruzelski wybrał się do kopalni Wujek, a pan razem z nim.
– Pod koniec listopada, a więc niedługo przed rocznicą tej krwawej rozprawy, zjawili się u mnie górnicy z Wujka, dopytując, czego mogą się spodziewać przy takiej okazji.

Zapowiedziałem górnikom, że oni też muszą mieć pomysł, jak przyjąć generała, że muszą uznać, iż jego pojawienie się to jest już jakaś forma pójścia do Canossy. Nie miał obowiązku tam jechać, ale poczuwał się do tego, więc należało to uszanować. Musieli w swoim gronie załatwić, by wszystko odbyło się poprawnie.

Pod koniec grudnia 1989 roku sejm zdecydował się przywrócić koronę orłu w naszym godle, ale dokładny kształt godła miał zostać ustalony nieco później. Pan w imieniu prezydenta zgłaszał w sejmie projekt nowego godła 9 lutego 1990 roku. Doszło wtedy do słynnej debaty, gdy posłowie Marek Jurek, Stefan Niesiołowski i Jan Łopuszański domagali się krzyża w koronie.
– To była w ogóle pierwsza inicjatywa prezydenta przedłożona sejmowi, co nadawało jej szczególny charakter. Dla mnie zaś to było pierwsze w życiu wystąpienie w sejmie, co także już prywatnie było dla mnie czymś wyjątkowym. Chcieliśmy przywrócić orła ustanowionego w 1927 roku wedle projektu profesora Zygmunta Kamińskiego, ale też wprowadzić pewne, zgodne z zasadami heraldyki, korekty dotyczące bordiury, przepaski i tego typu szczegółów. Poprawki te wprowadził profesor Andrzej Heidrich. Przed wystąpieniem w sejmie odbyłem pogłębione studia heraldyczne. Znałem dobrze historię godła i zmian, jakie w nim wprowadzono na przestrzeni wieków. A jednak zderzenie z posłami opcji prawicowo-katolickiej, którzy kilka tygodni wcześniej założyli Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe i którzy upierali się przy dodaniu do korony jeszcze krzyża, zaskoczyło mnie.

W pewnym momencie pan Janek, ochroniarz z BOR-u mówi: „Panie ministrze, senator Kaczyński chodzi z pistoletem. Czy pan też chce?”

To była przejmująca wizyta, formalnym pretekstem miała być zbliżająca się Barbórka, ale oto jest już inna Polska, zewsząd padają hasła rozliczeń, a rany sprzed ośmiu lat wciąż są świeże. A jednak, gdy tam byliśmy, poza paroma okrzykami „Na kolana!”, nie było żadnego rzucania kamieni, żadnego palenia kukieł, wyzwisk czy petard. Górnicy utrzymali kontrolę, choć widziałem ich pełne emocji twarze. Jaruzelski także był przejęty i napięty. Złożył kwiaty pod tablicą poświęconą ofiarom pacyfikacji kopalni. Nie pamiętam, by coś powiedział, ale milczenie bywa czasem więcej warte niż przeprosiny. Na moje oko generał zrobił maksimum tego, co potrafił wtedy. A górnicy stanęli na wysokości zadania.

A gdy już wsiedliśmy do auta – wie pan, co Jaruzelski powiedział?

Nie.
– „Zahaczmy o Jasną Górę”.

Chciał jechać do Częstochowy?
– Tak. Gdy dotarliśmy na miejsce, Jaruzelski siedział długo sam w kaplicy. Myślałem: „Cholera, co w tym facecie siedzi? Jaki proces w nim zachodzi?”. Nie zmieniało to mojej oceny tego, co było przedtem, ale dało do myślenia.

Poseł Marek Jurek skończył swoje wystąpienie słowami: „Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem, Polska jest Polską, a Polak Polakiem”. Wsparła pana Józefa Hennelowa, która wyraziła swoje przerażenie, że w obliczu zadań, jakie czekają sejm, istnieje groźba ugrzęźnięcia w dyskusji na temat krzyża.
– Argumentowałem, że skoro korony pozbawiono orła pochodzącego z II RP, to do niego powinniśmy nawiązać. Z tym orłem Polska weszła w II wojnę światową i w wymiarze symbolicznym takie właśnie godło oznaczać będzie nasz powrót do suwerennej Rzeczpospolitej. Szczęśliwie większość posłów była tego samego zdania.

Mówimy o kwestiach ważnych, ale symbolicznych, był pan jednak przecież zaangażowany w zmiany ustrojowe – choćby przy reformie wymiaru sprawiedliwości czy samorządu.
– Te sprawy wcześniej podlegały Radzie Państwa i zostały oddziedziczone przez prezydenta. Mazowiecki poprosił mnie, abym załatwił z prezydentem, by nie robił problemu z wyjęciem prokuratorów wojskowych z jego kompetencji i to poszło gładko. Gorzej było z samorządami. Rząd miał gotowy projekt autorstwa Jerzego Regulskiego i chciał już w marcu zorganizować wybory. Projekt zakładał likwidację wojewódzkich rad narodowych, zaś do rad w miastach i gminach miały odbyć się wybory.

Poszedłem do Jaruzelskiego i mówię: „Panie prezydencie, premier uważa, że zmiany na szczeblu lokalnym są niezbędnym elementem reform. Muszą być wybory na szczeblach miast i gmin”. Jaruzelski stężał i zaczął mi tłumaczyć, że to są rzesze ludzi, którzy są teraz podwieszeni pod niego jako spadkobiercę Rady Państwa i będą mieli do niego pretensje, że on wydaje ich na rzeź. Pytał, jak on ma to im wszystkim wytłumaczyć.

Mazowiecki był zdeterminowany i ja rozumiałem jego racje. Ostatecznie prezydent powiedział, że musi się z przedstawicielami rad narodowych spotkać i poprosił mnie, bym przy nim wtedy był i przedstawił argumenty rządu. Niezbyt mi się to uśmiechało, ale wiedziałem, że premierowi Mazowieckiemu zależało na tym, aby ktoś na tym spotkaniu go poniekąd reprezentował. Odbyło się więc spotkanie, obecny był profesor Jerzy Regulski, a Jaruzelski bardzo się bał konfrontacji z terenową nomenklaturą, bo obawiał się, że zostanie okrzyknięty zdrajcą. Reforma weszła w życie, choć ostatecznie wybory odbyły się dopiero w czerwcu.

W marcu 1990 roku poleciał pan do Chile, gdzie ustępował Augusto Pinochet, a zastępował go demokrata Patricio Aylwin. Po latach autorytarnych rządów Pinocheta zmiana władzy przypominała sytuację nad Wisłą. Jaruzelski był jakby negatywem prawicowego i proamerykańskiego Pinocheta.
– I dlatego między innymi nie chciał jechać do Chile. Musiałby wtedy podać rękę Pinochetowi. Patricio Aylwin był związkowym politykiem zaangażowanym w prawa człowieka i potem w reformę kraju. Taki trochę tamtejszy Mazowiecki.

Poszedłem z tym wszystkim do Krzysztofa Skubiszewskiego, który zareagował bardzo pozytywnie na pomysł, abym to ja pojechał, zwłaszcza że nie mieliśmy relacji dyplomatycznych z Chile i pojawiła się okazja, abym wręczył nowemu prezydentowi notę deklarującą wolę wznowienia relacji.

Okazało się, że problem z podaniem ręki Pinochetowi ma pół Europy i szefowie delegacji planują spóźnić się na moment ustąpienia Pinocheta i zjawić się w momencie zaprzysiężenia Aylwina. Powiedziałem Jaruzelskiemu, że ja też tak zrobię. Ten skrzywił się, że to nieeleganckie, ale przekonałem go, że tak robią wszyscy.

Jak liczna była polska ekipa?
– Razem ze mną cztery osoby. Trzy przyleciały w sobotę, ja zgodnie z planem dzień później. Leciałem przez Kanadę, zwykłymi liniami lotniczymi. Z lotniska pojechaliśmy na Estadio Nacional na wiec z udziałem nowego prezydenta.

To tam Pinochet trzymał więźniów?
– Tak, tam był największy obóz. Wszędzie zresztą podczas ceremonii były matki i żony trzymające w rękach portrety swych mężów i synów, których na tym stadionie bito.

Witane były poszczególne delegacje. Mnie jako przybysza z Polski zgromadzony tłum powitał bardzo ciepło – wszyscy wołali „Soli-dari-dad” i „Wa-le-za”. Siadam potem koło premiera Hiszpanii Felipe González Márqueza, a ten pyta mnie z irytacją: „O co chodzi? Dlaczego pana witają z takim entuzjazmem, przecież Hiszpania pais madre tu powinna być najważniejsza, a mnie tak nie witano...”.

Miał pan okazję porozmawiać z nowym prezydentem Chile?
– Dopiero nazajutrz, a tak poważnie to jeszcze dzień później. Dzień po imprezie na Estadio Nacional odbyła się ceremonia z delegacjami. Ustawiło się

eprasa.pl 1f82165fe2

ponad sto delegacji, więc każdy tylko ściskał dłoń prezydenta, wymieniał z nim dwa grzecznościowe zdania i już proszono następnego. Ale ja miałem jeszcze notę od Skubiszewskiego.

Więc trzymając Aylwina za rękę, mówię, że pochodzę z kraju, gdzie także dokonuje się transformacja, a premierem jest człowiek, który tak jak on był doradcą związków zawodowych. Wręczyłem mu notę o wznowieniu stosunków dyplomatycznych, zabieram się, żeby odejść na bok i nagle słyszę pytanie: „Czy pan znajdzie czas dla mnie? Muszę pana zapytać, co i jak robicie u siebie". Odparłem, że oczywiście, jestem do dyspozycji. Następnego dnia przyjął mnie o ósmej rano i wypytywał przez półtorej godziny o reformy w Polsce. Wiedział, o co pytać, bo dyktatury prawicowe i lewicowe są w sumie dość podobne – pytał o postawę Kościoła, o wyższych rangą wojskowych i postawę policji.

Generał nie chciał podać ręki Pinochetowi, ale także nie chciał pojawić się na początku maja 1990 roku na Westerplatte z prezydentem Niemiec Richardem von Weizsäckerem. Taki esteta moralny?
– Powiedział, że nie wyobraża sobie, aby polski generał stawał pod pomnikiem Westerplatte z niemieckim prezydentem. Nie dał się przekonać, choć naprawdę próbowałem. Poprosił, bym go zastąpił w podróży Weizsäckera po dawnych Prusach Wschodnich. Zgodziłem się na to, choć miałem swoje zdanie o decyzji Jaruzelskiego.

Wcześniej jednak obaj prezydenci spotkali się w Treblince, gdzie Weizsäcker złożył kwiaty. On doskonale wiedział, dokąd przyjechał, i chciał pokazać, że Niemcy pamiętają o przeszłości i on też osobiście czuje się w obowiązku zrobić wszystko, by pomóc Polsce i zapewnić, że możemy liczyć na Niemców i ich serdeczność. Już bez Jaruzelskiego dotarliśmy na Wybrzeże.

Na Westerplatte Weizsäcker nie klęknął.
– Nie, ale widać było, że rozumie winę Niemców. Doskonale też wiedział, że ziemie, które kiedyś były niemieckie, teraz są polskie i koniec kropka.

Chyba wtedy po raz ostatni przyprowadził pan też zachodniego polityka do Lecha Wałęsy...

I tu spotkało mnie rozczarowanie. Lech był już wtedy wszechwiedzący i po prostu zagadał Weizsäckera, nie dał mu dojść do słowa.

Zaczął opowiadać coś o Chińczykach. On tak miał, że jak się zapalił do jakiegoś tematu, to tylko o nim mówił. Wtedy trzymał się Chińczyków.

Czy po roku spędzonym z Wojciechem Jaruzelskim zmienił pan zdanie na jego temat?
– Nabrałem uznania dla przyjętego przezeń w 1989 roku kursu. Jeśli idzie o wcześniejsze czasy, to swej krytycznej oceny nie zmieniłem.

Gdy zdecydowałem się poprzeć Tadeusza Mazowieckiego w wyborach prezydenckich, poszedłem do Jaruzelskiego, aby mu wyjaśnić powody mojej decyzji i poprosić o przyjęcie dymisji. Zrozumiał je doskonale. Już potem w 1992 roku wydał swoją książkę „Stan wojenny. Dlaczego..." i wręczył mi z dedykacją. Powiedziałem mu, że to niepotrzebne, bo ma swoje miejsce w historii za to, co zrobił w ostatnim czasie, a wracać do stanu wojennego nie ma sensu. ●

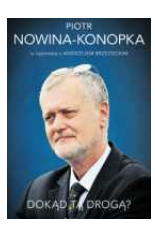

Dokąd tą drogą

Piotr Nowina Konopka w rozmowie z Andrzejem Brzezieckim
Wydawnictwo C.H.

Felieton

I zaczęła się gra o tron

„Wiek złoty zmienił się w ołowiany" – tak Anonim Gall skomentował skutki śmierci Bolesława Chrobrego.

Urbańczyk

Za nami huczne obchody tysięcznej rocznicy pierwszej polskiej koronacji. Mimo braku jakichkolwiek przekazów źródłowych uznano, że musiało do niej dojść w niedzielę wielkanocną, która w 1025 roku wypadła 18 kwietnia.

O ile ta wymyślona data namaszczenia Bolesława Chrobrego skupiła uwagę komentatorów, o tyle milczeniem pominięto tysięczną rocznicę jego śmierci. A przecież znamy jej datę dzienną. O dziwo, wyłącznie dzięki autorom zagranicznym, bo w Polsce nie zadbano o jej utrwalenie.

W najstarszych zachowanych polskich rocznikach – „Roczniku Dawnym", „Roczniku Kapituły Krakowskiej", „Roczniku Kamienieckim" i „Roczniku Poznańskim" – znajdziemy tylko zdawkową informację, że w „1025 [r.] umiera król Bolesław Wielki". Przypuszcza się, że jest to powtórzenie wzmianki umieszczonej zapewne już w XI wieku w źródłach, które nie zachowały się do naszych czasów, na przykład w „Roczniku Rychezy", więc nazywamy je zbiorczo „rocznikami polskimi zaginionymi".

Dokładną datę śmierci Bolesława, 17 czerwca 1025 roku, znajdziemy natomiast w „Kronice Czechów" napisanej przez praskiego kanonika Kosmasa, który jako Czech nie bez powodu szczerze Chrobrego nie lubił, ale miał szacunek dla jego osiągnięć. Drugie źródło to wpis nekrologiczny sporządzony w benedyktyńskim opactwie w dolnosaskim Lüneburgu.

Żadne z nich nie podaje, gdzie król Bolesław zmarł ani też, czy śmierć dosięgnęła go po dłuższej chorobie, czy może ku zaskoczeniu otoczenia.

Nie dowiemy się również, czy jako chrześcijanin zastanawiał się przed śmiercią nad konsekwencjami swoich nie zawsze etycznych postępków, a nawet oczywistych grzechów przeciw moralności promowanej przez Kościół. W jego życiorysie znajdziemy oprócz przejawów wielkości również przykłady wiarołomstwa, cudzołóstwa, a nawet i okrucieństwa, które wykazywał w stosunku do swoich przeciwników, a także bliskich krewnych.

●●●

Tak czy inaczej, jego śmierć 17 czerwca 1025 r. wyznacza w polskiej historii cezurę o wiele bardziej znaczącą od jego koronacji, która nie miała istotnych konsekwencji poza sprowokowaniem oburzenia komentatorów niemieckich, którzy byli zaskoczeni nagłym awansem polskiego księcia w symbolicznej hierarchii europejskich władców, w której usadowił się na poziomie ustępującym rangą tylko dwóm cesarzom.

Jakimkolwiek by jednak szokiem była śmierć króla Bolesława, to początkowo nic nie zapowiadało zbliżającej się katastrofy. Wręcz przeciwnie – przejęcie władzy przez jego średniego syna Mieszka II Lamberta nastąpiło chyba bezproblemowo, bo nic nie słyszymy o typowym dla ówczesnych czasów kryzysie sukcesyjnym wynikającym z roszczeń kilku kandydatów do władzy zwierzchniej.

• **Mieszko II otrzymuje księgę liturgiczną od księżne Matyldy, grafika z XI wieku** FOT. WIKIPEDIA

Bo też Chrobry przezornie już kilkanaście lat przed swoją śmiercią rozpoczął cierpliwe przygotowania do zmiany na polskim tronie, desygnując Mieszka na swojego następcę. Już przecież w 1013 roku wysłał go do Magdeburga na trudne rokowania z niemieckim królem Henrykiem II. W ten sposób przedstawił światu swojego syna, a ta desygnacja nabrała sankcji międzynarodowej.

Pozycję młodego Bolesławowica znakomicie wzmocniono, żeniąc go z Rychezą, siostrzenicą dobrej pamięci cesarza Ottona III. To typowe wówczas wzmocnienie układu pokojowego małżeństwem międzydynastycznym oznaczało znaczący awans Piastów w hierarchii europejskich dynastii. Skoligacili się bowiem z imperialnym klanem Ludolfingów, a w żyłach potomków Mieszka i Rychezy miała płynąć cesarska krew. Dano temu później demonstracyjny wyraz, nadając ich urodzonemu w 1016 roku synowi Kazimierzowi drugie „cesarskie" imię Karol.

●●●

Wszystko to wyglądało na dobrze przemyślany plan uniknięcia kryzysu sukcesyjnego, jakiemu sam Chrobry musiał w 992 roku stawić czoła. Siłą zagarnął wtedy tron piastowski, wypędziwszy z kraju swoich przyrodnich braci i ich saską matkę Odę. Chodziło więc o wprowadzenie w Polsce nowego modelu dziedziczenia tronu po śmierci władcy przez tylko jednego, choć nie koniecznie najstarszego z jego synów. Desygnacja Mieszka II i „cesarskie" pochodzenie jego syna Kazimierza wydawały się zabezpieczać spokojną przyszłość dynastii piastowskiej na co najmniej dwa pokolenia.

Okazało się jednak, że nawet najprecyzyjniejszy plan polityczny nie musi zapewnić sukcesu. A przecież Mieszko II wydawał się godnym dziedzicem wielkiego ojca. W chwili jego śmierci był już człowiekiem 35-letnim, doświadczonym w wykorzystywaniu mechanizmów władzy oraz zorientowanym w sytuacji geopolitycznej. Jako sukcesor desygnowany przez namaszczonego króla sprawnie wykorzystał swą uprzywilejowaną pozycję, obejmując polski tron i przeprowadzając swoją własną koronację.

Już wtedy zarysował się jednak zalążek przyszłych kłopotów, bo jakieś nieskuteczne roszczenia sukcesyjne zgłosił jego młodszy brat – 25-letni Otto Bolesławowic. Mieszko II postąpił z nim tak jak Chrobry w 992 roku ze swoimi przyrodnimi braćmi i sprawnie zapewnił sobie jedynowładztwo. Jak napisał saski kronikarz Wipon, wykazał się bezwzględnością, kiedy „równie niefrasobliwy jak ojciec, przepędził na Ruś swojego brata Ottona".

W przeciwieństwie do Bolesława Chrobrego ten ruch nie zapewnił mu jednak spokoju, bo wkrótce swoje pretensje do zarządzania królestwem zgłosił też jego starszy brat przyrodni Bezprim. Ten urodzony w 987 roku syn nieznanej nam z imienia Węgierki długo czekał na swoją szansę, sprawując zapewne urząd żupana w nadbalatońskim komitacie Bezprem/Veszprem.

●●●

Ten spór w klanie piastowskim skwapliwie wykorzystali sąsiedzi Polski, którzy czekali na śmierć Chrobrego, aby wziąć rewanż za upokarzające porażki, jakich od niego doznali. Nie nastąpiło to szybko, bo początkowo Mieszko II radził sobie doskonale, okazując się godnym spadkobiercą sukcesów ojca. W 1028 i w 1030 roku dokonał nawet niszczycielskich najazdów na wschodnie pogranicze cesarstwa, wkraczając zbrojnie aż do Saksonii. Potem skutecznie prowadził wojny obronne przeciw władcom Niemiec, Czech i Rusi Kijowskiej. Nie dał rady jednak ich trójstronnemu atakowi i w 1031 roku uciekł z Polski do swoich czeskich kuzynów, którzy go uwięzili.

W tym okresie Polska straciła zdobycze terytorialne Chrobrego – Łużyce i Milsko na zachodzie, Morawy na południu oraz Grody Czerwieńskie na wschodzie. W 1032 roku Mieszko II wrócił, aby objąć władzę w jednej z trzech części podzielonego państwa, a w 1033 ponownie zjednoczył królestwo pod swoim berłem. Rok później jednak zmarł, a w państwie piastowskim zapanował kilkuletni chaos bezkrólewia.

I to był smutny koniec wielkiego projektu politycznego, który Bolesław Chrobry zrealizował na polach wielu wojen i który zwieńczył swoją koronacją w 1025 roku. Nie był to skutek jakiejś nieudolności jego syna, którego polscy historycy niesłusznie nazwali Mieszkiem II Gnuśnym. Wydaje się raczej, że utrzymanie opartego na sile miecza dziedzictwa, jakie Chrobry zostawił swojemu następcy, było zadaniem niemożliwym do zrealizowania w ówczesnej sytuacji geopolitycznej.

Zalążki przyszłego kryzysu można dostrzec już w momencie śmierci naszego pierwszego króla 17 czerwca 1025 r. Toteż nie bardzo chcemy wspominać to precyzyjnie zdefiniowane milenium. ●

Przemysław Urbańczyk

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2

REKLAMA

OJCZYZNA DON KICHOTA

KUP TERAZ

Już w sprzedaży

148 stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 1f82165fe2

weekendówka 159

GRAJ, MUZYKO!

Dwudziesty pierwszy czerwca to dość specyficzny dzień. To dzień letniego przesilenia, co oznacza początek astronomicznego lata (hurra!). To też najdłuższy dzień w roku – od tego momentu dzień będzie już tylko coraz krótszy, ale nie pora się tym teraz przejmować.

Nadchodząca noc będzie Nocą Kupały, czyli w wierzeniach dawnych Słowian święto cudów natury, zabawy i niezwykłych obrzędów.

Tegoż dnia świat celebruje też Dzień Deskorolki i Dzień Jogi. 21 czerwca 1999 roku po raz pierwszy przyznano statuetki Orłów – Polskich Nagród Filmowych, a dwa lata wcześniej w katowickim Spodku odbył się koncert Jeana-Michela Jarre'a (też po raz pierwszy u nas).

Ale my nie o tym. To znaczy trochę tak, bowiem pierwszy dzień lata upatrzyli sobie na idealny termin pomysłodawcy Fête de la Musique, czyli Święta Muzyki.

Idea zaświtała najpierw w głowie Marcela Landowskiego, francuskiego kompozytora polskiego pochodzenia, który oprócz tego, że tworzył, to pracował na różnych stanowiskach we francuskim Ministerstwie Kultury. Pomysł trafić mógł więc szybko na, jak się okazało, podatny grunt. Bowiem ówczesny szef resortu, Jack Lang oraz mianowany przez niego dyrektor departamentu muzyki i tańca Maurice Fleuret – także kompozytor, ale też dziennikarz i producent, wyszli z ideą dnia, w którym muzyka i koncerty działyby się wszędzie naokoło. Stąd pomysł, organizowania powszechnie plenerowych, ulicznych, miejskich imprez muzycznych, na które wstęp były wolny.

Pierwsze Święto Muzyki odbyło się 21 czerwca 1982 roku i okazało się sukcesem. Choć trwało raptem... pół godziny, bowiem muzycy grali od 20:30 do 21.

Od tego momentu organizowane jest cyklicznie, a do zabawy dołączały kolejne kraje i miasta. Nic dziwnego, skoro hasło Fête de la Musique oznacza nie tylko święto muzyki, ale także róbcie muzykę (Faites de la musique).

Włosi już trzy lata później zorganizowali pierwszą Festa della Musica, Wielka Brytania w 1992 roku zaprosiła swoich obywateli na National Music Day. W Polsce pierwsze oficjalne świętowanie odbyło się w 2000 r. w Warszawie, z udziałem wielkich gwiazd estrady, m.in. Maryli Rodowicz. Dziś ma wymiar bardziej lokalny i oddolny.

Impreza celebrowana jest obecnie w przeszło 2 tysiącach miast świata, w ponad 120 krajach (jak podaje serwis makemusicday.org). A dziś także w „Weekendówce", bowiem zapraszamy do krzyżówki muzycznej. Do dzieła!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

OD REDAKCJI: Szanowni Państwo. W poprzednim numerze „Magazynu" (14.06) omyłkowo wydrukowaliśmy hasła z innej „Weekendówki". Serdecznie przepraszamy za błąd.

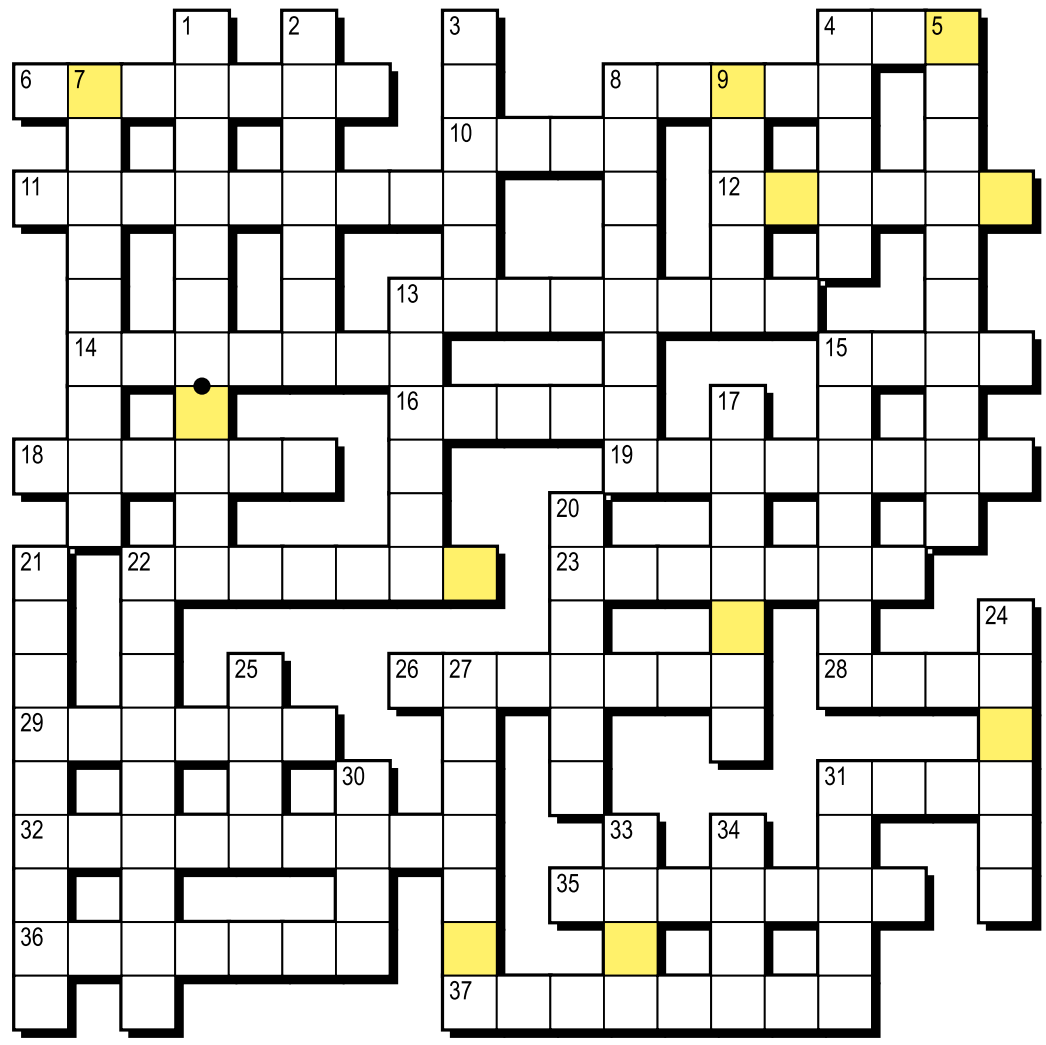

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 158 z 14.06:

Poziomo:
2) wirtuoz 5) Organizacja 8) doradca 9) Mikulski 12) mentorzy 13) Kaczmarski 14) klient 15) Pomoc 16) turysta 18) cena 20) Cooper 21) Kraj Rad 22) ekspert 25) małżonkowie 28) Troja 30) ceper 32) zalecenie 33) deszcz 34) Charlie

Pionowo:
1) Rada Miasta 2) Weronika 3) radio 4) uradzenie 6) gmina 7) nauczyciele 10) Sparta 11) instrukcja 15) pacjent 17) Jacek 19) naczelnicy 23) stopy 24) pośpiech 25) mędrcy 26) łacina 27) wnioski 29) Ania 31) radar

HASŁO:
WADEMEKUM

MUZYKA GRA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) najniższy głos męski
6) hawajski instrument muzyczny podobny do gitary
8) instrument w tytule książki Trumana Capote'a „... traw"
10) instrument dęty blaszany o najniższej skali
11) róg
12) ... rurowe, kojarzone z muzycznym sukcesem Mike'a Oldfielda
13) grał na nim John Coltrane
14) ... smyczkowy (dwoje skrzypiec, wiolonczela, altówka)
15) instrument dęty drewniany z podwójnym stroikiem
16) ... angielskie, zaliczane do aerofonów
18) ... Hammonda, popularne w rocku progresywnym lat 70.
19) nauka o emisji, odbiorze i rozchodzeniu się dźwięku
22) zabawa w śpiewanie piosenek do podkładów muzycznych, z tekstem wyświetlanym na ekranie
23) afrykański instrument perkusyjny, rodzaj ksylofonu
26) niewielki instrument dęty wykonany z porcelany albo gliny
28) część utworu będąca popisem instrumentalisty
29) brzdąkała na niej Danusia Jurandówna
31) gra w tartaku?
32) instrument uznawany za poprzednika oboju
35) grają w kredensie?
36) w fortepianie albo w zakładzie penitencjarnym
37) piskał na nim Tomuś („Czterej pancerni i pies")

Pionowo:
1) złożona z wielu piszczałek, popularna w Ameryce Południowej
2) bliski Benny'emu Goodmanowi i Woody'emu Allenowi
3) wiosło Slasha, Santany
4) brzmienie głosu ludzkiego albo dźwięku
5) trąbka stosowana np. przez myśliwych
7) „poprzednik" fortepianu
8) sposób łączenia i budowy akordów w utworze muzycznym (a także synonim 37 poziomo)
9) Trójka albo RMF FM
13) pojedynczy – np. w fisharmonii, podwójny – w fagocie
15) instrumnent większy od kontrabasu, skonstruowany przez Jean-Baptiste'a Vuillaume'a (z liter wyrazów: Atos, bok)
17) „Skrzypek na dachu" lub „Gorączka sobotniej nocy"
20) altówka miłosna
21) prześliczna z piosenki Skaldów (nazwa skrócona)
22) instrument Romana Ziobry ze Starego Dobrego Małżeństwa
24) kompozytor opery „Cosi fan tutte", serenady „Eine kleine Nachtmusik"
25) atrybut Apollina
27) „stukadełko"
30) „W kawiarniany gwar jak tornado ... się wdarł i ja też chciałem grać"
31) instrument jednego z braci Golców
33) musical z piosenkami „Aquarius", „White Boys"
34) inne dla perkusisty, a inne pod prysznic

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34354617

SUDOKU
KRZYŻÓWKI
QUIZY

APLIKACJA WYBORCZEJ Odkryj rozrywkę w aplikacji

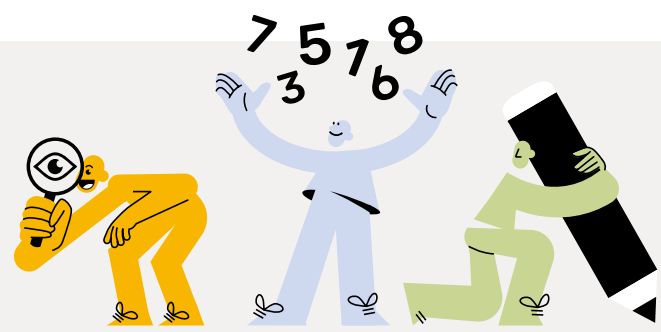

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store

1 RP

eprasa.pl 1f82165fe2